

Redaktor:
Halina Thylwe

Projekt okładki, opracowanie graficzne:
Edward Karowicz

Redaktor techniczny:
Iwona Wysocka

Copyright © by Jan Kraśko, 1990
Copyright for the cover art © by Edward Karowicz, 1990

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo „GiG”
Warszawa, 1990

ISBN 83-85085-03-3

Wyd. I, nakład 50 000, ark. wyd. 8,7,
ark. druk. 7,5. Format B6, papier offset kl. V, 70 g, B1
Skład i druk W. Z. Graf. im. A. Zawadzkiego
w Warszawie. Zam. 2674

F-23

*Autor pragnie serdecznie podziękować personelowi Ambasady Królestwa Wielkiej Brytanii w Warszawie oraz panu Davidowi Morgano-
wi z Ministerstwa Handlu i Przemysłu w Londynie. Bez ich pomocy
książka ta nie mogłaby powstać.*

*Nie powstałaby też bez wyrozumiałości Przyjaciół w Bojanach, Ani
i Zbója.*

Im dziękuję szczególnie.

„The Times”

(czwartek, 15 maja 1993 r., s. 1)

Eurotunnel

FOLKESTONE (Kent). 15 maja 1993 r. jest dla narodów Francji, Anglii i całej zjednoczonej Europy datą historyczną. Dzisiaj, punktualnie o 10.00, w obecności Rodziny Królewskiej, prezydenta Republiki Francuskiej, premierów obu państw i zaproszonych ze wszystkich stron świata gości tunel pod Kanalem Angielskim (La Manche) został otwarty.

Realizacja tego gigantycznego projektu rozpoczęła się siedem lat temu, w r. 1986, kiedy angielsko-francuskie konsorcjum bankowe Eurotunnel, które uzyskało od rządów Francji i Anglii pięćdziesięciopięcioletnią koncesję na budowę i eksploatację stałego połączenia między obydwojoma krajami zwanego Fixed Link, powierzyło losy tunelu Transmanche Link (TML), czyli dziesięciu prywatnym towarzystwom zrzeszonym w joint venture. TML wybudował tunel kosztem 5,5 mld funtów szterlingów, z czego 1,4 mld pochłonął sprzęt i materiały niezbędne do eksploatacji Fixed Link, takie jak: 73 300 ton specjalnej stali trakcyjnej, 815 000 ton cementu do zaprawy murarskiej i 80 000 ton odlewów żeliwnych. Zgodnie z zaleceniami EWG i warunkami koncesji uzyskanej przez Eurotunnel 30% ogólnej wartości kontraktu

JAN KRAŚKO

zrealizowała tzw. strona trzecia — przedsiębiorstwa nie zrzeszone w TML — co w sposób wydatny przyczyniło się do rozwoju wielu sektorów naszego przemysłu.

Fixed Link oznacza definitywny koniec „splendid isolation” i zdecydowanie przybliży nas do reszty świata. Podróż koleją z centrum Londynu do centrum Paryża trwa od dzisiaj trzy godziny, czyli tyle, ile musi stracić pasażer korzystający z połączenia lotniczego, którego koszt jest pięciokrotnie wyższy. Niewątpliwie nastaną teraz ciężkie czasy dla towarzystw przewozowych obsługujących trasy Europa — Anglia. Podróż promem *Sea Link* lub *Channel Link* trwa sześć godzin, do czego trzeba jeszcze doliczyć ponad godzinę na dojazd z Dover do Victoria Station w Londynie albo z Calais do Paryża. *Sea Link* i *Channel Link* stracą również na przewozach masy towarowej (dotychczas przewożyły 2 mln ton rocznie), jako że *Fixed Link* stwarza nieporównywalnie większe możliwości.

15 maja 1993 r. jest też datą zamykającą blisko siedemdziesięcioletnią historię idei tunelu pod Kanalem Angielskim. Pojawiła się ona w r. 1802, kiedy francuski inżynier, Albert Mathieu, zaproponował Napoleonowi zbudowanie takiego połączenia. Osiemdziesiąt jeden lat później, w lepszych dla obu państw warunkach politycznych, idea odżyła i doczekała się nawet częściowej realizacji. Pod kierownictwem inż. Beaumonta po obu stronach Kanatu wydrążono po 2 km tunelu. Jednak dalszych prac zaniechano. Notabene tunel Beaumonta istniał w swej oryginalnej postaci do r. 1988, kiedy to ekipy TML wypełniły go szczelnie betonem.

TUNEL

Następne kroki przedsięwzięto dopiero w drugiej połowie XX wieku. I tak w latach:

- 1965—1970 — Konsorcjum francusko-brytyjskie przeprowadziło dokładne badania geologiczne i inżynierskie terenu pod budowę przyszłego tunelu.
- 1974 — Rozpoczęto prace nad budową pojedynczego, dwutorowego tunelu dla pociągów pasażerskich i towarowych.
- 1975 — Budowę przerwano.
- 1978 — Rozpoczęto prace nad ulepszonym projektem pojedynczego, jednotorowego tunelu.
- 1981 — Nowy projekt przedstawiono do oceny komisji rządowych Francji i Anglii.
- 1982 — BR (Koleje Brytyjskie) i SNCF (Koleje Francuskie) przedstawiły inny projekt, tym razem tunelu podwójnego. Komisje państwowe przeprowadziły analizy bankowe, które wykazały całkowitą zdolność przedsiębiorstw prywatnych do sfinansowania budowy bez gwarancji rządowych.
- 1985 — Rządy Francji i Anglii oficjalnie poparły akt założycielski Eurotunnelu.
- 1986 — 12 lutego podpisano francusko-angielski „Traktat o stałym połączeniu”;
14 marca rządy Francji i Anglii podpisały koncesję na budowę i eksploatację tunelu przez Eurotunnel;
w kwietniu podpisane projekty zostały ocenione przez parlamenty Francji i Anglii.
- 1987 — 15 czerwca prezydent Francji zatwierdził decyzję parlamentu;

23 lipca projekt budowy tunelu uzyskał aprobatę Jej Królewskiej Mości;

29 lipca pięćdziesięcioletnia koncesja Eurotunnelu weszła w życie.

1988 — Styczeń: jednoczesne rozpoczęcie prac budowlanych na wybrzeżach Francji i Anglii.

1989 — Rozpoczęcie prac nad zmianą infrastruktury BR i SNCF.

1990 — 23 lipca: połączenie pilotowych tuneli serwisowych pod dnem Kanalu Angielskiego.

1991 — 20 lipca: połączenie dwóch tuneli operacyjnych.

1992 — Maj: pierwsze dostawy sprzętu kolejowego i pierwsze próby eksploatacyjne tunelu.

Rok później, 15 maja 1993 r., tunel pod Kanalem Angielskim został oficjalnie otwarty dla ruchu pasażerskiego i towarowego.

„The Times”

(piątek, 24 czerwca 1994 r., s. 3)

Krach Gigantów

LONDYN. Rzecznik prasowy Ministerstwa Transportu, Ashdown House, poinformował dziennikarzy, że Sea Link i Channel Link, giganty przewozowe lat sie-

demdziesiątych i osiemdziesiątych, są bliskie ogłoszenia upadłości. Wartość akcji obu przedsiębiorstw na giełdzie londyńskiej i na nowojorskiej Wall Street spada w zaskakującym tempie i wszystko wskazuje na to, że w przyszłym roku połączone dyrekcje Sea Link i Channel Link zmuszone będą podjąć smutną decyzję o likwidacji i tak już nielicznej i nierentownej flotyli promów pasażerskich i towarowych, kursujących między Francją, Belgią i Anglią.

Rzecznik prasowy Ashdown House powiedział: „Liczyby mówią same za siebie. W pierwszym roku istnienia Fixed Link obsłużył prawie 16 mln pasażerów, podczas gdy Sea Link i Channel Link ledwie 5,5 mln. Kolej przewiozła, tunelem ponad 7 mln ton towarów, co przy 2 mln ton Sea Link i Channel Link ma jednoznaczną wymowę. W 1995 r. Sea Link i Channel Link przejdą do historii”.

„Daily Mirror”

(piątek, 24 czerwca 1994 r., s. 2)

Szmaragdowy Budda

LONDYN. Budda z Wysp Świętego Patryka, jeden z najcenniejszych eksponatów Muzeum Historii Naturalnej w Londynie (blisko 150 mln funtów na rynku ko-

lekcjonerskim), przygotowuje się do podróży. 21 lipca, pod opieką pana N. Wingfielda-Digby'ego, kustosza Działu Mineralów, zostanie przewieziony do Francji i przez dwa tygodnie pobytu w Luwrze zza pancernych szyb cieszyć będzie oczy zwiedzających.

Budda z Wysp Świętego Patryka to posążek wyrzeźbiony w jednej bryle niewiarygodnej wielkości indyjskiego szmaragdu. Ma 85 cm wysokości, waży 10,5 kg i przedstawia stojącego (ewenement!) Buddę w powłóczyстых szatach. Posążek pochodzi z XVI wieku i jest dziełem nieznanego artysty z archipelagu suwerennych Wysp Świętego Patryka, byłej kolonii brytyjskiej, utraconej bezpowrotnie w dwa lata po uzyskaniu niepodległości przez Indie.

Prolog

Niedziela, 27 czerwca, godzina 23.00

Zaciągnął się głęboko, wydmuchał dym i mimowolnie spojrzął przez boczną szybę. Deszcz padał nieustannie, teraz wzmógł się i zaciął w porywach wschodniego wiatru. Mrok. W szkle dostrzegł tylko nikiłe odbicie papierosowego ognika. Milczał, wpatrzony w ciemność, i zastanawiał się, co odpowiedzieć. Nie widział twarzy tamtego, nie potrafił sobie nawet przypomnieć, jak wygląda. A mężczyzna siedzący w fotelu pasażera czekał, cierpliwie czekał, tkwił nieruchomo obok, z lewej strony, i bawił się zamkiem małej aktówki.

Kierowca otworzył szerzej okno i wyrzucił niedopałek. Wiatr dmuchnął mocniej, do środka wdarł się strumień mokrego, chłodnego powietrza. Podkręcił szybę i włączył górną lampkę. Jeszcze nie odwracał głowy, zwlekał, ale wiedział, że za chwilę będzie musiał to zrobić — z ludźmi tego pokroju trzeba rozmawiać patrząc im prosto w twarz. Zerknął na jego odbicie majaczące w przedniej szybie: czujne oczy, wysokie, pomarszczone czoło, ciemne, krótko ostrzyżone włosy. Mamy to zrobić razem... — pomyślał. — Samobójstwo...

— Zadał mi pan pytanie — rzekł, by przerwać wreszcie tę nieznośną ciszę. — Mógłbym nie odpowiadać, ale widzę, że lubi pan rozprawać o rzeczach oczywistych. Po pierwsze, jest szybki, bardzo szybki, a czas to pieniądz. Po drugie, jest obrzydliwie wygodny, wprost luksusowy, i to za śmieszłą cenę. Kto nie chciałby się poczuć milionerem za śmieszłą cenę? Po trzecie, częstotliwością kursowania bije na głowę wszystko, co jeździło, jeździ i będzie jeździć na tych trasach. Po czwarte, jest niezawodny, bo niezależny od naszej parszywej pogody. Niech pan spojrzy przez okno. Mamy koniec czerwca, a na Kanale ustał dzisiaj wszelki ruch. — Włożył rękę do kieszeni, znalazł zapalniczkę, poprawił się w fotelu i oparł dłoń o kierownicę. — I w końcu po piąte, ma połączenie bezpośrednie, bez przesiadek. Z Glasgow do Paryża jedzie się dziewięć godzin i piętnaście minut, z Edynburga osiem, a z Paryża po krótkim postoju dociera się do Barcelony, Marsylii, Wiednia, Rzymu, Madrytu i Lizbony. Wystarczy?

— Zapomniał pan o czymś. — W suchym i chropowatym głosie pasażera, takim, jakim wydaje się rozkazy w wojsku, zabrzmiało coś jeszcze, coś pozornie trudnego do odczytania, ale człowiek za kierownicą z łatwością wychwycił źle skrywaną nutę ironii. — Zapomniał pan dodać, że ktoś tu traci olbrzymie pieniądze...

Kierowca skinął głową i sięgnął po papierosy.

— To oczywiste — powiedział. — Nie jest pan zbyt subtelny.

— Jestem dokładny, dlatego jeszcze żyję — odrzekł

bez cienia uśmiechu mężczyzna z aktówką. — Mam dodatkowe pytanie...

— Proszę, niech pan pyta.

— Dlaczego właśnie ja?

Kierowca odwrócił wzrok i zgniół dunhilla. Bibułka pękła, tytoń wysypał się na podłogę.

— Mamy pana dossier. — Odchrząknął i mówił dalej: — Mamy teczkę wypchaną dokumentami. Wiemy o panu rzeczy, o których pan sam już nie pamięta. Znamy pana przeszłość. Był pan w oddziałach specjalnych w Wietnamie jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Miał pan wówczas obywatelstwo amerykańskie. Jako poddany brytyjski uczestniczył pan w wojnie o Falklandy. To dawniej. Dzisiaj jest pan ścigany przez policje sześciu państw za zabójstwa, rabunki i malwersacje. Dzisiaj jest pan najlepszy w swoim... zawodzie. Wiem też, że najdroższy.

Mężczyzna w fotelu pasażera westchnął i przetarł zmęczone oczy.

— Czy zdobył pan dane, o które prosiłem?

— Tak.

— Dobrze. W takim razie proszę najpierw spojrzeć tutaj. — Otworzył aktówkę, wyjął złożony w misterną kostkę arkusz papieru i rozpostarł go na kolanach. — To jeden z najdokładniejszych planów, jakie pan kiedykolwiek widział. Sporządzono go tylko w dwóch egzemplarzach: pierwszy znajduje się w sejfach Dyrekcji Generalnej TML, drugi w CSB, Centrali Systemu Bezpieczeństwa w Dollands Moor. Ma pan przed sobą fotokopię tego drugiego.

Kierowca nerwowo przełknął ślinę.

— Umieścił pan swoich ludzi w Dollands Moor?
 — spytał, choć wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi.

— Dollands Moor jest tutaj. — Mężczyzna z aktówką wskazał palcem. — Tu jest wjazd. Na lewo mamy Folkestone-miasto, na zachód dworzec pasażerski, a dalej towarowy. Później trasa na Ashford i Londyn, ale to nas nie interesuje. Na prawo od Dollands Moor, jeden, dwa, trzy — liczył — mniej więcej pięć kilometrów na południowy wschód jest Dover i Shakespeare Cliff. Stąd trasa biegnie pod dnem. Trzydzieści osiem kilometrów tracji pod wodą, a sześć po stronie angielskiej i sześć po francuskiej w masywie lądowym. W sumie pięćdziesiąt kilometrów. Widzi pan? To trzy, wydrążone głęboko w skale, potężne tunele. Dzień i noc strzegą ich ludzie z CSB. Każdy wyłożony jest łukowatymi elementami ze zbrojonego betonu. Wie pan, ile ich tam jest? Czteryście pięćdziesiąt tysięcy, a wszystkie grubości czterdziestu czterech centymetrów. Teraz ruch. Jest duży. W godzinach szczytu co dzień, dwanaście minut odprawia się wahadłowce z Folkestone do Calais, które przewożą samochody osobowe i autokary. Co pół godziny z dworca towarowego rusza skład z ciężarówkami albo kontenerami. Średnio co godzinę trasą B kursują dalekobieżne ze stacji Waterloo, Olympia lub z Paryża. O, tędy. Wszystkim steruje Oddział Ruchu. Jego sekcja komputerowa mieści się w budynku sąsiadującym z CSB. Rozumie pan teraz, że Dollands Moor jest nerwem całego systemu. Ale Dollands Moor to moja sprawa. Wy mieliście znaleźć najodpowiedniejsze miejsce. No, słucham.

— Kosztowało nas to wiele trudu... — zaczął kierowca, ale nie zdążył dokończyć.

— Nie interesuje mnie, ile trudu was to kosztowało. Zawarliśmy układ, że podejmujemy się określonych zadań. Proszę mówić na temat.

Mężczyzna za kierownicą otworzył schowek nad radiem, skąd wyciągnął kartonową teczkę. Rozwiązał ją i podał pasażerowi.

— To wyniki badań geologicznych, prowadzonych przez ekspertów angielskich i francuskich od sześćdziesiątego piątego do siedemdziesiątego roku, uzupełnione o dane tegoroczne — powiedział cicho. — Na wierzchu jest mapa przekroju wzdłużnego. Kolor żółty oznacza złoża kredy białej. Jest łatwo przepuszczalna, dobrze wchłania wodę. Pokłady ciągną się z przerwami od wybrzeży Anglii aż do Francji. Skały w Dover i Shakespeare Cliff, od poziomu morza w górę, to właśnie kreda biała. Mniej więcej na wysokości lustra wody rozpoczynają się złoża kredy szarej. Ciągają się tuż pod warstwą białej i też przepuszczają wodę, chociaż w mniejszym stopniu. Zainteresuje pana warstwa trzecia, oznaczona kolorem niebieskim. To margiel. Jest zupełnie nieprzepuszczalny i, jak pan widzi, w jego złożach ulokowano niemal cały obiekt. Stąd, patrząc od strony angielskiej, trasa opada mniej więcej metr na każde sto metrów trakcji, a od trzydziestego piątego kilometra, od środka Kanalu, biegnie w górę, ku wybrzeżom Francji. Pod margiem jest turon, stare osady morskie, a głębiej już tylko glina i tak zwane osady zielone.

— To nieważne — przerwał pasażer. — Proszę wskazać interesujące nas miejsce.

— Strefa szósta, na dwudziestym drugim kilometrze. O, tutaj. — Stuknął palcem w mapę. — Szesnaście kilometr pod Kanałem; licząc od Dover. Kilometr wcześniej tunel biegnie czterdzieści siedem metrów pod dnem. Innymi słowy, nad jego sufitem piętrzy się czterdzieści siedem metrów ciężkich osadów. W strefie szóstej warstwa nad tunelami operacyjnymi, a dokładnie tuż nad tunelem serwisowym, zwęża się do ledwie pięciu metrów i dwudziestu centymetrów. Wie pan, co to są aluwia? To bardzo młode osady naniesione przez wodę: muł, sprasowane szczątki roślinne i zwierzęce. W strefie szóstej są głównie aluwia i tylko cztery metry margla. Zgodnie z umową pod mapą zamieściłem tabelę wytrzymałości poszczególnych skał i dane z badań nad wytrzymałością i sprężystością betonu, którym wzmacniano całą strefę.

Pasażer skinął głową. Studiował dokumenty w milczeniu, analizując każdy szczegół, każdy detal operacji, którą miał przeprowadzić. Wiedział, że trzyma w rękach plany niezwykle cenne, ściśle tajne, że ich zdobycie graniczyło z cudem, bo dostęp do nich oznaczał wtajemniczenie najwyższego rzędu. Znało je dwóch, może trzech ludzi odpowiedzialnych z ramienia rządu za analizy geologiczne rejonu budowy.

Po kwadransie zamknął teczkę i zawiązał tasiemkę.

— Wy odpowiadacie za bezpieczeństwo przedsięwzięcia — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Nie obchodzi mnie, jak pan zdobył te dokumenty. Obawiam się jednak, że ich właściciele zrobią wszyst-

ko, żeby je odzyskać. Jeżeli więc zaczną się kłopoty, sami się z nimi uporać. Byłoby skutecznie. Nie będę wkraczał w wasze kompetencje i proszę, żebyście wy nie wkraczali w moje, zrozumiano?

Kierowca potwierdził nieokreślonym ruchem ręki.

— Jak zamierza się pan do tego zabrać? — spytał.

Pasażer wbił wzrok w przednią szybę, za którą wciąż lały się strumienie deszczu, i długo nie odpowiadał. Kiedy się w końcu odezwał, w jego głosie zabrzmiało sadystyczne ostrzeżenie:

— Uprzedzałem pana. Proszę nie wtrącać się w nie swoje sprawy. Czy wyraziłem się nie dość jasno? Powtarzam, gdy nadejdzie czas, skontaktuję się z panem i wtedy powiem, co i jak. Wcześniej nie usłyszysz pan ode mnie ani słowa. Proszę tylko pilnować, żeby nikt niepowołany nie wtykał nosa w nasz układ. Teren musi być czysty i pan za to odpowiada. Resztą zajmę się ja i moi ludzie. Teczkę z dokumentami zabieram, będzie mi potrzebna. Bądźcie stanowczy i czujni. Pamiętajcie, o co toczy się gra. A teraz żegnam.

Szybko otworzył drzwi, wysiadł i rozplynął się w mokrej ciemności.

Kierowca zgasił górną lampkę i zastygł w bezruchu, wsłuchując się w odgłosy nadciągającej burzy. Musiał czekać, tylko czekać, aż człowiek, który zniknął w deszczu, nawiąże z nim kontakt i powie, że wszystko gotowe, że można zaczynać. Czasu zostało niewiele. 21 lipca tunel łączący Anglię z Francją, chluba współczesnej cywilizacji, duma narodów zjednoczonej Europy musi zostać unicestwiony, zalany mętными

wodami Kanału, musi pograć się w nich na wieki i nigdy się już nie odrodzić.

Czarne niebo rozdarła pierwsza błyskawica. W jej blasku niebieskawo zaśniły spienione fale Tamizy. Mężczyzna uruchomił silnik luksusowej limuzyny, włączył reflektory i odjechał. Daleko, za rzadkim lasem, połyskiwały światła Londynu.

Rozdział 1

Czwartek, 15 lipca, godzina 16.50

Nie odrywając oczu od monitorów, sięgnąłem po słuchawkę. Ekran zabezpieczenia przeciwpożarowego zbierający impulsy z czterech milionów czujników zainstalowanych wzdłuż całej tracji zamigotał, rozjarzył się sinawo, ale po sekundzie wszystko wróciło do normy. Taffy Mitchell zerknął nań nerwowo i zdusił przekleństwo. Za dziesięć minut koniec służby.

— Tu Clive — rzuciłem. — *Et alors?*

W słuchawce telefonu, którego numer był zastrzeżony wyłącznie dla strony francuskiej, mógł się odezwać tylko Herve Eicher, mój odpowiednik w Coquelles, ale gdy usłyszałem pierwsze słowa, wiedziałem, że to ktoś inny, ktoś, kogo nie znam. Chociaż ten głos... Docierał do mnie jak zza gęstej, zbitej waty i z trudem wyławiałem poszczególne dźwięki.

— Czego pan chce? Kto dał panu ten numer? Halo?

Strzeliłem palcami i Taffy włączył magnetofon. Później wcisnął cztery klawisze łączności z centrum namiarów radiolokacyjnych Oddziału Ruchu i zażądał, żeby ustalili, skąd facet dzwoni.

— Clive? A jednak cię znalazłem...

Teraz zastępował mnie Taffy. Musiał nieustannie śledzić dwanaście monitorów piętrzących się w dwóch kolumnach, nie mógł spuścić ich z oczu ani na sekundę. System wentylacji, oświetlenia głównego i awaryjnego, sygnalizacji przecieków i odwodnienia, zespoły czujników rejestrujących zmęczenie metalu w szynach trakcyjnych, zespoły sensorów czuwających nad stałym napięciem przewodów wysokiego napięcia i dziesiątki innych urządzeń kontrolnych nieprzerwanie wysyłały informacje właśnie tutaj, do Centrali Systemu Bezpieczeństwa w Dollands Moor.

— Halo! Kto mówi, do cholery?!

— To ja, Clive. Nie poznajesz mnie?

Za pięć minut powinienem złożyć meldunek o gotowości do przekazania służby czwartej zmianie. Za pięć minut na ekranie Channel Tunnel Policing Unit powinny zamigotać cyfrowe meldunki nadane przez jednostki Centrali na wszystkich stacjach kolejowych na południe od Londynu, w jakikolwiek sposób związanych z TML. Na osobnym monitorze pojawią się raporty z dworca Waterloo, gdzie na dwudziestu peronach przewija się co godzinę trzy tysiące pasażerów, z Kensington Olympia, który obsługuje wszystkie składy pasażerskie nadchodzące z północy i zdążające do Paryża, oraz meldunki z międzynarodowego dworca Ashford. Powinienem je przeanalizować, wprowadzić do komputera, przesłać do dyrekcji TML w Londynie, która tą samą drogą da mi znać, że jestem wolny. To wszystko za pięć minut.

— Nie, nie poznaję. Proszę się przedstawić. Połączył

ię pan z Centralą Systemu Bezpieczeństwa TML w Dollands Moor. Halo!

Taffy Mitchell zapisał coś na skrawku papieru i podsunął mi go pod nos. Facet telefonował z budki w Folkestone, był tuż obok, ledwie dwa kilometry stąd. Jak, u diabła, wytrzasnął zastrzeżony numer?!

Zasłoniłem dłonią mikrofon.

— Taffy, niech wyślą tam kogoś od nas. Ten sukinywn blokuje mi Eichera — powiedziałem cicho.

— Nie denerwuj się, Clive — zabrzmiało w słuchawce. — Zdażyłeś mnie już namierzyć, prawda? Cóż, w takim razie odwiedzę cię osobiście. W domu. To pilne, bardzo pilne...

Machinalnie zerknąłem na monitor główny, czyli podłużny ekran o wymiarach trzy metry na pięćdziesiąt centymetrów, który wyświetla aktualną pozycję każdego pociągu na pięćdziesięciokilometrowej trasie Calais — Folkestone i śledzi go z idealną precyzją w każdej z trzydziestu pięciu minut pokonywania tego dystansu. Przez dwadzieścia siedem minut, kiedy skład znika w tunelu, monitor główny emituje graficzny sygnał, zakodowany w postaci metrycznej podziałki, umożliwiając zlokalizowanie pociągu z dokładnością do jednego metra. Jest sprzężony z zespołem dwustu dwudziestu kamer telewizyjnych, które przekazują obraz wnętrza tunelu do odbiorników umieszczonych na przeciwległej ścianie sali operacyjnej. Powiodłem wzrokiem wzdłuż całej trasy i znieruchomiałem.

— Do widzenia, Clive. Spotkamy się niebawem.

— Taffy, co się tam dzieje? — spytałem, rzucając słuchawkę.

Świetlistoniebieska, pulsująca kreseczka zmierzająca tunelem B ku wybrzeżom Anglii zwolniła, zmieniła kolor na różowy, zatrzymała się i rozjarzyła krwistą czerwienią. W sali zawyły alarmowe buczi, a ja siedziałem jak skamieniały. Przetarłem oczy. Boże, tylko nie dzisiaj, nie teraz! — kołatało mi w głowie i dziesiątki chaotycznych myśli mieszały mi się z instrukcjami postępowania w takich wypadkach.

— Taffy! Żółty alarm! — krzyknąłem. — Ustal, co to za skład i połącz się z Oddziałem Ruchu.

TML przewidział dwa rodzaje alarmów: żółty i czerwony. Żółty stawia w pogotowiu brygadę specjalną, drzemiącą w sąsiedniej sali. Są to uzbrojeni po zęby, doskonale wyszkoleni ludzie, w razie potrzeby gotowi zabić bez wahania. Znają na pamięć każdy metr tunelu, przejdą go z zawiązanymi oczami tam i z powrotem, umieją obsługiwać wszystkie typy elektrowozów kursujących między Londynem a Paryżem, wiedzą, co robić w każdej, choćby najmniej prawdopodobnej sytuacji, jaka może zaistnieć na torach.

— Skład dwa trzy pięć — meldował Taffy. — Pasażerski Marsylia — Paryż — Lille — Londyn. Stoi na dwunastym kilometrze i trzysta osiemdziesiątym czwartym metrze. Brak łączności fonicznej. Szukam na wizji. Żółty ogłoszony.

Alarm żółty ogłasza się wówczas, gdy nie można dokładnie ustalić, co stało się w tunelu. Wszystkie elektrowozy wyposażone są w system bezpośredniej łączności fonicznej z Centralą i w każdej chwili ma-

szynista jest w stanie porozumieć się z dyżurnymi. Gdy obsługa elektrowozu nie zgłasza się na wezwanie, włączają się elektronicznie sterowane hamulce, pociąg zatrzymuje się, a kamery telewizyjne odpowiedniego sektora zostają samoczynnie naprowadzone na skład. Jeżeli i to nie wyjaśni sytuacji, ogłasza się alarm czerwony. Komputer nadaje meldunek do TML w Londynie i do Coquelles, w tunelu wstrzymuje się ruch, brygada specjalna wskakuje do drezyny i pędzi na miejsce zdarzenia.

— Kamery ciemne — rzucił Taffy. — Fonicznej ciągle brak.

Podszedłem do pulpitu i jednym ruchem stłukłem niewielką szybkę, za którą sterczała dźwignia przełącznika. Przesunąłem ją w dół i buczki zamilkły. W sali operacyjnej Centrali Systemu Bezpieczeństwa w Dollands Moor zaległa cisza. Alarm czerwony zawsze ogłasza się w ciszy, tym bardziej złowrogiej, że niecodziennie zwiastuje burzę.

I właśnie wtedy Taffy Mitchell aż podskoczył na swoim fotelu.

— Dwa trzy pięć wchodzi na trzeci kanał! — krzyknął. — Dwa trzy pięć na trójce!

Wcisnąłem klawisz, dostroiłem odbiornik i przełączyłem na zewnętrzny głośnik.

— *Rien, ça va bien...* Będę mówił po angielsku, bo tak mi tu każą. Nazywam się Pascal Raillard, jestem kierownikiem składu dwa trzy pięć. Pociąg został uprowadzony. Mam coś przeczytać. Czytam: „Jesteśmy bojownikami Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Zatrzymaliśmy wasz pociąg i mamy siedmiuset osiem-

dziesięciu zakładników. Tunel jest zaminowany. W razie jakichkolwiek poczynań ze strony bezpieki wysadzimy go w powietrze. Żądamy uwolnienia naszych towarzyszy więzionych przez władze brytyjskie. Do godziny osiemnastej mają do nas dotrzeć wszyscy żołnierze IRA przetrzymywani w Londynie: James Brookner, Gilbert O'Maho, Garry Philips i James MacLane. Żądamy eskorty na Heathrow i samolotu z pełnymi zbiornikami. Jeżeli nasze warunki nie zostaną spełnione, punktualnie o osiemnastej rozstrzelamy pierwszych dwóch zakładników". Koniec tekstu. Chciałem dodać, że...

W głośniku coś zachrobotać i głos kierownika pociągu 235 rozplął się w elektronicznym szumie.

— Spokojnie, Taffy, tylko spokojnie — rzuciłem spięty. — Przejmiesz dowodzenie Centralą, jasne? Nic się nie bój, dasz sobie radę. Idę do chłopców. Będziemy w kontakcie.

Gdy stanąłem w progu, Taffy Mitchell odbierał telefon z Oddziału Ruchu.

— Tak, panie dyrektorze, wszystko w porządku — mówił łamiącym się głosem. — Nie ma powodów do niepokoju. Akcją pokieruje osobiście naczelny dowódca brygad specjalnych CSB, kapitan O'Casey. Właśnie wyszedł.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Autostradą M20 jedzie się z Folkestone do Dollands Moor kilka minut. Jeżeli korzysta się z pociągu, trzeba wsiąść w Holywell Coombe, gdzie zbudowano podzie-

mną pętlę dworcową Arrival Loop, która jest centralną częścią całego kompleksu Folkestone. Pociąg rusza, wyjeżdża na światło dzienne przy Castle Hill, mija Folkestone-miasto (po prawej widać niebieskie wody Kanału) i w Dollands Moor znika w tunelu na dobre, kierując się na Dover. Ale w Dollands Moor żaden skład się nie zatrzymuje. Dollands Moor to rozległe pola wrzosowisk, kilka budynków oplecionych pajęczyną anten i olbrzymia, wryta głęboko w ziemię betonowa ściana z trzema otworami wlotowymi. Dollands Moor to wejście do Hadesu.

Labirynt Fixed Link składa się z trzech zasadniczych części: dwóch bliźniaczych tuneli operacyjnych, oznaczonych literami A i B, i tunelu serwisowego. Wszystkie trzy biegną równoległe do siebie; tunel serwisowy między operacyjnymi. W przekroju poprzecznym mają kształt idealnego koła o średnicy 8,2 metra (operacyjne) i 5,75 metra (serwisowy). Tunelami operacyjnymi, odseparowanymi od siebie blisko trzydziestometrową warstwą skały, jeżdżą pociągi czerpiące prąd z zawieszonych u góry przewodów wysokiego napięcia „trakcji wysokiej”. Tunel A prowadzi do Francji, B do Anglii. Co trzysta siedemdziesiąt pięć metrów rozlokowano w nich dziesięciometrowej długości wyjścia do tunelu serwisowego. Tunel serwisowy ma ratować życie, jest ostatnią nadzieją i szansą.

Ruszyliśmy całą jedenastką: dziesięciu z brygady specjalnej i ja, dowódca. Budynek CSB ma bezpośrednie połączenie z bazą STVS; wystarczy zjechać windą na dół i wskoczyć do szybkiej, wyposażonej w silną radiostację drezyny. STVS (Service Tunnel Ve-

hicle System) to system transportu kołowego funkcjonujący w tunelu serwisowym TML. Z drezyn korzystają technicy obsługujący urządzenia wzdłuż całej pięćdziesięciokilometrowej trasy, lecz system uruchamia się także wtedy, gdy trzeba natychmiast ewakuować pasażerów z pociągu, który uległ awarii w tunelu operacyjnym. Jechaliśmy w milczeniu, nasłuchując komunikatów Taffy'ego tkwiącego przed monitorem głównym.

— Wciąż brak kontaktu, Clive — skrzeczał w słuchawkach. — Jesteście dwa tysiące sto metrów przed nimi... dwa tysiące pięćdziesiąt... dwa tysiące... Kontakt nadal nie ma.

Odwrociłem się. Siedzieli i patrzyli na mnie, czekając na rozkazy. Sięgnąłem do pasa, otworzyłem ładownicę, wyjąłem długi magazynek, wbitem go dłonią w karabin i przeladowałem broń. Chłopcy nałożyli hełmy osłaniające całą twarz. Stali się naraz czarnymi, anonimowymi robotami, rzucającymi metaliczne refleksy odbijające się w ciemnoszarych, oksydowanych lufach uzi.

— Dwieście pięćdziesiąt sześć metrów, Clive — mówił Taffy. — Uważajcie... Dwieście metrów. Kamery wciąż ciemne.

Sto dziewięćdziesiąt metrów... sto pięćdziesiąt... sto trzydzieści... sto... Już tylko sto metrów dzieliło nas od uprowadzonego pociągu. Kazałem zatrzymać dreżynę. Wskoczyliśmy na porowaty beton i skuleni, pochyleni ku ziemi, nasłuchiwalismy odgłosów z tunelu B. Nie docierał do nas żaden dźwięk, najmniejszy nawet szmer. Gestem ręki podzieliłem ludzi na dwie grupy,

po pięciu w każdej. Ściągnąłem mocniej troki kuloodpornej kamizelki i poprawiłem pas. Spojrzałem przed siebie, w ginącą w oddali nitkę tunelu; zważał się ku pojedynczej, ciemnej kropce. Wtedy padły strzały.

— Na ziemię! Pod ścianę! — krzyknąłem i rzuciłem się za drezynę.

Strzelali ukryci w załomie wyjścia ewakuacyjnego 23, oddalonego od nas o jakieś sześćdziesiąt metrów. Jego otwór zlewający się idealnie z krzywizną tunelu serwisowego dawał im niezłą osłonę. Strzelali tylko z prawej strony, od tunelu B, gdzie stał pociąg, bo tylko stamtąd błyskały czerwone ogniki. Wyjście ewakuacyjne na lewo, wiodące do tunelu A, było nie obstawione. I w tym należało upatrywać jedynej szansy.

— Trzech zostaje! Ogień ciągle na prawo! — rozkazałem. — Reszta do drezyny!

Ubezpieczali nas, wtuleni w zimny beton podłogi. Systematycznie, z opanowaniem, na zmianę opróżniali magazynek za magazynkiem, a my, splaszczeni za pulpitem drezyny, daliśmy pełną wstecz. Do wyjścia ewakuacyjnego 22, które minęliśmy tak niedawno, było nie więcej niż trzysta metrów. Sięgnąłem w górę i po omacku odnalazłem słuchawki nadajnika. Zdjąłem hełm i natychmiast usłyszałem głos Taffy'ego:

— Clive! Clive! Powtarzam! Oni grożą rozwaleniem pięćdziesięciu ludzi! Jeżeli zaraz stamtąd nie znikniecie, wysadzą wszystko w diabły! Clive, słyszysz mnie?!

Odrzuciłem słuchawki na pulpit. Jeszcze sto, jeszcze czterdzieści, jeszcze trzydzieści metrów. Wyskoczyłem z drezyny i runąłem do dwudziestki dwójki. Dziesięć

metrów niskiego chodnika pokonałem w parę sekund. W miejscu gdzie przechodził w tunel A, potknąłem się, usiłowałem wytracić szybkość, ale było za późno. Upadłem głową w przód. Hełm osłabił wprawdzie siłę uderzenia, nie mogłem jednak wyhamować impetu całego ciała. Przetoczyłem się na skraj betonowego krawężnika, za którym, osiemdziesiąt centymetrów niżej, lśniły stałą szyną trakcji. Chwyciłem go lewą ręką, prawą odrzuciłem od siebie uzi i zawisłem nogami w dół.

Hełm tłumił hałas, krew pulsowała mi tak mocno, że niewiele słyszałem. Miałem sekundę, może ułamki sekundy, by ratować życie. Kątem oka zauważyłem nadjeżdżający pociąg. Wbrew regulaminowi, wbrew instrukcjom postępowania na wypadek alarmu czerwonego, najpewniej przez karygodne niedopatrzenie, tunelem operacyjnym A puszczono jakiś skład. Walił wprost na mnie, na moje zwisające bezwładnie nogi i wiedziałem, że jeśli nie zdołam się błyskawicznie wydzwignąć, zostanie ze mnie miazga. Jednym ruchem poharatanych do krwi rąk szarpnąłem się w górę, usiadłem na krawężniku i w chwili gdy rozdygotana, rozpędzona masa żelastwa miała przeciąć mnie na pół, zrobiłem szybką przewrotkę do tyłu, odbiłem się dłońmi od chodnika i potoczyłem się ku ścianie, byle dalej od torów.

A potem biegłem, biegłem jak szalony, nie wiedząc, dlaczego wypruwam z siebie flaki. Pędziłem tunelem A, jego szerokim na kilkadziesiąt centymetrów poboczem, do wyjścia ewakuacyjnego 23. Z trudem łapałem oddech, ładownica i maska przeciwgazowa obijały mi się o uda, kamizelka ciążyła jak nigdy i ledwo

utrzymywałem w miarę równy krok. Trzysta siedemdziesiąt pięć metrów. Włokłem się niczym żółw w miążskim piasku, ale w końcu pokonałem ten niebezpieczny dystans. Przystanąłem. Odetchnąłem głębiej. Nadszedł czas działania.

Spojrzałem na ścianę. Tam, dziesięć metrów za nią, był tunel serwisowy, do którego nie mogłem się dostać wyjściem ewakuacyjnym 23, bo natychmiast wpadłbym w oko tym z IRA, obstawiającym bliźniacze wyjście z drugiej strony. Trzydzieści metrów za ścianą, dziesięć metrów za bojownikami IRA, stał w operacyjnym B uprowadzony pociąg. Oparłem ręce o drabinkę i rozpocząłem wspinaczkę.

Co trzysta siedemdziesiąt pięć metrów, nad każdym wyjściem ewakuacyjnym, biegnie przewód wentylacyjny pełniący niezwykle ważną funkcję. Ciśnienie w podziemnym systemie TML musi być nieustannie wyrównywane, w przeciwnym razie w tunelach szalałaby wichura. Temu właśnie służy ów skomplikowany ciąg przewodów. Wgryzają się one w skałę na wysokości czterech i pół metra, licząc od pobocza tunelu operacyjnego, biegną w niej najpierw skosem w górę, następnie metr nad tunelem serwisowym prosto, po czym opadają skosem w dół i wychodzą w bliźniaczym tunelu operacyjnym. Innymi słowy, łączą główne tunele trakcyjne z pominięciem serwisowego. Mają osiemdziesiąt centymetrów średnicy, więc mieściłem się w nich bez trudu. Wpełznąłem do środka i wkrótce dotarłem do tunelu B. Ostrożnie wychylnąłem na zewnątrz.

Przewód kończył się dokładnie nad środkową częścią

cią elektrowozu uprowadzonego pociągu, tylko ręką sięgnąć, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt centymetrów ode mnie. Na dole nie widziałem nikogo. Cały skład sprawiał wrażenie kompletnie wymarłego, jedynie za opalizującymi szybami kabiny sterowniczej dostrzegłem jakiś ruch. Wysunąłem się do pasa, oparłem dłoń na dachu, jedno odbicie nóg i zeskoczyłem miękko tuż obok kabłąkowego wysięgnika. Wyprostować się nie mogłem, było zbyt nisko; od dwóch grubych, miedzianych przewodów wysokiego napięcia dzieliło mnie zaledwie kilkanaście centymetrów. Położyłem się na brzuchu równolegle do ścian tunelu i wolno, wolniutko przeczołgałem się ku spłaszczonemu, opływowemu pyskowi maszyny.

Dokładnie siedem metrów i trzydzieści trzy centymetry za wysięgnikiem znajduje się kwadratowa kłapa. Ma dwa uchwyty: wewnętrzny, z którego korzystają technicy, zmuszeni awarią do wyjścia na dach, i zewnętrzny, wbudowany w zagłębienie stalowych blach. Tego drugiego używa się w szczególnych wypadkach, takich jak na przykład katastrofa, kiedy trzeba szybko wdrzeć się do elektrowozu, a drzwi są zakleszczone. Katastrofa lub sytuacja, w jakiej znalazłem się ja. Nacisnąłem blokadę zamka.

Półmrok. Cisza. Zapach smaru i swąd rozgrzanej instalacji. Potem szmer, jakby przesuwano się coś szorstkiego. Delikatny trzask i czyjś stłumiony głos. Nie rozumiałem słów, ale tam, z przodu, w kabinie sterowniczej było ich co najmniej dwóch. Rozmawiali. W nozdrza uderzyła mnie woń aromatycznego papierosa. Oparłem kłapę o dach i spuściłem nogi w otwór. O-

strożnie, prawie nie ocierając się o wyłożone gumową uszczelką boki, wsunąłem się do środka i zawisłem nad podłogą w tylnej części maszynowni. Gdybym zeskoczył i czekał na ich reakcję, nie miałbym szans. Ostrzeżeni hałasem, wypadliby ze sterówki i unieszkodliwili mnie w mgnieniu oka. Jedyna nadzieja w zaskoczeniu. Ich kumple czatowali w przejściu do tunelu serwisowego, być może również za pociągami mieli swoje czujki, tych dwóch w kabinie mogło się więc czuć względnie bezpiecznie. Spodziewali się ataku z przodu, z boku, z tyłu, ale nie z wnętrza składu, który kontrolowali. Odetchnąłem głębiej, rozluźniłem palce i zeskoczyłem. W momencie lądowania przerzuciłem uzi na pas, odwiodłem bezpiecznik i runąłem w stronę kabiny. Szarpnąłem uchylone drzwi, odskoczyły z hukiem, odbiły, szarpnąłem jeszcze raz i przytrzymałem je barkiem.

Facet po lewej nawet nie drgnął. Wbił we mnie szeroko otwarte ślepią, gapił się, nic nie rozumiejąc, i ten cholernie aromatyczny papieros wypadł mu z ust. Jego kumpel okazał się nieco bystrzejszy. Szybko otrząsnął się z szoku i poderwał się z fotela, na którym zazwyczaj siedzi pomocnik maszynisty. Skoczył ku mnie, odtrącił lufę uzi, broń plunęła ogniem w sufit i zwarliśmy się w mocnym uchwycie. Cofnąłem nogę, wbiłem mu kolano w brzuch i odepchnąłem go na pulpit. Zwinął się, sprężył i uderzył znowu. Zaskoniłem się lewą ręką, przeczuwając, co knuje, lecz zmylił mnie w ostatniej chwili i zamiast głowy zaatakował pierś. Cios był silny, ale on sam też odczuł jego skutki, bo trafił pięścią w spojenie kamizelki. Syknął z bólu, skulił się z

ręką między udami i już nie wykazywał chęci do dalszej walki.

— Kłaść się! Twarzą w dół! Obaj! — krzyknąłem. Usłuchali. Zabrałem im broń i odłączyłem magazynki. — Gdzie inni? — spytałem. Milczeli. Włączyłem radiostację. — Taffy? Tu Clive. Mam dwóch z elektrowozu. Połącz się z chłopakami. Powiedz im, że reszta towarzystwa... Poczekać chwilę. — Spojrzałem na tego bystrzejszego. — Ty? — Traciłem go nogą. — Wstawaj! Stań przy drzwiach. — Podniósł się ciężko, ale z uśmiechem. — Gdzie reszta? — powtórzyłem. Nie miałem nastroju do żartów. — Słuchaj, stary, zganiałem się przez was jak wściekły pies. I to na dzień przed urlopem. Nie utrudniaj sprawy, dobrze?

— Szukaj sobie... stary — odparł bezczelnie i sięgnął po papierosa.

Z odległości dwóch metrów wyprułem mu w brzuch pół magazynka. Tego się chyba nie spodziewał; wyrzuciło go przez drzwi na korytarz.

— Twojego kolegi już nie ma — poinformowałem drugiego, który leżał u moich stóp. — Gdzie kumple?

— W tunelu ewakuacyjnym.

— Ilu?

— Dwóch.

— Jest was tylko czterech?

Skinął głową.

Przetarłem twarz dłonią. Boże, jak ja mam tego wszystkiego dosyć... Wyjechać, muszę wyjechać...

— Taffy? Jest ich tylko czterech. Dwóch w tunelu. Niech chłopcy się nimi zajmą. Ja nie mam siły. — Odło-

żyłem broń i zapaliłem papierosa. Tamten wciąż leżał.
— Dobra, wstawaj, wystarczy — powiedziałem.

Otworzyły się drzwi i do kabiny sterowniczej wszedł facet, do którego strzelałem.

— Można? — spytał niepewnie.

— Poparzyłem cię? — Zerknąłem na jego osmaloną ogniem kurtkę. — Przepraszam. Boli?

— Czy mogę o coś spytać, panie kapitanie?

— Wal.

— Gdybyśmy naprawdę porwali ten skład, gdyby to nie były ćwiczenia, gdybym był z IRA, czy pan kapitan strzelałby z taką samą determinacją?

— Gdybyście uprowadzili pociąg z zakładnikami i gdyby udało mi się tu wdrzeć tak jak teraz, rozwalilibym was bez wahania. I nie mierzyłbym w brzuch. Strzelałbym w głowę, skutecznie, żeby zabić. Zresztą, po co pytasz? Zrobiłbyś to samo, prawda?

Przymknąłem oczy. Znów zamarzyło mi się morze. Ciepłe, egzotyczne morze. Spokój. Cisza.

W tunelu niosły się kroki moich ludzi. Wracali.

Rozdział 2

Czwartek, 15 lipca, godzina 20.30

Środek lipca potrafi być wredny. Zwłaszcza w Anglii. Szczególnie wredny jest dla pechowców, którzy szesnastego lipca zaczynają tygodniowy urlop. Mój urlop zaczął się właściwie godzinę temu i szkaradniejszej pogody nie umiałem sobie wyobrazić. Padało. Deszcz to mżył, to przybierał na sile, a wówczas z nieba lały się potoki wody. Wiatr, który chyba nie znosił rozległych przestrzeni Dollands Moor, w Londynie najwyraźniej czuł się w swoim żywiole, bo hulał po ulicach tak, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata.

Taffy podrzucił mnie do rogu Queen's Grove i Avenue Road. Dalej nie mógł, śpieszyło mu się. Ale i tak oddał mi przysługę, bo metrem włókłbym się godzinę. „Dzięki, Taffy — powiedziałem — teraz już sobie poradzę, to niedaleko”, lecz gdy zatrzasnąłem za sobą drzwi samochodu, natychmiast zwątpiłem w prawdziwość swoich zapewnień. Nie miałem parasola, żadnego płaszcza, ubrany byłem w letnią marynarkę, koszulę, spodnie i zamszowe buty. Nim dopadłem zadaszanej witryny najbliższego sklepu, po karku ściekał mi obfity strumyk wody. Zrobiło się zimno. Usiłując osłonić twarz, podniosłem kołnierz, ale wiatr, jakby

wyczuwając moje nieczne zamiary, zmieniał błyskawicznie kierunek, więc obracałem się raz w tę, raz w tamtą stronę niczym figurynka na starej pozytywce.

Do Erskine Road był kawałek drogi. Z Queen's Grove najlepiej dojechać tam autobusem, ale kręcąc się pod daszkiem witryny przez dziesięć minut, nie zauważyłem żadnego — widocznie londyńskie autobusy też ulegają wpływowi pogody. Próbowałem złapać taksówkę, choć martwiłem się, czy aby od wilgoci nie rozmiękły pieniądze w wewnętrznej kieszeni marynarki. Połowanie na taksówkę jest w takim deszczu najprzedniejszą zabawą. Widząc nadjeżdżający wehikuł, człowiek rzuca się do krawężnika, macha rozpaczliwie rękami, by za chwilę spostrzec, że pojazd jest już zajęty przez kogoś równie przemoczonego, ale jakże szczęśliwego. Wtedy pod żadnym pozorem nie należy się czym prędzej wycofywać na pozycje maksymalnie oddalone od jezdni, gdyż taksówkarz straci swoją porcję uciechy. Trzeba wytrwale stać w miejscu i czekać, aż strugi deszczówki wymieszane z błotnistą mazią na asfalcie chlusną z impetem spod kół rozpedzonej landary i zaleją wszystko i wszystkich w promieniu dziesięciu metrów. Dwa razy próbowałem — bez skutku. Kiedy za trzecim razem taksówka zatrzymała się i kierowca oznajmił, że pojedzie tylko i wyłącznie na Ealing, odkryłem w sobie coś z masochisty: wyprostowałem się i ruszyłem do domu piechotą, krocząc środkiem zalanego po kostki chodnika.

Mieszkałem w znakomitej dzielnicy Londynu, za Primrose Hill. Mieszkanie nie było moje. Płaciłem za nie właścicielowi horrendalny czynsz i ledwie mi star-

czało na skromne życie i spełnianie drogich zachcianek Jane. Lubiałem Erskine Road ze względu na jej niską, pięciopiętrową zabudowę tonącą w morzu zieleni, która spływała z wyżyn parku Primrose. Lubiłbym ją jeszcze bardziej, gdyby z Queen's Grove szło się tam pięć minut. Ale nie, na Erskine Road szło się znacznie dłużej.

Gdy maszerowałem Elsworthy Road, wiatr zerwał układ o przyjaźni z deszczem. Teraz wariowały na zmianę: to lało jak z cebra w bezwietrznym zimnie, to przestawało, a wówczas zrywała się wichura. W butach cmokała mi woda, zamsz trafił szlag, koszula przywarła do ciała i niemiłosiernie piła pod pachami, zdeformowana marynarka nadawała się chyba do wyrzucenia, a ja wciąż parłem naprzód, odnajdując w tym jakąś dziką satysfakcję. Przy Oppidans Road zacząłem marzyć o gorącej kąpieli. Naszła mnie nawet szaleńcza myśl, by włączyć w łazience ogrzewanie, ale przypomniałem sobie, że po pierwsze, jest środek lipca i kaloryfery nie działają, a po drugie, zgodnie z tutejszą architektoniczną paranoją centralne ogrzewanie instaluje się w każdym, absolutnie dowolnym punkcie mieszkania oprócz łazienki. Wszystko dlatego, że łazienka jest — przynajmniej teoretycznie — jedynym miejscem, gdzie człowiek rozbiera się do naga, wchodzi do wody, potem z niej wychodzi i jako szanujący się dżentelmen, dygocząc z zimna, daje szansę wszelkiego rodzaju bakteriom. Niech też się zabawią, jak demokracja, to demokracja. Kusząca wizja ciepłej łazienki zniknęła ostatecznie na Ainger Road, a na rogu

Erskine Road myślałem już tylko o szklaneczce whisky i gorącej kąpieli.

Otworzyłem frontowe drzwi i wytarłem buty. Zostawiwszy na gumowej wycieraczce sporą kałużę, wszedłem do holu. W skrzynce na listy leżały — a cóż by innego? — jakieś listy. Wymacałem w kieszeni klucze, zeszytwniałymi z zimna palcami wyjąłem pocztę i ruszyłem do windy. Nacisnąłem guzik piątego piętra, wyłożona brązowym dywanem klatka drgnęła i pojechałem. Zerknąłem na koperty: kilka druków z towarzystwa reklamowego Spencera i dwa listy, jeden adresowany ręcznie, drugi na maszynie. Wzruszyłem ramionami. Nie, nie teraz, później.

Im bliżej mieszkania, tym bardziej się niecierpliwiłem. Winda w końcu stanęła. Pchnąłem drzwi, wypadłem na korytarz i znów musiałem szukać kluczy, które tymczasem schowałem w tylnej kieszeni spodni. Te cholerne koperty przeszkadzały mi jak diabli, więc wepchnąłem je za pazuchę, chwyciłem klamkę, zgrzytnąłem kluczami i już miałem przekroczyć próg mieszkania, gdy zauważyłem Amadeusza.

— Dobry wieczór panu — powiedział.

— Dobry wieczór, panie Carr — rzuciłem szybko.

— Mam wielką prośbę. Czy byłby pan łaskaw oddać moje ubranie do pralni? Przemokłem jak nigdy.

— Oczywiście, proszę pana, natychmiast. Zaczekam tutaj — odrzekł i stanął dyskretnie z boku.

Amadeusz Carr był dozorcą. Zwykle siadywał na dole, w holu, przy głównym wejściu. Zajmował niewielką kłitkę na półpiętrze, gdzie miał podręczny składowik na narzędzia, szczotki i inne różności, potrzebne

do utrzymania budynku w należytych stanie. Dbał o podziemny garaż, o kanalizację, naprawiał, łątał, odnawiał, czyli mówiąc krótko, był człowiekiem bezcennym. Uśmiechnąłem się do niego moim najcieplejszym uśmiechem, otworzyłem drzwi, rozebrałem się, podałem mu przez próg spodnie i marynarkę, po czym wpadłem do łazienki i odkręciłem wodę.

Gdy Jane gdzieś wybywała i nie miałem do kogo otworzyć ust, wynajdywałem sobie drobne przyjemności, które choć w minimalnym stopniu rekompensowały mi jej brak. Jedną z nich było oglądanie obrazów i plakatów Toulouse-Lautreca, a drugą moczenie się w wannie i popijanie specjalnej mikstury, której wynalazcą była moja świętej pamięci babcia Litwinka. Przepis jest taki: do szklanki wlać dwie części whisky, najlepiej amerykańskiego bourbona, bo smakiem przypomina trochę dobry samogon, dodać pół części wody, trzy krople campari, odrobinę miodu, plasterki cytryny i lód. Miesza się to wszystko i sący powoli, a dobry papieros wydatnie podnosi jakość trunku.

Siedziałem zanurzony po szyję i czekałem, aż wyparują ze mnie zmęczenie i chłód. Wypiłem jedną szklankę i nabrałem ochoty na drugą, ale rozsądek wziął górę. Byłem już mocno spóźniony, miałem zaraz sięść za kierownicą, a u Wingfielda-Digby'ego nie wymówiłbym się od przynajmniej symbolicznego drinka. Odstawiłem pustą szklaneczkę, wyszedłem z wanny, natarłem ciało najgrubszym ręcznikiem i poszedłem do sypialni. W szafie znalazłem stos czystych koszul, które Jane wyprasowała przed wyjazdem, czyste skarpetki i bieliznę. Włożyłem ciemny garnitur i dobrałem

krawat tak, jak mnie uczyła. Byłem gotowy do wyjścia.

Winda czekała na piątym piętrze. Nacisnąłem dolny guzik i zjechałem do garażu, gdzie stał mój sportowy, dwumiejscowy porsche. Kupiłem go rok temu i nikomu, nawet Jane, nie pozwalałem się do niego zbliżyć. Był lśniący, zwinnie, aerodynamiczny, dawał się znakomicie prowadzić i choć sprzedawca namawiał mnie na model z automatyczną skrzynią biegów, wybrałem egzemplarz tradycyjny, z krótką, dopasowaną do ręki dźwignią, umieszczoną w wyłożonej pluszem podłodze. Zawsze lubiłem sam decydować, kiedy jechać wolniej, a kiedy szybciej i nie rozumiem kierowców, którzy bez sprzeciwu akceptują precyzyjnie skalkulowane wytyczne bezdusznego mechanizmu. Spojrzałem na zegarek, wskoczyłem za kierownicę, odpaliłem silnik i samochód wydał z siebie głuchy pomruk. Wcisnąłem sprzęgło, wrzuciłem bieg, dodałem gazu i wóz potoczył się lekko, lawirując między nieruchomymi samochodami. Na rampie wychodzącej na ulicę ryknął głośno, zapiszczał oponami i gładko włączył się w późnowieczorny ruch.

Nicholas Wingfield-Digby mieszkał w Lower Holloway na Bovary Place, dokąd przy normalnej pogodzie można dojechać w pół godziny. Jednak akurat tego wieczoru ludzi opętała najwyraźniej nieodparta pokusa, żeby na przekór lipcowej burzy wyjść z domów, wsiąść do samochodów i ruszyć w miasto. O dwudziestej drugiej sznur pojazdów ciągnących Chalk Farm Road nie miał końca. W mokrym asfalcie odbijały się setki świateł, setki kół rozjeżdżały brud naniesiony przez wodę, której nie mogły wchłonąć zapchane stu-

dzienki kanalizacyjne. W setkach aut siedziały setki ludzi, którzy podobnie jak ja klęli pod nosem i z nadzieją rozglądali się na wszystkie strony, próbując znaleźć w strumieniu pełzających wozów jakąś małą, niezauważoną przez sąsiada lukę, gdzie można by wjechać, nieco przyspieszyć i wysforować się dwadzieścia metrów naprzód. Przy Kentish Town Road nie działały światła i natychmiast utworzył się gigantyczny korek. Z trudem udało mi się zmienić pas i skrócić w Parkway, gdzie ruch był zresztą jeszcze większy.

Dopiero na Camden Road zdołałem wrzucić trójkę. Ale jechałem tak tylko chwilę, bo Camden Road wkrótce się skończyła. Zredukowałem do dwójki nie dlatego, że natężenie ruchu znów wzrosło. Zwolniłem, ponieważ główny strumień samochodów skręcał w prawo, w jasno oświetlone ulice, a ja, chcąc dotrzeć do Lower Holloway, musiałem zapuścić się w strefę, gdzie nocą zmotoryzowanych widuje się nader rzadko, o pieszych nie wspominając.

Camden Park jest przeciwieństwem Primrose Hill. Tam można spacerować o drugiej nad ranem bez obawy, że wróci się uboższym o zawartość portfela. Tam spotka się o tej porze policjanta, który grzecznie zaszalutuje i spyta o samopoczucie. Tam wreszcie są latarnie, które w Camden Park najwyraźniej czują się kiepsko. Przejeżdżałem tamtędy kilka razy, tylko za dnia, i nie zachowałem najmilszych wspomnień. Park jest ponury, gęsto porośnięty zaniedbaną olszyną. W asfalcie roi się od dziur, a dookoła czyhają stada podejrzanych typów, których jedynym zajęciem zdaje się czatowanie na dwunożny łup. Nie wiem, kto przy

zdrowych zmysłach tam chodzi i sunąc ciemnymi alejkami zastanawiałem się, czy ten nocny element grasujący wśród krzewów nie obawia się, że sam kiedyś oberwie w łeb od innego elementu, który omyłkowo weźmie go za potencjalną ofiarę? Modliłem się też, żeby jakaś dziarska kropla wody nie znalazła sobie otworu w uszczelce maski chroniącej silnik i nie dotarła do regulatora zapłonu. Przymusowy postój w Camden Park o dziesiątej wieczorem wcale mi się nie uśmiechał.

Jechałem i rozmyślałem o tym, co czeka mnie u Wingfielda-Digby'ego. Bywałem u niego rzadko i tylko dlatego, że miał wspaniałą kolekcję szkiców Lautreca, za którym przepadam. Przepadam za nim i nie ma to żadnego związku z moją przeszłością, kiedy na obrazy nie patrzyłem bynajmniej okiem kolekcjonera. Natomiast Wingfield-Digby sądził, że odwiedzam go z racji jego wspaniałej, niepowtarzalnej osobowości, i cieszył się, że choć sześćdziesięcioletek, wciąż jeszcze może być znakomitym kompanem dla ludzi młodszych. Otaczał się kobietami, robił im prezenty, był duszą towarzystwa, ale jego przyjęcia miały dwie zasadnicze wady: Wingfield-Digby gustował w podłej jakości trunkach i nie tolerował palaczy. Dlatego z góry wiedziałem, jak potoczy się ten lipcowy wieczór: zamienię z nim kilka słów, zniknę w galerii i nie mogąc wytrzymać bez papierosa dłużej niż godzinę, ucieknę do domu. Pójdę spać, wstanę rano, złapię samolot do Glasgow i w południe będę już z Jane.

Jechałem z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zachodnią część parku oddziela od Crayford

Road czterometrowej głębokości rów, gdzie przed laty płynął chyba nieliczy strumień. Teraz leżą tam kamienie, rośnie zielsko i niskie krzaki. Rów ciągnie się wzdłuż Crayford Road, do której prowadzi wąski, drewniany most. Skręciłem na prosty odcinek alejki, w oddali majaczyły zabudowania Lower Holloway, gdy z tyłu, za mną, pojawił się naraz jakiś samochód. Pędził jak wariat, na długich światłach. Nieopatrznie spojrzełem we wsteczne lusterko i oslepiony, instynktownie zasłoniłem ręką oczy, zjechałem nogę z gazu, lekko wcisnąłem hamulec i zjechałem w lewo. Przez moment nie widziałem nic, czułem tylko, że tamten jest tuż, tuż, że nie zmieścimy się razem na moście, że jeden z nas musi się zatrzymać, nim będzie za późno. Mrugając nieprzytomnie, odwróciłem głowę i wtedy go ujrzałem.

To był duży, ciemny mercedes. Jechał wprost na mnie, zdawało się, że celuje w prawy tylny błotnik porsche'a, że chce go zepchnąć z drogi i zmusić do jazdy miękkim poboczem, które kilkadziesiąt metrów dalej przechodziło w strome zbocze rowu. Usłyszałem zgrzyt blachy o blachę. Mój samochód zarzucił ostro, skontrowałem kierownicą i widząc, że mam do czynienia z szaleńcem, wcisnąłem pedał gazu do oporu. Porsche zawył, rozorał murawę i wystrzelił skosem do przodu. Wpadłem na most pierwszy. Mercedes za mną, ale na prostej nie miał szans. U wylotu Crayford Road zahamowałem; tu zaczynała się cywilizacja. Mercedes śmignął z prawej i wymusił pierwszeństwo na jakimś biednym volkswagenie. Pisk opon, zdławiony ryk silnika i ciemna limuzyna zniknęła za najbliższym zakrętem.

Rozdział 3

Czwartek, 15 lipca, godzina 23.30

Kiedy już obejrzałem szkice Toulouse-Lautreca, Nicholas Wingfield-Digby usadził mnie przy dużym kominku w towarzystwie dwóch nudnych facetów i wcisnął mi w dłoń kieliszek francuskiej brandy.

Nie cierpię ani siedzenia przy kominku, ani francuskiej brandy, ani nudnych facetów. Kominek jest urządzeniem jedynym w swoim rodzaju i potwierdza teorię George'a Mikesa, że Anglicy są ludźmi kompromisu. Wymyślili mianowicie kominek po to, żeby siedząc do niego przodem, rozgrzewać twarz, kolana i ręce, a chłodzić plecy wraz z tym, co poniżej. To właśnie kominek ostatecznie rozwiązał kwestię, jak się ogrzać i jednocześnie złapać katar. Francuska brandy jest z kolei trunkiem, który moja świętej pamięci babcia Litwinka nazywała „swistalis”. Nie rozumiałem, o co jej chodzi, dopóki sam, w wieku lat dziesięciu, nie spróbowałem napoleona. Pierwszy tyk i człowiek czuje się tak, jak po kieliszku acetonu: policzki mu się zapadają, tchu brak, wciąga przez zaciśnięte zęby haust powietrza, wydając przy tym cichy świst, który milknie, gdy kubki smakowe na języku i podniebieniu dotyka długotrwały paraliż. Nudni faceci, a do nich zali-

czął się bez wątpienia Giles Norn, asystent Wingfielda-Digby'ego, są po prostu nudnymi facetami, takimi, co to zapisują się do ekskluzywnych klubów w City, wpadają do nich codziennie, żeby usiąść, zapalić fajkę lub cygaro, broń Boże nie zamienić z nikim ani słowa, po godzinie wyjść, a po miesiącu uścić za tę niebagatelną przyjemność czterysta funtów szterlingów. Tego drugiego nudziarza nie znałem, nie dosłyszałem nawet jego nazwiska, bo przedstawił się w typowo angielskim stylu, mamrocząc coś pod nosem.

Zastanawiało mnie zachowanie Wingfielda-Digby'ego. O ile na poprzednich spotkaniach moje towarzysstwo wyraźnie mu imponowało, brał mnie pod ramię, przedstawiał na lewo i prawo — „To jest pan O'Casey, szef brygad antyterrorystycznych z Dollands Moor” — o tyle teraz zdawał się robić wszystko, byle tylko nie stanąć ze mną twarzą w twarz. Za nic na świecie nie mogłem też zrozumieć, dlaczego nagle zaczął się interesować wzrostem cen pszenicy w USA, spadkiem włoskiego lira, tym, co go do tej pory absolutnie nie obchodziło. Rozprowiał na najnudniejsze tematy i dziwnym trafem zawsze z gośćmi, którzy kręcili się daleko od kominów.

Giles Norn siedział za to tuż obok i przypatrywał mi się wzrokiem rozanielonego grzechotnika. Miał dziwne oczy, jakieś takie szkliste i nieruchome. Z uśmiechem przyklejonym do wąskich, krzywych ust zadawał mi grzecznościowe pytania, na które udzielałem grzecznościowych odpowiedzi wiedząc, że to, co mówię, obchodzi go dokładnie tyle, ile mnie jego wymuszone zainteresowanie. Gdy rozboleły mnie mięśnie

twarży i zaczynałem się poważnie obawiać, że głupi wyraz uprzejmego zainteresowania przyłgnie do niej na zawsze, dyskretnie spojrziałem na zegarek.

— Spiesz się pan, kapitanie? — zapytał.

— Niestety, muszę jutro wstąpić — odparłem. — Wyjeżdżam na urlop do Szkocji.

— Ach, tak... A jak tam w pracy? Wszystko w porządku?

Norn nigdy mnie o to nie wypytywał.

— W pracy? Tak, jak najbardziej. A u pana?

Przecisnąłem się przez tłum gości i stanąłem przy drzwiach. Tam raczył mnie zauważyć Wingfield-Digby.

— Tak szybko, chłopcze? — Wyciągnął rękę. — Nie zdążyliśmy dzisiaj porozmawiać, szkoda, może następnym razem... Obejrzałeś sobie Lautreca? W pracy wszystko w porządku?

Wypytywanie o pracę zaczyna być w modzie, pomyślałem, marząc o papierosie; minęła godzina i mój organizm łaknął nikotyny. Pożegnałem się, za drzwiami natychmiast zapaliłem i szybko zbiegłem po schodach. Byłem wolny, wolny jak ptak.

Zaparkowałem tam gdzie zwykle, czyli przy drzwiach windy. Usiłowałem obejrzeć wgniecenie w błotniku porsche'a, ale światło było tak kiepskie, że niewiele zobaczyłem. Machnąłem ręką — zajmę się tym po powrocie. Nacisnąłem przycisk, lecz nie odezwał się znajomy stukot ruszającej z góry windy. Przycisk żarzył się jednostajnym, mdłym ognikiem i nie

działo się nic. Obszedłem samochód, otworzyłem drzwi na schody i nie mając innego wyboru, zacząłem wspinaczkę.

Na drugim piętrze spotkałem sąsiada, pana Crofta. Ubrany w jasny płaszcz i piękne buty z krokodylowej skóry, stał tyłem do mnie i manipulował przy zamku. Znamy się z widzenia, kłaniamy sobie, dlatego pozdrowiłem go krótko i pomaszerowałem dalej. Na czwartym piętrze wyjąłem z kieszeni klucze i pobrzękując nimi w jakimś absurdalnym rytmie, pokonywałem ostatnie stopnie. Korytarz, drzwi, klucze... i zastygłem z ręką zawieszoną centymetr nad klamką.

Drzwi były nie domknięte. Nie jestem roztargniony i mógłbym przysiąc, że wychodząc do Wingfielda-Digby'ego zamknąłem je na trzy zamki. Teraz były otwarte, a wzdłuż framugi ziała czarna szczelina. Wolno, wolniutko odwróciłem głowę i spojrzałem w lewo. W korytarzu panowała niezmacona, nocna cisza. Nasłuchiwałem chwilę. Z mieszkania także nie dobiegał żaden dźwięk. Popatrzyłem w stronę windy. Uruchamiający ją przycisk świecił żółtawo, jak ten w garażu, ale zaintrygowało mnie co innego. Otóż umieszczone głęboko w ścianie drzwi windy, zwykle niewidoczne z miejsca, gdzie stałem, były lekko uchylone. To tłumaczyło, dlaczego nie udało mi się jej ściągnąć. Spojrzałem uważniej i wyjaśniło się coś jeszcze.

Na wykładzinie, tuż obok obitego drewnem rogu ściany, leżał skórzany but. Jego obcas blokował drzwi. To śmieszne, ale znałem ten but, znałem jego właściciela! Rzuciłem się do windy, szarpnąłem za gałkę i oczom moim ukazał się koszmarny widok.

W środku leżał Amadeusz Carr. Twarz miał zalaną krwią. Leżał na wznak, z rękami skrzyżowanymi na piersi i szeroko rozrzuconymi nogami. Żył. Poruszał ustami jak w niemej modlitwie, oddychał ciężko, z wysiłkiem. Zdjąłem marynarkę i podłożyłem pod jego głowę. Chusteczką otarłem mu oczy, ostrożnie odgarnąłem zlepione włosy. Rana na czole jeszcze krwawiła, ale kości czaszki zdawały się nie naruszone.

— Amadeusz — szepnąłem. — Panie Carr!

Spojrzał na mnie zamglonym wzrokiem i chyba nie poznał. Twarz mu się skurczyła, uniósł rękę w obronnym geście, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł.

— Panie Carr! To ja, Clive O'Casey! Co się stało?

Jęknął cicho, w jego oczach pojawił się nikły przebłysk świadomości. Przełknął ślinę.

— Tam... — wychrypiął niewyraźnie. — Tam poszedł.

Odruchowo spojrzałem w głąb korytarza. Wstałem.

— Zaraz wracam. Niech pan się nie rusza.

Pchnąłem lekko drzwi do mieszkania. Otworzyły się na całą szerokość. Wewnątrz czaił się mrok. Prostokąt żółtego światła z lampy na korytarzu sięgał ledwie dwa kroki w ciemność, dalej nie widziałem nic. Wszedłem do środka i czym prędzej skoczyłem w lewo, poza zasięg lampy. Jeżeli tam, w aksamitnej czerni, ktoś jeszcze był, mieliśmy teraz równe szanse, gdyż po chwili moje oczy oswoiły się z mrokiem i zacząłem odróżniać zarysy mebli. Nie odwracając głowy, sięgnąłem do kontaktu. Cichy pstryk i... Sprytnie! Wyłączył korki.

Sunąłem wzdłuż ściany. Na półce, gdzie zwykle kładłem klucze, namacałem latarkę. Działała. Gabinet.

Na dywanie wałały się książki, półki biblioteczki były wymiecione do czysta. Szuflady biurka w rogu, przy zastoniętym oknie, leżały na podłodze wywrócone do góry nogami. Sypialnia. Na łóżku piętrzył się stos moich koszul, jakby szafa nie istniała. Jane dostałaby histerii. Książki na stoliku nocnym wyparowały, odnalazłem je ciśnięte w kąt, przy kaloryferze. Pokój Jane. Biurko przeszukane z iście pedantyczną dokładnością, stolik nocny opróżniony, wszędzie sterty papieru. Łazienka. Tu panował względny ład, tylko apteczka i szafka przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Jeszcze balkon. Otworzyłem go i w tym samym momencie usłyszałem hałas w holu. Ktoś skradał się cicho, ostrożnie, krok za krokiem. Ktoś skradał się do sypialni!

Schowałem się za drzwi i przywarłem plecami do futryny. Nie miałem bronii, nie zdążyłem jej odszukać, zresztą wątpliwe, czy znalazłbym rewolwer w tym baglaganie. Facet zatrzymał się, był tuż, tuż, dzieliła nas tylko gipsowa ściana, słyszałem jego ciężki oddech. Kopnąłem drzwi na wysokości klamki, uskokczyłem w prawo, sięgnąłem na oślep rękami, trafiłem na jego szyję, zacisnąłem kciuki i przygniotłem go do ziemi. Trzymałem mocno, nie zważając na zduszone jęki, jakie wydawał. Zapaliłem latarkę i oświetliłem mu twarz. To był Amadeusz Carr.

— Nie mam pojęcia, jak to się stało, pamię kapi-
tanie. Najpierw kręciłem się na czwartym piętrze,
sprzątałem trochę. Zjechałem na parter po Ajax i
wtedy usłyszałem, że trzasnęły drzwi wejściowe. Od-

wróciłem się, a on już stał przy mnie. Nawet nie przyjrzałem się jego twarzy. — Mówienie przychodziło Carrowi z wielkim trudem. Posadziłem go w fotelu i szykowałem mu drinka. — Nim zdążyłem otworzyć usta, trzasnął mnie czymś w łeb.

No tak... — pomyślałem w duchu. Facet mu przyłożył, wrzucił do windy, zabrał z portierni zapasowe klucze i pojechali razem na górę. Leżący na parterze nieprzytomny Carr mógłby zwrócić czyjaś uwagę.

— I nic, zupełnie nic pan nie pamięta? — spytałem. — Jak był ubrany?

— Pamiętam tylko tyle, że miał kapelusz z dużym rondem, kremowy prochowiec i buty... Tak, buty miał z krokodylowej skóry, ładne, drogie...

Podąłem mu pełną szklaneczkę.

— Ubiera się jak ten Croft z drugiego piętra. Spotkałem go po drodze — mruknąłem. — Proszę wypić duszkiem.

Spojrzał na mnie dziwnie i nie wypił ani kropli.

— Croft? — zdumiał się. — To on już wrócił? Przecież wczoraj wyjechał do Irlandii...

Potknąwszy się o szósty tom encyklopedii, wypadłem na korytarz i zatrzasnąłem za sobą drzwi windy. Piąte... czwarte... trzecie... Wlekła się jak ślimak w południowym upale. Zdawałem sobie sprawę, że to beznadziejne, że facet dawno już się zmył, ale byłem ciekaw, czy obrobił też mieszkanie Crofta, czy zadowolił się tylko moim. Drugie piętro. W korytarzu pusto. Szarpnąłem za klamkę. Nie ustąpiła. Zjechałem na parter. Kłąłem na czym świat stoi. Dopiero podczas rozmowy z Carrem uzmysłowiłem sobie, że Croft jest

człowiekiem niezwykle grzecznym, że zawsze odpowiada na pozdrowienie, tymczasem kiedy go mijalem na schodach, nawet się nie odwrócił i nie burknął ani słowa!

W pakamerze Carra, na dużej, wyraźnie oznakowanej tablicy, wisały zapasowe klucze. Klucze Crofta były na swoim miejscu. Brakowało tylko moich.

Położyłem się o drugiej nad ranem. Doprowadziłem mieszkanie do względnego ładu, a kiedy skończyłem, doszedłem do wniosku, że albo nie wiem, co trzymam we własnym domu, albo podczas włamania nie zginęło absolutnie nic. Browning leżał sobie spokojnie na sterce listów, chociaż mógł stanowić niezłą zdobycz. Facet nawet go nie tknął. W biurku miałem pięćset funtów, które podjąłem z banku cztery dni wcześniej z nadzieją, że w Szkocji nie spluczę się do suchej nitki. Znalazłem je pod oknem i przeliczyłem: było wszystko, co do grosza. Świecełka Jane też. Za pierścionek babci, który po niej odziedziczyła, można lekko dostać kilkaset funtów. Leżał na toaletce, tam, gdzie go zostawiła przed wyjazdem nad Loch Mor. Nic z tego nie rozumiałem, zupełnie nic. Czego ten człowiek chciał? Pomylił mieszkania?

Przewróciłem się na bok, zapaliłem lampkę i odszukałem papierosy. Co się, do diabła, dzieje? W czasie służby dzwoni do mnie jakiś idiota. Dzwoni pod ściśle zastrzeżony numer CSB i mówi, że jestem mu potrzebny. Jadę do Lower Holloway i rozpędzony mercedes usiłuje mnie ordynarnie zepchnąć z drogi. Wra-

cam do domu i zastaję to, co zastałem, tyle że do-
brotliwy włamywacz nie zabiera nic, żadnego łupu.
Bez sensu, kompletnie bez sensu. Te trzy wydarzenia
są od siebie niezależne i zupełnie przypadkowe. In-
czej być nie może. Przecież w Londynie co noc doko-
nuje się kilkuset włamań, co dzień jest paręset stłuczek
i wypadków samochodowych. A facet, który do mnie
telefonował... Chociaż zaraz... ten głos... Znajomy? E,
brednie!

Zasnąłem około trzeciej. Jak zwykle śniło mi się mo-
rze i palmy. Biegałem po plaży, w zaciśniętej dłoni
trzymałem coś białego, coś prostokątnego.

O ósmej usiadłem na łóżku. Miałem szeroko otwarte
oczy, bo sen uleciał tak nagle, jak się pojawił. Facet
musiał tu szukać czegoś małego, czegoś, co można u-
kryć na przykład między stronicami książki. Forsy?
Nie, cały mój majątek pozostał nietknięty. Dokumen-
tów? Nie mam w domu żadnych dokumentów, trzy-
mam je w CSB. Więc czego? Listów! Na Boga, listy!
Gdzie są listy, które przyszły wczoraj?

Przeszukałem biurko, szafę na ubrania, pokój Jane
— nie było ich nigdzie. Zrezygnowany, padłem na fo-
tel. Ukradziono mi listy. Ale po jaką cholere?! Po co
komuś plik bezwartościowej korespondencji?!

Ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłem. W progu, z
obandażowaną głową, stał Amadeusz Carr.

— Garnitur, panie kapitanie, prosto z pralni —
rzekł z bolesnym uśmiechem. — Czy zawiadomił pan
policję? Aha, w kieszeni marynarki znalazłem to...

I wręczył mi sześć białych, prostokątnych kopert.

Rozdział 4

Piątek, 16 lipca, godzina 8.30

Po wyjściu Carra usiadłem za biurkiem i rozłożyłem listy na blacie. Pierwszy oferował mi cały świat, jeśli tylko zechcę latać Arab Airlines. Mało tego, dawał mi nawet zniżkę na przelot, do Dubaju i z powrotem, gdybym zdecydował się wybrać linie lotnicze Saudi Arabia, a Egipt Air zachwalał najtańsze połączenie z Londynu do Los Angeles i upierał się, że Los Angeles jest miastem „Sztuki i Piękna”. Drugi list przypominał, że nadciąga Boże Narodzenie — czas jest rzeczą względną — i polecał przedświąteczne zakupy w sklepie dla „Ludzi Którzy Mają Wszystko”. Nie wiem, za kogo mnie brali. Fakt, Primrose Hill jest dzielnicą elegancką i drogą, ale nigdy nie będzie mnie stać na Anchorage, jak nazywali komplet złożony z kolczyków, naszyjnika i pierścionka, wysadzanych dwustu dwudziestoma dziewięcioma brylantami i jedenastoma szafirami, za jedyne czterysta pięćdziesiąt tysięcy funtów. Na wszelki wypadek od razu wyrzuciłem reklamówkę, żeby przypadkiem nie znalazła jej Jane. Trzeci i czwarty list zawierały rachunki z pralni i elektrowni, w sumie na sto pięćdziesiąt funtów; te włożyłem na dno

szuflady i przykryłem starym kalendarzem. Dopiero piąta koperta mnie zaintrygowała.

W dzisiejszych czasach mało kto pisuje listy. A jeśli już, to stuka je na maszynie, w pośpiechu i byle jak. Zaczyna sztuka epistolografii dawno upadła. Jednak koperta, którą teraz trzymałem, adresowana była ręcznie. Delikatnie rozciąłem ją nożem i wyjąłem list.

Ty sukinsynu (inaczej cię nazwać nie mogę za to, co zrobiłeś Alison, i za to, co zamierzasz zrobić; wiem, że to ty, ty to zrobiłeś, żeby mnie zastraszyć)!

Ostrzegam cię, sukinsynu, że dłużej milczeć nie będę. Dzisiaj wysyłam ujawniający prawdę list do szefa brygad antyterrorystycznych Centrali Systemu Bezpieczeństwa. Osobiście do niego. Nie mogę sobie wybaczyć, że nie postąpiłem tak wcześniej, że się bałem, że bałem się o własne życie. Ale dość, wystarczy. Niech twoje obłąkane plany diabli wezmą.

Jeszcze raz spojrzałem na kopertę. Było na niej moje nazwisko i adres. Adresu zwrotnego brak. Przypatrzyłem się uważnie podpisowi. O ile list napisany był wyrobionym i wyraźnym charakterem pisma, o tyle odczytanie podpisu sprawiło mi wiele trudności. Przeanalizowałem go litera po literze i doszedłem do wniosku, że nadawca nazywa się Kirkworster. Nie znałem żadnego Kirkworstera. Kirkworster to rzadkie nazwisko i gdybym choć raz je gdzieś spotkał, na pewno bym zapamiętał. Tuż za nazwiskiem widniał rząd drukowanych liter: CKTG. Kirkworster CKTG — nic, absolutnie nic mi to nie mówiło.

Zaparzyłem kawę, włączyłem radio i wróciłem do biurka. Po pierwsze, myślałem, nie jestem sukinsynem

Żaden facet nie ma prawa tak mnie nazywać. Po drugie, jedyna Alison, jaką udało mi się sobie przypomnieć, zdawała ze mną maturę, potem wstąpiła do misji sióstr zakonnych, a trzy lata temu wyjechała do Zairu, gdzie wkrótce zmarła. I nic jej nigdy nie zrobiłem. Po trzecie, od dziesięciu lat nie zastraszyłem żadnego porządnego faceta. Owszem, często zdarzało mi się mieć do czynienia z różnego rodzaju talatajstwem pod ciemnej gwiazdy, ale taki mój fach. Po czwarte, zgoda, noszę się z planami wyjazdu do Jane, do Szkocji, tylko dlaczego, na Boga, są to plany obłąkane i dlaczego mają je wziąć diabli? Wreszcie po piąte i najważniejsze, to właśnie ja, Clive O'Casey, jestem szefem CSB i nie dostałem żadnego listu ujawniającego jakąkolwiek prawdę.

Po raz trzeci uważnie obejrzałem kopertę. Ze stempla pocztowego wynikało, że list nadany został wczoraj, piętnastego lipca, w Londynie, około siedemnastej. Do Primrose Hill popołudniowa poczta przychodzi około dwudziestej, więc list znalazł się na Erskine Road tuż przed moim powrotem z Dollands Moor. W Centrali nie otrzymałem żadnej korespondencji, nikt mnie przed niczym nie ostrzegął i nie chciał ujawniać jakichś nie znanych mi faktów. Na wszelki wypadek naklepiłem numer działu operacyjnego. Nie, nic dla mnie nie mieli, ani listów, ani wiadomości. W TML nie nadzwyczajnego się nie dzieje, CSB funkcjonuje normalnie, wysiadł jeden transformator układu zabezpieczenia przeciwpożarowego, ale w nocy go wymieni-

Sprawa wydaje się prosta, choć nie do końca, duma-

łem, odłożywszy słuchawkę. Pan Kirkworster CKTG pisze list z wieloma zarzutami odnoszącymi się bynajmniej nie do mnie. Pisze nie do Clive'a O'Caseya, lecz do osoby nie mającej z Clivem O'Caseyem nic wspólnego. Kończy list, podpisuje się, wkłada go do koperty, po czym następuje coś niezrozumiałego: pan Kirkworster CKTG adresuje kopertę do mnie. Automatycznie nasuwają się trzy pytania. Pierwsze: kto jest owym „sukinsynem”, do którego zwraca się nadawca? Drugie: kim jest pan Kirkworster i co, u diabła, znaczą te nieszczęsne literki? I trzecie: skoro ten list jest nie do mnie, to gdzie się podział ten właściwy i jak prawdę miał ujawnić?

Wziąłem książkę telefoniczną i otworzyłem pod literą K. Znalazłem dwóch Kirkworsterów, ale po nazwisku żadnego z nich nie było literek CKTG. Pał diabeł CKTG, pomyślałem, może ważniejsze jest to, co przed nazwiskiem. Pierwszy Kirkworster miał na imię Mark, a przed „Mark” było napisane „Dr”. Zadzwo- niłem. Przedstawiłem się i poprosiłem do telefonu doktora Kirkworstera. Nie mógł podejść. Dosłownie. Od trzech miesięcy leżał sparaliżowany, nie był w stanie ruszyć ręką ani nogą. Nie, z pewnością do mnie nie pisał i w ogóle jak śmiem stroić sobie takie żarty. Drugi Kirkworster — ten miał przed nazwiskiem „Inż.” — też nie mógł osobiście odebrać telefonu, ponieważ rok temu zmarł.

Nagle przysłała mi do głowy niebywale błyskotliwa myśl. Jeżeli Kirkworster CKTG jest kimś ważnym, numer jego telefonu może być zastrzeżony! Zadzwo- niłem do informacji.

— Informacja. W czym mogę panu pomóc, proszę pana?

Panienci zatrudniane w informacji telefonicznej są obeszłaniająco uprzejme i nigdy nie umiałem z nimi rozmawiać.

— Chodzi mi o pana Kirkworstera...

— Służę panu. Gdzie mieszka pan Kirkworster? — zapytała pogodnie.

— Otóż... nie wiem. Chyba gdzieś w Londynie.

— A jak ma na imię? — Wciąż nie traciła dobrego humoru.

— Widzi pani, tego też nie wiem. Ale po jego nazwisku są litery CKTG.

Ta odpowiedź lekko zbiła ją z tropu.

— CKTG? Po nazwisku? Nie przed? — spytała niepewnie.

— Po. On się nazywa Kirkworster CKTG.

— Spróbuję go odszukać, proszę pana.

— W książce telefonicznej znalazłem dwóch, ale to żaden z nich. A gdyby miał zastrzeżony numer, czy wtedy...

— Przykro mi, ale wtedy go panu nie podam, proszę pana — wpadła mi w słowo. — Oddzwonię.

Kim jest ten Kirkworster CKTG? Odłożyłem słuchawkę i przypomniało mi się, że Amadeusz Carr bardzo nalegał, żebym o włamaniu zawiadomił policję. Czemu nie?

— Nazwisko i adres? — spytał basowy głos po drugiej stronie. Podałem. — Rodzaj włamania?

Myślałem chwilę.

— No... zwyczajne.

— Wylamane drzwi? Okno?

— Nie, miał zapasowe klucze. Obezwładnił i pobijał dozorcę.

— Zdarza się. Zeszłej nocy mieliśmy w Londynie sto dwanaście i pół włamania...

— Ten ostatni włamał się tylko do połowy?

— Sto dwanaście i pół włamania, statystycznie rzecz biorąc — odparł. — Przy tej okazji zginęło pięć i trzy czwarte osoby. Pański dozorca miał szczęście. Co zabrali?

— Nic.

— A daj mi pan spokój — burknął. — Meldunek przyjąłem. Sprawdzimy w swoim czasie. — Rozłączył się.

Przez chwilę wertowałem encyklopedię, po czym wzięłem z biurka nóż. Nie pozostawało mi nic innego, jak zająć się ostatnim listem, o którym w gorączce intensywnych rozmyślań zupełnie zapomniałem. Był pisany na maszynie.

Drogi Clive!

Potraktuj mój list jak wspomnienie z przeszłości. Dziesięć lat minęło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Nasze drogi rozeszły się i wiem, że jesteś teraz uczciwym, praworządnym poddanym Królowej. Chcę się z Tobą spotkać. Być może zadzwonię do CSB, choć to wątpliwe, bo pilnie strzeżecie swoich tajemnic, z numerami telefonów włącznie. Tak czy inaczej, wiem, że wkrótce wyjeżdżasz na tygodniowy urlop, dlatego zjawię się na Erskine Road w piątek, 16 lipca, o godzinie dziesiątej, żeby Cię złapać jeszcze przed wyjazdem. To bardzo pilne. Bądź zdrow.

Bert

PS Czy nadal lubisz Toulouse-Lautreca?

Radio wyrzucało z siebie potok informacji przeplatanych głośną muzyką. Jednak muzyka i popisy elokwentnego prezentera nie były głośne na tyle, żeby zagłuszyć metaliczny szczęk, jaki nieodłącznie towarzyszy przeładowywaniu automatycznego pistoletu. Sprężyna powrotna jest niezwykle silna i nawet gdy zwalniać ją delikatnie, odciągnięty zamek uderza w opornik z charakterystycznym odgłosem. Zadziałał instynkt nabyty przez lata praktyki, instynkt, dzięki któremu wciąż jeszcze chodzę po tej ziemi. W otwartej szufladzie biurka leżał mój holenderski browning. Bez namysłu sięgnąłem po niego, przewróciłem się do tyłu razem z fotelem, zamortyzowałem upadek lewą ręką, a prawa, uzbrojona, błyskawicznie powędrowała do góry. Gdy tylko zlokalizowałem cel, odciągnąłem bezpiecznik i zacząłem zwalniać spust.

Bert Flaherty stał w korytarzyku z angielskim webleyem kaliber jednaście i pół milimetra, waga — tyśiąc sto gramów, pojemność magazynka — siedem sztuk amunicji. Pocisk w momencie wystrzału osiąga co prawda prędkość ledwie dwustu trzydziestu metrów na sekundę, za to gdy trafi, robi w ciele człowieka dziurę wielkości talerza. Flaherty ocalił życie dzięki temu, że trzymał pistolet za lufę, kolbą w dół, a także dzięki uśmiechowi, który wykrzywił mu usta, i mojemu browningowi, którego spust zwalnia się na dwa skoki i doświadczony strzelec ma czas się upewnić, czy wyprawia na tamten świat właściwego człowieka.

Wstałem i odłożyłem broń.

— Następnym razem dzwoń do drzwi, a jeśli już musisz wchodzić bez pukania, zrób mi przysługę i nie

baw się tą armatą za moimi plecami — rzuciłem zdenerwowany. — Czego chcesz? To ty wydzwaniałeś do CSB? Skąd masz numer?

— Ciagle w formie, Clive — odrzekł, rozsiadając się w fotelu. — Świetnie, świetnie, tak samo jak przed laty, co, stary byku? — Zauważył moje zniecierpliwienie i uniósł ręce w uspokajającym geście. — Wiem, wiem, wyjeżdżasz na urlop. Dostałeś mój list? Uprzedzałem, że będę o dziesiątej.

Spojrzałem na zegarek. Punkt dziesiąta.

— Nie zajmę ci wiele czasu, Clive. Powiem krótko, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Tak, dzwoniłem do CSB, ale sam rozumiesz, tam nie ma warunków do rozmowy. Otóż proponuję ci wspólny skok. Zaczekaj, nie przerywaj. Tylko jeden skok i po krzyku, Clive! Jestem zmęczony, chcę zerwać z tą robotą, przejść na emeryturę, ale wiesz, że lubię dostatnie życie... — Spojrzał po ścianach — Mieszkasz nie najlepiej. Nie stać cię nawet na jednego, najtańszego Lautreca, harujesz od świtu do nocy, raz do roku pozwalasz sobie na krótki urlop w Szkocji...

— Skąd wiesz? — przerwałem.

— No nie, Clive! Czyżbyś zapomniał? — Klepnął się po udach. — Nigdy nie zaczynaliśmy roboty bez dokładnego rozpracowania terenu. Ale do rzeczy...

— Zaczekaj. Czy to ty załatwiłeś mi wczoraj mieszkanie i wyłączyłeś Carra? — „Załatwiłeś”, „wyłączyłeś”, tak się wtedy mówiło.

Zmarszczył czoło.

— Tego ciecica z dołu? Tego z obandażowaną głową? O czym ty mówisz, Clive — obruszył się.

Dobrze znałem Berta Flaherty'ego i wiedziałem, że nie kłamię.

— Po co miałbym to robić? Przychodzę do ciebie w interesach, które mają z twoim, pożałuj Boże, mieszkaniem tyle wspólnego, co...

— Konkrety, Bert. O co chodzi?

— To mi się w tobie zawsze podobało, stary byku, konkrety. Chodzi o duże pieniądze — rzekł poważnie.

— O cholernie wielki szmal. Szmal, o jakim ci się nie śniło, Clive. Tylko jeden, jedyny skok, coś w rodzaju tabunku, kapujesz? Gwarantuję, że mokra robota nie wchodzi w rachubę, nic z tych rzeczy. Idzie tylko o twoją obecność. Potrzebuję cię, zrób to w imię naszej dawnej przyjaźni.

— A jeśli odmówię, to co? — zapytałem.

Wzruszył ramionami i westchnął ciężko.

— Nic, stary byku, nic — odparł ze smutkiem. — Przecież nie mam na ciebie żadnego haka, nic nie mogę ci zrobić. Zresztą po co ja to w ogóle mówię? Przyjechałem z uczciwą propozycją, ale nie będę cię do niczego zmuszać. Zróbnmy tak: zastanów się, a odpowiesz mi później, zgoda? Masz na to całą dobę.

Pokręciłem głową.

— Nie, Bert. Dziesięć lat temu skończyłem z tym raz na zawsze...

Przerwał mi gestem ręki.

— Dwadzieścia cztery godziny do namysłu — rzekł, wstając. — Nie szukaj mnie, sam się do ciebie zgłoszę. Aha... — Zatrzymał się w progu. — Zamykaj drzwi na klucz. Były otwarte, dlatego wszedłem bez pukania. Nic dziwnego, że ktoś ci załatwił chałupę. Londyn to niebezpieczne miasto. Bywaj, Clive!

— Bert! — Wysunął głowę zza drzwi. — Czy mówisz ci coś nazwisko Kirkworster?

Myślał chwilę.

— Nie, chyba nie. To ważne?

Wyszedł i w tej samej chwili zadzwonił telefon — znajoma panienka z informacji.

— Znalazłam go, proszę pana! — wykrzyknęła triumfalnie. — Pan Kirkworster ma na imię Damian, mieszka w Woodford, na ulicy Trewince 43a! I nie ma go w książce telefonicznej, bo to nowy cmentarz.

— Słucham?!

— Pan Kirkworster jest grabarzem, proszę pana, ale bardzo mi przykro, po jego nazwisku...

— Nie ma literek CKTG — wpadłem jej w słowo — Bardzo pani dziękuję.

Ledwie odłożyłem słuchawkę, aparat zaterkotał ponownie.

— Clive? — Głos Berta Flaherty'ego. — Dzwonię do domu. Zapomniałem ci powiedzieć, za ile jest ta robota. Daję ci czterdzieści procent udziału. Wiesz, ile to jest. Równy sześćdziesiąt milionów funtów, stary byku.

Bert Flaherty albo zwariował, albo chciał obrabować Fort Knox.

Rozdział 5

Piątek, 16 lipca, godzina 10.30

Czwarty tom *Britanniki* na stronie 641 podaje: *CKTG* — Członek Królewskiego Towarzystwa Geologicznego. Tytuł honorowy przyznawany przez Królewskie Towarzystwo Geologiczne (—KTG) samodzielnym pracownikom naukowym, którzy wnieśli wybitny wkład w rozwój geologii lub nauk pokrewnych.

Kirkworster był więc członkiem Królewskiego Towarzystwa Geologicznego, samodzielnym pracownikiem naukowym i wniósł wybitny wkład w rozwój geologii lub nauk pokrewnych. To już coś. Spojrzałem na zegarek. Dziesiąta trzydzieści. Jeśli się pośpieszę, zdążę wpaść do muzeum na Knightsbridge i złapać samolot o czternastej. Plan nie był zły i przyćmił nieco wrażenia z wizyty Berta Flaherty'ego. Odruchowo sprawdziłem, czy zamki są przekręcone, chociaż nie miało to większego znaczenia. Mój nocny gość nie raczył zwrócić kluczy i gdyby znów zechciał zabawić się w moich apartamentach, nic by mu w tym nie przeszkodziło. Wsiadłem do windy i zjechałem do garażu.

Porsche stał na swoim miejscu, ale kiedy podszedłem bliżej, serce zabiło mi odrobinę mocniej. Tuż nad

zamkiem uszczelka szyby była minimalnie wgnieciona. Niewprawne oko pominęłoby ten nikły szczegół, ale ja jestem fachowcem, wiem, co takie wgniecenie znaczy, bo sam kiedyś zostawiałem podobne ślady na dziesiątkach wozów. To robota „na taśmę”. Drzwi każdego samochodu można łatwo otworzyć, jeśli zna się typ urządzenia blokującego klin zamka. Klin w większości zamków jest taki sam, ale układ bolców, zapadek i sprężyn blokujących to tajemnica producenta i trzeba się nieźle napracować, żeby go rozgryźć. Kiedy się go już rozgryzie, trzeba dobrać odpowiednią taśmę — czyli cienki, szeroki na centymetr i długi na trzydzieści centymetrów pasek elastycznej stali, który stanowi podstawowe narzędzie pracy chłopców obrabiających samochody. Wpycha się go za uszczelkę bocznej szyby na wysokości zamka, delikatnie przesuwa, w odpowiednim momencie wciska głębiej i drzwi są otwarte. Taśma zawsze zostawia ślady. W nocy ktoś dobrał się do mojego porsche'a.

Nikt nie potrafi wytłumaczyć, jak to się dzieje, że w kompletnie zaciemnionym pomieszczeniu z reguły wyczuwamy obecność drugiego człowieka, nawet jeśli się nie rusza, wstrzymuje oddech i robi wszystko, żeby pozostać nie zauważonym. W garażu paliło się kilka lamp, ale światło było podłe. Kątem oka dostrzegłem parę znajomych wozów: mazdę pani Smith z pierwszego piętra, małego forda sąsiada z czwartego, wielkiego rollsa pana Crofta. Chociaż nie widziałem koło nich nikogo, ów tajemniczy szósty zmysł szeptał mi, że w garażu ktoś jest. Ktoś obcy, kto mnie obserwuje.

Zrobiłem krok w prawo i kucnąłem przy błotniku.

Był paskudnie wgnieciony. Blacha wytrzymała, nie rozdarła się, ale lakier, rzecz jasna, nie wytrzymał i od zderzaka aż po wlew paliwa ciągnęła się głęboka, szkaradna rysa. Spojrzałem wyżej, na drzwi od strony pasażera. Dokładnie na środku ramy, w kątowniku łączącym dach z resztą karoserii, widniał mały otwór. Dotknąłem go opuszką palca: centymetr średnicy, brzegi wgięte do środka i poszarpane. Kątowniki samochodów marki Porsche wykonane są z grubej stalowej blachy. Żeby ją przebić, trzeba olbrzymiej siły. Żaden rykoszetujący na drodze kamień tego nie robi, nie mówiąc już o tym, że żaden kamień nie zostawiłby otworu o takich brzegach i z pewnością uszkodziłby lakier wokół. Mały otwór w moim porsche'u był typową przestrzeliną.

Usiadłem za kierownicą i chwilę bawiłem się kluczykami. Strzelano do mnie. Najpewniej wczoraj. Ktoś chciał mnie zabić, kiedy jechałem do Wingfielda-Digby'ego. Najpierw próbował zepchnąć mój wóz do rowu, żebym zginął w wypadku, jakich codziennie setki. Gdy się nie udało, użył broni. W ryku silnika, w trzasku zderzenia nie słyszałem nic. Zerknąłem we wsteczne lusterko i wtedy go zobaczyłem.

Granatowy mercedes stał tyłem do mnie, przodem do stromej rampy wychodzącej na ulicę. Za kierownicą siedział mężczyzna w kapeluszu z dużym rondem. Miał na sobie coś jasnego, kurtkę, lekki płaszcz albo marynarkę — nie widziałem dokładnie, było zbyt ciemno. Siedział nieruchomo i niby patrzył przed siebie, ale dobrze wiedziałem, że wbija wzrok we wsteczne lusterko równie intensywnie jak ja.

Seria dziwnych zbiegów okoliczności. Wyjazd do Wingfielda-Digby'ego i wyczyny mercedesa, powrót z przyjęcia i majstrujący przy drzwiach Crofta facet w butach z krokodylowej skóry. Pobicie Amadeusza Carra i znów mężczyzna w jasnym prochowcu, w kapeluszu z dużym rondem i w butach z krokodyla. Nie widziałem butów człowieka siedzącego w granatowym mercedesie trzydzieści metrów dalej, ale nie wierzyłem w aż takie zbiegi okoliczności.

Włożyłem kluczyk do stacyjki. Co zrobi, jeżeli uruchomię silnik i najzwyczajniej w świecie odjadę? Nie uruchomiłem silnika. Zadecydowały o tym dwie rzeczy. Przypomniałem sobie mianowicie, że wychodząc z mieszkania, zostawiłem na biurku list Kirkworstera CKTG, bez którego wypad do Knightsbridge tracił sens. Poza tym nie zabrałem broni. Nie lubię zbytniego ryzyka i jeśli ktoś do mnie strzela, w przeciwieństwie do wszelkiej maści telewizyjnych detektywów ja również strzelam. Wsiadłem, spokojnie podszedłem do wewnętrznego telefonu przy drzwiach windy i nakręciłem numer Carra.

— Znowu mam do pana prośbę, panie Amadeuszu. Nie, nie, dzisiaj nie przemokłem. Dzwonię z garażu, muszę wrócić na górę, bo zapomniałem paru drobiazgów. Czy mógłby pan wyprowadzić mój samochód? Spieszę się. Tak, kluczyki są w stacyjce. Wyjdę od frontu. Dziękuję panu.

Amadeusz Carr był człowiekiem powolnym. Dokładnym, ale bardzo powolnym. Gdy otwierałem drzwi do mieszkania, wychodził zapewne ze swojej paka-

mery, dokładnie przedtem sprawdziwszy, czy nie zostawił przypadkiem w popielniczce tłącego się niedopałka. Później, odruchowo, wolno i dokładnie przetarł szklaną gałkę w drzwiach w holu. Dopiero wtedy skręcił na schody, gdzie znów wolno i starannie wytarł niewidoczny pyłek na poręczy. Kiedy chowałem do kieszeni list, Carr przypuszczalnie stał koło samochodu. Otworzył drzwi i upewnił się, czy zostawiłem kluczyki. A może... Chryste!

Podbiegłem do biurka i trzęsącymi się rękami wybrałem numer garażu. Pomyliłem się i zacząłem od początku, modląc się głośno, żeby Carr był tym razem jeszcze powolniejszy i bardziej flegmatyczny niż zazwyczaj. Nikt nie odbierał. Gryzłem palce i czekałem, czekałem, czekałem. Po szóstym sygnale rzuciłem słuchawkę, wypadłem na korytarz i usłyszałem stukot windy, którą ktoś akurat ściągał na dół. Biegłem jak wariat, oczyma wyobraźni widząc, jak Carr zamyka drzwiczki porsche'a, wolniutko i nieudolnie sadowi się w fotelu kierowcy i sprawdza luz dźwigni zmiany biegów. Pierwsze piętro, hol, szklana gałka, którą pewnie przecierał, znów schody, drzwi do garażu. Amadeusz Carr wolno i dokładnie odpalił silnik. Zdażyłem jeszcze dostrzec jego zdziwione spojrzenie, jakby chciał mnie zapytać, dlaczego nie czekam na ulicy...

Eksplozja mnie ogłuszyła. Skutki wybuchu jakiegokolwiek materiału kruszącego w przestrzeni ograniczonej stalowymi blachami, betonowymi ścianami i niskim sufitem są po prostu straszliwe. Ładunek musieli umieścić pod maską, bo porsche stanął dęba, jego przód napuchł, zmienił się w ognistą kulę i pękł z po-

tężnym hukiem. Gdy samochód opadł wreszcie na cztery koła, ujrzałem widok jak z sennego koszmaru. Obok roztrzaskanych wybuchem drzwiczek, wyrwanych z zawiasów, rzuconych pod ścianę, ślaniało się coś na kształt monstrum. Amadeusz Carr. Eksplozja wyłuskała go z ubrania i zerwała mu skórę. Stał tam z pustymi oczodołami, z oskałpowaną czaszką, z kikutem prawego ramienia, które trzymało się na cienkim pasemku ścięgna, i macał wokół lewą ręką bez dłoni. Zachwiał się, zrobił krok w moją stronę. Leżałem na betonie zalanym benzyną, sparaliżowany strachem, w szoku, pozbawiony ludzkich odruchów. Chciałem wstać, zerwać się, biec do niego, lecz jakaś siła nie puszczająca mnie, podczas gdy Carr szedł dalej, wyjął niczym zwierzę, zanosząc się ni to krzykiem, ni płaczem. Później krew rzuciła mu się otworem, gdzie kiedyś miał usta, zeszywniał i jak szmaciana lalka upadł na dogorywający wrak porsche'a.

Drzwi mercedesa zamknęły się z miękkim cmoknięciem. Uniosłem głowę i wychyliwszy się nieco w prawo, zajrzałem w prześwit między kołami volkswagena, za którego cisnął mnie wybuch. Kierowca wysiadł i równym, spokojnym krokiem zmierzał w moim kierunku. Na nogach miał eleganckie buty z krokodylowej skóry. Obróciłem się na bok, sięgnąłem do kieszeni marynarki, ale ku swemu przerażeniu nie znalazłem broni! Zamiast browninga w kieszeni tkwił zmięty list Kirkworstera. Uświadomiłem sobie, że od chwili gdy w mojej głowie zrodziły się obawy o Carra, nie myślałem już o niczym innym, tylko o nieszczęsnym dozorczy. Pistolet został w mieszkaniu.

Popatrzyłem na windę. Dzieliło mnie od niej pięć, sześć metrów i istniała szansa, że zdążę tam dobiec, zanim facet w kapeluszu wpakuje mi kulę w łeb. Szansa istniałaby, owszem, gdyby nie pewien drobiazg: winda była zajęta. Gapilem się na maleńkie światelko, wbijałem w nie wzrok, chcąc telepatycznie ściągnąć dźwig do garażu. Jeszcze sekunda, jeszcze ułamek sekundy i... Tak! Udało się! Zacząłem wierzyć w moce nadprzyrodzone, byłbym nawet upadł na kolana i zaniósł serdeczne dzięki Wszechwiedzącemu Zarządcy Wszystkich Dźwigów, ale czas naglił. Zmobilizowałem siły, sprężyłem się w sobie i dwoma potężnymi susami skoczyłem ku windzie.

W środku stała pani Smith z pierwszego piętra. Staruszka właśnie otwierała wewnętrzne drzwi i wszystko byłoby dobrze, gdyby nagle nie spojrzała w szybkę. Nie wiem, jak wyglądała moja twarz, wiem tylko, że musiała zrobić na niej piorunujące wrażenie. Nim zdołałem chwycić gałkę, pani Smith wrzasnęła, zaparła się ręką o drewnianą ramę i wcisnęła pierwszy lepszy przycisk. Winda odjechała.

Podziwiałem zimną krew człowieka, który przyszedł mnie zamordować. Lada chwila z ulicy mogli nadbiec ludzie zaintrygowani wybuchem, lada chwila ogarnięta histerią pani Smith mogła oprzytomnieć i podnieść alarm, a on sobie stał i niespiesznie przeładowywał pistolet z długim tłumikiem. Błysnęła mi w głowie nieodrzeczna myśl, że kretynizmem jest używać tłumika, gdy kilkadziesiąt sekund temu garaż eksplodował z hukami dziesięciu armat, ale faceta nie interesowały

chyba moje myśli. Uniósł broń i wypluł z ust tłącego się papierosa.

Papieros zatoczył krótki łuk, upadł na ziemię i w jednej chwili podłoga garażu stanęła w płomieniach. Wybuch, który zabił Amadeusza Carrę, rozerwał zbiornik paliwa w moim samochodzie. Jakimś cudem benzyna nie zapaliła się od razu. Wyciekła na beton, a jej cuchnące opary w momencie zetknięcia z ogniem zamieniły się w rwący jak rozżarzona lawa błękitnawy strumień. Mężczyzna cofnął się i zasłonił twarz. Nie widziałem, co zrobił później, bo na złamanie karku pogałem do schodów prowadzących na parter.

Przeskakiwałem po trzy stopnie naraz, pewien, że facet w kapeluszu tak łatwo nie zrezygnuje. Korytarz i hol świeciły pustkami, ale od frontowych drzwi ktoś ku mnie biegł, biegł z bronią w rękę! Nie sprawdzałem, czy to współnik kierowcy granatowego mercedesa, czy może już policja; takie sprawdziany często kończą się śmiercią. Zawróciłem i pogałem na półpiętro, do pakamery Carrę. Okno! W żaden sposób nie dawało się unieść. Carrę chyba nigdy go nie otwierał, a poza tym między szybami wisiała drobna metalowa siatka, więc nawet gdybym stłukł szkło, niewiele by mi z tego przyszło.

Uderzenie w drzwi. Jedno, drugie, trzecie. To nie była policja. W cywilizowanym kraju policja najpierw uprzedza i wzywa, a dopiero później wchodzi i ewentualnie strzela. Amadeusz Carrę trzymał u siebie różne narzędzia. Mój wzrok padł na olbrzymi klucz francuski, którym w zeszłym miesiącu odkręcał u mnie ko-

lanko pod zlewem. Ująłem go i z rozmachem wyrzniętem w okno. Posypało się szkło. Thukłem dalej jak szalony, po chwili z siatki zostały strzępy, ale facet w korytarzu też nie próżnował. Drzwi ustąpiły, rozwarły się z trzaskiem na oścież i w progu stanął mężczyzna z granatowego mercedesa. Uśmiechnął się sadystycznym uśmiechem niegrzecznego dziecka, które złapało muszkę i sposobi się do wyrwania jej najpierw lewego, a potem prawego skrzydełka.

Rzuciłem w niego kluczem. Celnie. Nie mierzyłem w głowę, bo mógłby się uchylić i straciłbym moją jedyną broń. Trafiłem w brzuch, na wysokości dolnego łuku zebra, na tyle skutecznie, że zgiął się wpół i ręka z pistoletem opadła. Usłyszałem ciche tuf-tuf, gdy pościęgnął za spust, i nie czekałem, aż strzeli po raz trzeci.

Parapet był niski. Przesadziłem go jednym susem i wylądowałem na daszku nad frontowym wejściem do budynku. Jakiś przechodzień głośno krzyknął; przy zadymionej rampie garażu ujrzałem falujący tłumek. Odbiłem się i spadając, dostrzegłem w oknie sylwetkę mężczyzny w kremowym płaszczu. Mignął mi jego kapelusz i wyciągnięta ręka. Wylądowałem źle, zupełnie jakbym skakał nie z trzech, a z pięciu metrów. Zwaliłem się tuż przed elegancką starszą kobietą — panią Smith. Nachyliła się i wówczas mnie rozpoznała. Znów omal nie przyprawilem jej o atak serca, jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki, chciała coś powiedzieć, może krzyknąć, lecz w tej samej chwili z daszku padły dwa stłumione strzały. Pani Smith chwyciła się za ra-

mię, zbladła; na jej beżowym kostiumie wykwitła nagle czerwona plama.

— Pogotowie! — wrzasnąłem. — Wezwijcie pogotowie, do cholery!

Zostawiłem ją na chodniku wiedząc, że rana nie jest groźna. Wiedziałem też, że muszę uciekać, bo mój prześladowca opętany żądzą mordu stał już na skraju daszku i szykował się do skoku. Ludzie odsuwali się ode mnie, jakbym był trędowaty, i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że całą twarz mam we krwi. Wytarłem się rękawem i wkroczyłem na jezdnię przed rozklekotanego forda.

Za kierownicą siedział jakiś szczeniak. Wychylił głowę przez okno i postukał się w czoło.

— Jak chodzisz, łazęgo! — krzyknął. — Umyłbyś się chociaż, gnojku jeden!

Chwyciłem chłopaka za włosy, szarpnąłem drzwiami, wywlokłem go na jezdnię i przykopałem mu w zadek. Gdy odwróciłem go do siebie i przyłożyłem mu w spłot słoneczny, osunął się bezwładnie na asfalt, a ja wskoczyłem do forda i ruszyłem z piskiem opon.

Jezdnia za mną była pusta. Tylko od Regents Park Road, od strony garażu jechał jeden samochód — granatowy mercedes.

Rozdział 6

Piątek, 16 lipca, godzina 11.15

Fordy rocznik 1970 stanowczo nie powinny być dopuszczane do ruchu. W każdym razie nie ten, który sobie przywłaszczyłem. Wszystko w nim było nie tak: na pierwszym zakręcie kierownica omal nie została mi w rękach, sprzęgło załapywało niechętnie, wrzucenie dwójki graniczyło z cudem i musiałem przechodzić od razu na trójkę, hamulec łapał, jak chciał, prędkościomierz w ogóle nie działał, a fotel kierowcy jeździł to w przód, to w tył, zależnie od tego, czy dodawałem gazu, czy hamowałem.

Z Erskine Road skręciłem w Ainger Avenue i kierowalem się na północ, do Chalk Farm. Samochód dygotał, wstrząsały nim konwulsje przyprawiające mnie co chwila o gęsią skórę, bo za każdym razem sądziłem, że to już koniec, że ford przełamie się na pół. Ryzykując kraksę, patrzyłem nie tyle przed siebie, ile do tyłu, w lusterko, gdzie jasno i wyraźnie widziałem zbliżający się wóz. Nie miałem żadnych szans, najmniejszych. Na domiar złego na pękniętej tablicy rozdzielczej zaczęło migać czerwone światełko. Przyrzalem się uważniej i okazało się, że to wskaźnik rezerwy paliwa. Ten głupi chłystek jeździł na resztkach

benzyny! Granatowy mercedes był pięćdziesiąt metrów za mną. Sunął gładko i pewnie; w środku majaczyły dwie sylwetki. Skręciłem w Haverstock Hill i zgrzytając biegami, wyduszałem z forda, ile się dało. Byle do następnego skrzyżowania, byle do Chalk Farm Road, bo tam ruch jest z reguły większy.

Na Chalk Farm Road ruch był na tyle duży, że między forda a mercedesa wcisnęła się taksówka i siedziała mi na ogonie. Jechaliśmy lewym pasem, tuż przy chodniku. Na skrzyżowaniu z Crogsland Road kilkadziesiąt kroków od stacji metra, paliło się czerwone światło i na obu pasach stały samochody. Jeszcze sto metrów, zaledwie sto metrów i będę musiał zatrzymać mój wehikuł! A wtedy koniec! Koniec! Mercedes zjechał tymczasem na prawy pas i pomału zrównywał się z taksówką. Nietrudno było odgadnąć, co knuł. Zwolnię, zatrzymam się, oni staną obok, a kiedy światło zmieni się na zielone i wozy przede mną ruszą, wpakują we mnie po magazynku dziewięciomilimetrowych kul, po czym śmigną w dal, nim ktokolwiek zauważy moje zwłoki.

Wdusiłem gaz do deski. Coś strzeliło w gaźniku motor rzeził i kaszlał na maksymalnych obrotach, ale — czy to nie cud? — ford zdołał wyprzedzić mercedesa i mknął trzy metry przed jego pyskiem! Wziąwszy poprawkę na gigantyczny luz kierownicy, gwałtownie zajechałem mu drogę. Nie zdążył zahamować i wbił się w drzwiczki forda jak w masło. Oba samochody szczepiły się w klinczu i zgrzytnąwszy nadwerężonymi blachami karoserii, przesunęły się kilkanaście metrów w prawo, dokładnie przed maskę taksówki. Chociaż je

kierowca mógł oczekiwać po fordzie wszystkiego, nie podejrzewał, że ni stąd, ni zowąd skręci pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo, wpakuje się przed jadącego spokojnie mercedesa i że oba pojazdy wyrosną nagle tuż przed nim. Zdażył się tylko zaprzeć rękami o kierownicę i z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę wyrzwał w bagażnik fordą, z którego wypadł na jezdnię rozebrany manekin.

Drzwi mercedesa otworzyły się, mężczyzna w kremowym prochowcu wysiadł, odsunął nogą kukłę i nie zważając na krzyki zgromadzonych gapiów ani na klaksony samochodów, poszukał mnie wzrokiem. Nasze oczy spotkały się i morderca zaczął biec w moją stronę.

Przepychając się w tłoku, zmierzałem do stacji metra Chalk Farm. Miałem nad nim przewagę, może dlatego, że przechodnie rozstępowali się przede mną niżym kra przed lodolamaczem. No bo kto nie odsunąłby się od człowieka, którego głębę pokrywają czarne strupy krwi i na kilometr cuchnie spalenizną?

Chalk Farm jest jedną z nielicznych stacji w Londynie, gdzie zamiast ruchomych schodów kursuje stacja, okratowana winda. Dopadłem jej, w chwili gdy tamten mijał rząd kas. W drzwiach stał windziarz z rozkrzyżowanymi rękami.

— Nie ma miejsca. Proszę czekać — wychrypiał przepitym głosem.

Za moimi plecami coś się działo. Odwróciłem głowę. Mój przesładowca zderzył się z kimś, kto leżał teraz na ziemi, szarpał go za połę płaszcza i kłął głośno.

— O rany! Co się stało z pana twarzą? — wykrzyknął ostępiały windziarz.

— Jedziemy! Szybko! — szepnąłem, wpychając go do środka.

— Zara, zara, nie tak prędko! Panie! Co pan? Co pan?!

Wcisnąłem się za nim w zbity tłum. W półobrocie złapałem grubą pręt kraty i pociągnąłem. Krata przesunęła się z łoskotem i zatrzasnęła. Kolanem pchnąłem skrzydło drzwi wewnętrznych i wówczas o krok przesobą ujrzałem mężczyznę w butach z krokodylową skórą. Zdażył się uwolnić od potraconego przechoźnia, wyjął broń i dobiec do windy. Między kraty wystąpiła się lufa pistoletu, zobaczyłem kciuk odwodzący kurek, w ostatniej chwili kopnąłem lewe skrzydło drzwi i kiedy padł strzał, wielka, czterdziestoosobowa klatka dźwigu była już w ruchu. Pocisk strzaskał tablicę informacyjną.

Kobieta obok mnie zemdląła i osunęła się na jakieś gość staruszka. Ludzie zamarli, w ich oczach czaił się strach, strach przede mną. Za kogo mnie brali? Za zwyrodniałego Kubę Rozpruwacza ściganego przez konkurencję? Za bandytę? Za zbiega uciekającego przed policją? Cóż im miałem powiedzieć?

Na szyi poczułem wilgotne ciepło. Krew. Dopiero tu, w dużej windzie na stacji metra, zdałem sobie sprawę, że coś niedobrego dzieje się z moimi uszami. Podmuch eksplozji w garażu na Erskine Road musi mi chyba uszkodzić bębenki.

— Chalk Farm! Linia... — zaczął windziarz odrę-

chowo i najwyraźniej spłoszony moim nieprzytomnym spojrzeniem, umilkł.

Chciał powiedzieć „Linia Północna”. Północna, Victoria czy Metropolitan — nieważne, dla mnie liczyło się tylko to, który z nas pierwszy wpadnie na peron. Jeśli ja, chwilowo wygrałem życie, jeżeli ten z granatowego mercedesa, rozwali mnie jak nic jeszcze przy windzie, na oczach stłoczonych w niej ludzi.

Windziarz odsunął kratę. Nikogo. Tupot na schodach z lewej i odległy, narastający szum wjeżdżającego pociągu. Puściłem się biegiem. Peron. Sporo pasażerów. Wmieszałem się w gęstniejący tłumek. Pociąg stanął ze świdrującym w uszach piskiem, z cichym westchnieniem rozwarły się drzwi i wypłuły świeżą porcję ludzi.

Obserwowałem schody. Gość z mercedesa zjawił się tam z kapeluszem w ręku i potoczył wzrokiem dookoła. Szukał, węszył, przestępował z nogi na nogę, wysoko zadzierał głowę. Odezwały się głośniki, ostatni pasażerowie przeciskali się do wagonów, tłum zaczynał wyraźnie rzędnąć. Kontrolując mięśnie nóg, niespiesznie, jakby od niechcenia podszedłem do najbliższych drzwi. On stał na wysokości sąsiedniego wagonu i zauważył mnie dopiero w momencie, gdy postawiłem stopę na progu. Rzucił się w moją stronę, ale skład miał za sekundę odjechać, więc błyskawicznie zmienił plany, zawrócił i pobiegł do wejścia, przy którym stał przedtem. Przytrzymał ręką zasuwające się drzwi, odczekał, aż pociąg ruszy, i dopiero wtedy wskoczył do środka. Nie tracił czasu. Stojąc w przejściu między wagonami zobaczyłem, jak przepycha się ku mnie.

Mijałem wagon za wagonem, bez przerwy mamrocząc „przepraszam, przepraszam, przepraszam” i raz lewym, raz prawym bokiem wciskając się między pasażerów. W końcu przepraszanie mi zbrzydło. Dystans między mną a opętanym żądzą mordu mężczyzną ani nie rósł, ani nie malał, za to stale malała odległość dzieląca mnie od elektrowozu. Wagon trzeci, wagon drugi, pierwszy i... stop. Dalej nie miałem dokąd iść. On był w drugim końcu jedyńki, zbliżał się, wiedział, że mu nie ucieknę, lecz nagle pociąg wyraźnie zwolnił i za czarnymi dotychczas oknami pojawiła się żółta poświata — wjeżdżaliśmy na peron Camden Town.

Rozpędzony skład potrzebuje około dwustu metrów, żeby wytracić szybkość i łagodnie zahamować. Mój zawzięty towarzysz chyba o tym wiedział. Ba, było mu to nawet na rękę! Kiedy drzwi się otworzą, spokojnie pociągnie za spust, nikt oczywiście nie usłyszy wystrzału, ja zwałę się na czekający na peronie tłum, a w zamieszaniu on zniknie, rozplynie się bez śladu, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Kiedy pociąg zmniejszył szybkość do czterdziestu na godzinę i kiedy mężczyzna w kapeluszu był w połowie wagonu, za grupką rozgadanych, obładowanych walizkami kobiet, nacisnąłem dźwignię awaryjnego otwierania drzwi i mocno szarpnąłem hamulec bezpieczeństwa.

Rozpętało się istne piekło. Ludzie wpadali na siebie, kłębili się w przejściu na podłodze, z półek nad oknami posypały się siatki, torby, walizeczki, krzyczało dziecko, którego matka wylądowała nagle trzy metry

dalej, na kolanach zdezorientowanej zakonnicy. Jakiś staruszek, z wyglądu emerytowany wojskowy pamiętający jeszcze czasy świetności Indii, wybity z drzemki, zerwał się na równe nogi i ze zdziwieniem oglądał gałkę, która do niedawna wieńczyła jego łaskę. Miałem przedsmak tego, co dzieje się podczas prawdziwej katastrofy. Przygotowany na gwałtowny wstrząs, nie odczułem zbytnio skutków awaryjnego hamowania. Mechanizm zadziałał, drzwi otworzyły się i zerknąwszy raz jeszcze na zbitą masę ludzi w przejściu między ławkami, ujrzałem mężczyznę w butach z krokodylowej skóry. Stracił gdzieś swój kapelusz, miał porwany płaszcz, ale wstawał i najwyraźniej ani myślał zostawić mnie w spokoju. Takiej zawziętości, takiego opanowania dawno już nie widziałem. Przypominał robota z *Elektronicznego mordercy*, skonstruowanego z idealną precyzją i zaprogramowanego tylko do jednego zadania — zabić. Wyszedłem na peron i wmieszałem się w gęstniejący tłum gapiów.

Stacja metra Camden Town leży na skrzyżowaniu Camden High Street, Parkway, Kentish Town Road i Camden Road, które zazwyczaj jest bardzo ruchliwe. Tak było i teraz. Zewsząd waliły sznury samochodów, na chodniku panował tłok. Taksówka, musiałem natychmiast złapać taksówkę. Wybiegłem z podziemi, stanąłem przy krawężniku i uniosłem rękę. Nie zatrzymała się żadna, choć zauważyłem co najmniej dwie wólne. Po drugiej stronie Parkway zobaczyłem taksiarza, który kończył kurs. Złamał właśnie licznik i odwróciwszy głowę, rozmawiał ze swoim klientem. Wszedłem

na jezdnię. Pisk hamulców, przekleństwa, lekki trzask zderzaka o zderzak, a ja uparcie wędrowałem zygzakami do przeciwległego chodnika. Dotarłem tam, w chwili gdy pasażer taksówki zamykał drzwi.

— Niech pan jedzie, obojętne gdzie! — wykrztusiłem, opadłszy na fotel.

Taksiarz siedział nieporuszony i gapił się we wsteczne lusterko.

— Cholernie się panu śpieszy, co? — powiedział.

Myślałem, że śnię. Przy wejściu do metra stał facet w kremowym płaszczu. Jedną rękę oparł na dachu taksówki, którą musiał dopiero co zatrzymać, a drugą żywo gestykulował, pokazując coś po przeciwnej stronie ulicy. Nie myliłem się, pokazywał na mnie i moją taksówkę!

— Śpieszy mi się, panie kolego, zapłacę dwa funty za każdy kilometr — rzuciłem. — Jedźmy już!

— Sie robi — wymamrotał i uruchomił silnik.

Taksówka po drugiej stronie Parkway zawróciła. Nie wiem, ile ten szaleniec w kremowym płaszczu zapłacił kierowcy, ale samochód wyrwał niczym bolid formuły pierwszej. Z włączonymi światłami, rycząc klaksonem, popędził do skrzyżowania, zjechał na prawy pas, przebił się przez grupę pieszych i już był na sąsiedniej jezdni.

— Skręć pan w Arlington Road, a potem w Jamestown Road, na Primrose Hill. Szybciej!

Nie odpowiedział. Widział, jak wyglądam, widział, że zerkam cały czas za siebie i pewnie zaczął kalkulować, co mu się bardziej opłaca: zainkasować pokazną

sumkę, ryzykując krakę albo wplątanie się w aferę, której skutków nie był w stanie przewidzieć, czy zrezygnować z kursu i w spokoju ducha wypić kawę w najbliższym barze. Wybrał to pierwsze. Jechał dobrze — szybko i zdecydowanie. Wydawało się, że zgubiliśmy tamten samochód, gdy naraz, już w Primrose Hill, przed kościołem na Regent's Park znów się pojawił! Sunął jakby nigdy nic, od czasu do czasu migał światłami, a po chwili zaczął nas wyprzedzać! Sięgnąłem do kieszeni, odliczyłem czterdzieści funtów, położyłem je na fotelu obok kierowcy i kazałem mu się zatrzymać. Natychmiast. Potraktował to dosłownie. Wbił nogą hamulec, uderzyłem nosem w oparcie, odrzuciło mnie w tył, szarpnąłem klamkę i już byłem na jezdni. Samochód z mężczyzną w kremowym prochowcu też się zatrzymał.

Wrota kościoła stały otworem. Wbiegłem po schodach do kruchty, nacisnąłem klamkę przeszklonych drzwi, ale nie ustąpiły. W nawie głównej klęczał młody ksiądz. Załomotałem w szybę. Spojrzał na mnie, przeżegnał się i odszedł. Z tyłu usłyszałem ciche, miarowe kroki. Obejrzałem się. Jasny płaszcz i kapelusz z dużym, okrągłym rondem.

— Jak się masz, Clive?

Twarz! To nie ta sama twarz! I buty! Ten facet nosił lekkie, płócienne buty!

— Witaj po latach! Nie poznajesz mnie?

René. René Sheridan, goryl Berta Flaherty'ego, mój znajomy sprzed dziesięciu, jedenastu lat.

— Masz ukłony od Berta — powiedział z uśmie-

chem. — Bert chce się upewnić, czy pamiętasz o porannej rozmowie. Dwadzieścia cztery godziny do namysłu, zgadza się?

Kwadrans później byłem w domu. Policja już odjechała. Straż pożarna także. Zwłoki Amadeusza Carra spoczywały w kostnicy miejskiej na St. Cross.

Rozdział 7

Piątek, 16 lipca, godzina 13.30

Wyjąłem magazynek. Sprawdziłem, czy komora browninga jest pusta, odciągnąłem zamek i unieruchomiłem go.

Kim jest ten człowiek? Jednego mogę być pewien: nie ścigał mnie z polecenia Flaherty'ego. Facet z granatowego mercedesa nie należy do grupy Berta. Bert ma do mnie sprawę, dał czas do namysłu. Nie jest idiotą i nie popełniłby takiego głupstwa, jak przeszkadzanie mi w myśleniu. Ma nadzieję, że się zgodzę, że połknę haczyk wart sześćdziesiąt milionów funtów. Poza tym nigdy nie zabijał bez powodu. Ja mu powodu nie dałem, przynajmniej na razie, a nawet jeśli odmówię, nic mi nie może zrobić. Nie znam planów skoku, jestem czysty jak łąza, przeszłość minęła bezpowrotnie. Jeżeli więc nie Flaherty, to kto? Człowiek, któremu diabelnie zależy na liście Kirkworstera? Na liście, który miałem dostać i nie dostałem? Kim jest ten zboczony maniak? Kto zamordował Amadeusza Carra? Kto za mną gonil przez pół miasta?

Zwolniłem zamek z zaczepu, rozłożyłem pistolet i wyczyściłem każdą część.

Przed czym chce mnie ostrzec Kirkworster? O jaką,

do cholery, prawdę mu chodzi? Kirkworster w zmo-
wie z Flahertym? Czy to Flaherty jest tym „sukinsyn-
nem”, który zrobił coś jakiejś Alison? I główna nie-
wiadoma: kim jest i gdzie przebywa Kirkworster?

Złożyłem broń i sprawdziłem magazynek. Był peł-
ny. Sięgnąłem po telefon i wykręciłem numer Gorth-
lech House. Odebrała Jane. Powiedziałem jej, że mój
przyjazd trochę się opóźni. Posmutniała. Ale ja musia-
łem odnaleźć człowieka, który najwyraźniej chciał mi
przekazać jakąś wiadomość. Musiałem odszukać
Kirkworstera, członka Królewskiego Towarzystwa
Geologicznego.

Heathrow powitało mnie rykiem startującego boein-
ga 747. Na kadłubie miał wymalowany napis EGIPT
AIR i pomyślałem sobie, że leci zapewne do Los An-
geles, miasta „Sztuki i Piękna”. Kazałem zatrzymać
taksówkę przed terminalem British Airways, zapłaci-
łem i wszedłem do środka. Kwadrans później wyjecha-
łem z garażu nowym fordem fiesta. W Car Rental wy-
dusili ze mnie siedemdziesiąt osiem funtów za każdy
tydzień jego używania. Panienska za ladą powiedziała,
że to tanio, dyskretnie przemilczając cenę benzyny.

Chyba tego maniaka zgubiłem. Nie czekał przed-
domem na Erskine Road, nie jechał za mną na Heath-
row, nie zauważyłem go i teraz. Gość w kapeluszu z
dużym rondem najwidoczniej naprawiał granatowego
mercedesa. Kierowałem się do Kinghtsbridge, do
skrzyżowania Cromwell Road i Exhibition Road.

Tam, naprzeciwko Muzeum Wiktorii i Alberta, mieści się Muzeum Historii Naturalnej. W jego prawym skrzydle ma swoją siedzibę Muzeum Geologiczne. Zaparkowałem na Cromwell Road.

Muzeum pachniało politurą i jeszcze czymś, czego w żaden sposób nie potrafiłem określić — jakby delikatnymi perfumami wymieszanymi z formaliną lub innym środkiem konserwującym. Miły zapach, miły chłód przestronnych wnętrz, cisza natchnionej naukowości. W informacji, gdy przedstawiłem swoją sprawę, poradzono mi, żebym udał się na czwarte piętro, gdzie mieści się kartoteka i biuro Towarzystwa, zrzeszającego najwybitniejszych geologów z całego świata. Miałem pytać o niejakiego Connorsa, który udzieli mi dalszych informacji. Chociaż kielkowało we mnie coś na kształt delikatnej awersji do wszystkiego, co kojarzy się z zamkniętą klatką o rozsuwanych drzwiach, ruszyłem do windy, bo jakoś nie nęciła mnie wspinaczka po schodach.

Przed windą czekało dwóch mężczyzn. Rozprawiali o czymś półgłosem i nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. Wsiadliśmy, oni nacisnęli guzik szóstego, ja czwartego piętra. Jechaliśmy w milczeniu. Nie przepadam za takimi sytuacjami, zawsze czuję się wtedy niezręcznie. Byłem dla nich obcy, nie mogli swobodnie rozmawiać, więc obserwowali mnie tylko, gdyż idiotyzmem byłoby wszczynać jakąkolwiek, najbardziej nawet zdawkową pogawędkę. Na dworze, to co innego. Zawsze można rzucić coś w rodzaju: „Ładna dziś pogoda, prawda”? Ale tutaj? Mieli może ni z tego, ni z owego zagaić: „Ładną dziś windą jedziemy,

nieprawdaż”? Więc milczeliśmy — oni w duecie, ja solo. Dopiero kiedy dźwig zatrzymał się na czwartym piętrze, przerwałem ciszę. Powiedziałem: „Dziękuję panom” i z ulgą wyszedłem na korytarz. Drzwi zasunęły się za mną, lada moment zabrzmi dzwonek sygnalizujący, że dźwig rusza, jeszcze sekunda i... Cisza. Coś tu się nie zgadzało.

— Namyśliłeś się, Clive? Ukłony od Berta.

Odwróciłem się na pięcie. Jeden z tych dwóch w windzie puszczał akurat drzwi, których obie połowy zwały się natychmiast z lekkim cmoknięciem gumy, odezwał się dzwonek i już ich nie było. Nie było też sensu ich gonić. Nie wiedziałam nawet, czy pojechali w górę, czy w dół, bo w muzeum nie zainstalowano wskaźników. Zresztą po co? Bert Flaherty nie spuszczał mnie z oka i tylko tyle chciał mi dać do zrozumienia. Dał. Klepnałem dłonią ścianę i ruszyłem na poszukiwanie pana Connorsa.

Pan Connors urzędował za stertą maszynopisów, sięgającą mu czubka nosa. Jak wokół każdego urzędnika angielskiego, wokół niego też unosił się duch militaryzmu. Tak, militaryzmu, ponieważ urzędnicy angielscy, nie mogąc wycofać dywizji, cofają decyzje. Gdy krzyczą, ich głos brzmi jak salwa armatnia, gdy mówią, ich mowa do złudzenia przypomina ostre szczekanie wystrzałów z karabinu. Pan Connors wyglądał na takiego, co to już niejedną decyzję w swojej karierze anulował. Wczułem się w sytuację i stając na baczność, skromnie i cicho zreferowałem sprawę.

Milczał i długo bębnił palcem w stół. Myślał. Oto petent, złośliwy i pogardy godny spiskowiec, który

ma w życiu jedno zadanie do spełnienia — sprawić kłopot. Zasadniczym celem społeczeństwa jest utrzymywanie na posadach nas, armii urzędników, ale w społeczności zawsze znajdują się wrogie indywidua chcące podważyć tę zbożną ideę. Indywidua owe sądzą, że my, urzędnicy, jesteśmy po to, by im służyć. Wniosek? Dać petentowi należyta odprawę.

— Przykro mi, ale nie potrafię panu pomóc, panie O'Casey — rzekł po chwili. — A kogo właściwie pan szuka?

— Szukam pana Kirkworstera. Jest członkiem ważnego Towarzystwa. Nie znam niestety jego imienia, nie wiem, gdzie pracuje ani gdzie mieszka.

— I nie wie pan także, jaki ma tytuł, zgadłem? — spytał nie bez złośliwej przyjemności.

— Tak, zgadł pan. Bardzo mi przykro, że sprawiam panu kłopot.

Chyba go tym ująłem, bo okazał mi swego rodzaju łaskę.

— Nie sprawia mi pan kłopotu, panie O'Casey — odparł, co zabrzmiało jak „ra-ta-ta-ta-ta”. Wyciągnął z biurka opasłą teczkę i rzucił ją na stertę maszynopisów. — Niech pan szuka — dodał.

Spocznij! — szepnąłem w duchu i zabrałem się do lektury.

Dał mi listę wszystkich członków Królewskiego Towarzystwa Geologicznego z tytułami doktorów, docentów, profesorów nadzwyczajnych i zwyczajnych. Kiedy zrozumiałem system, według którego ich na niej umieszczono, odechciało mi się żyć. Byli wymienieni nie według kolejności alfabetycznej, lecz zgodnie ze

swą przynależnością uniwersytecką. Na domiar złego uniwersytety kontynentalne, które również miały swoich reprezentantów w KTG, nie zostały wyodrębnione spośród angielskich, toteż chcąc znaleźć Kirkworstera, musiałbym z panem Connorem spędzić upojną noc.

— Czy nie macie spisów alfabetycznych? — zaryzykowałem pytanie.

Obrzucił mnie wymownym spojrzeniem, z którego wywnioskowałem, że właśnie zbeczczyłem Najświętszą ze Świętych Reguł Urzędowania: *Nie odzywaj się, nie pytany, a gdy cię pytają, odpowiadaj zawsze: „Tasir”*.

— W rogu — szczerknął jak mały rewolwer i machnął ręką w stronę, gdzie nie dostrzegłem nic oprócz dużego zegara.

Godzinę później, o szesnastej, poddałem się.

— Jeżeli pana Kirkworstera nie ma w spisie alfabetycznym... — zacząłem, ale nie dane mi było skończyć.

— To z pewnością nie jest członkiem Królewskiego Towarzystwa Geologicznego, proszę szanownego pana. Jeszcze coś?

Wyszedłem na korytarz i otarłem spocone czoło. Kirkworster nie istniał. To znaczy, może i istniał, ale nie należał do Królewskiego Towarzystwa Geologicznego. Jedyne ślad urwał się w wielkim gmachu Muzeum Historii Naturalnej.

Ruszyłem wolno przed siebie, gapiąc się na ściany. Gapiłem się bezmyślnie, ot, byle na czymś zająć wzrok. Wisiały tam jeden przy drugim portrety fot...

graficzne, przedstawiające poważnych, sędziwych panów, czasami nawet w binoklach, i parę zasuszonych jaruszek. Najpierw je liczyłem — korytarz ciągnął się w nieskończoność — lecz po trzydziestym znudziło mi się i zacząłem odczytywać co zabawniejsze nazwiska. Rastug Franklin Snith wydało mi się, nie wiedzieć czemu, przekomiczne. Podobnie Silvanus Zenn albo jego sąsiadka, Tabita Amelia Klaudia Pit. W pewnym momencie minąłem portret mężczyzny o szczupłej twarzy i długim, wydatnym nosie. Minąłem go, krok dalej stanąłem jak wryty, wyjąłem z kieszeni list, podszedłem bliżej okna i jeszcze raz odczytałem nazwisko. Znowu wróciłem do fotografii na ścianie, jeszcze raz porównałem nazwiska i popędziłem do Connorsa.

Już nie bawiłem się w uprzejmości. Położyłem list na biurku, zasłoniłem dłonią treść i bez ceregieli spytałem:

— Zna go pan?

Odczytał podpis i skinął głową.

— Tak, to wiceprzewodniczący Towarzystwa.

Ostatecznie jestem kapitanem, pomyślałem, tylko tak dalej, tak z nimi trzeba rozmawiać.

— Gdzie pracuje?

— Na uniwersytecie w Cambridge. Jest profesorem, dziekanem Wydziału Geologii w St. Mary's College. Domowego adresu nie mamy.

— Skąd pan wie? Zna pan na pamięć całą kartotekę? — spytałem, wskazując katalog, nad którym omal nie straciłem wzroku.

— Nie, ale on jest wybitnym uczonym, szefem komisji ekspertów odpowiedzialnej za wszystkie kontrak-

ty zawierane bez gwarancji rządowych, jest — recytował bez zająknięcia — współtwórcą TML, jest...

— Współtwórcą czego?!

Nie wierzyłem własnym uszom.

— Tunelu pod Kanałem Angielskim. TML, czyli Transmanche Link — wyjaśnił usłużnie.

Na korytarzu jeszcze raz zatrzymałem się przed portretem mężczyzny o długim, wydatnym nosie. A wiecie, staruszek istniał, żył sobie w najlepsze w Cambridge ciesząc się sławą i zaszczytami. Jako członek Królewskiego Towarzystwa Geologicznego był oczywiście dżentelmenem i jak na dżentelmena przystało, podpisał się także imieniem, które nieświadomie połączyłem w jedną całość z nazwiskiem. Budowniczy tego, czego ja teraz pilnowałem, nazywał się bowiem Kirk Worcester.

Cambridge w lipcu jest uroczym miastem. Studenci na wakacjach, w kawiarenkach można najzwyczajniej w świecie napić się kawy, nie popadając przy tym w kompleks niższości od słuchania rozmów tak mądrych, że aż nieangielskich, a w pubach starzy bywalcy wylączają szafy grające, piją piwo, nie wino, rzucają strzałkami do tarczy i nie używają długich, skomplikowanych słów pochodzenia łacińskiego. Można tu wówczas mówić normalnym językiem, słyszeć zdrowy, nie wynaturzony angielski i zapomnieć, że w czasie roku akademickiego obowiązuje w mieście dziwaczny

twór, któremu poplecznicy Daniela Jonesa nadali kiedyś absurdalną nazwę King's English.

W miasteczku uniwersyteckim, przy jego głównej, zamkniętej dla ruchu arterii zatrzymałem jakąś dziewczynę, żeby zapytać o Wydział Geologii. „Dziewczyna” o długich włosach okazała się chłopakiem, najpewniej studentem historii, który naczytał się o ruchach hipisowskich lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Niemniej jednak uprzejmie poinformował mnie, którędy iść i jak znaleźć gmach wydziału. Cambridge pełną gębą! Trafiłem od razu.

Odszukałem drzwi opatrzone tabliczką „Prof. Kirk Worster”, zapukałem, ale odpowiedziała mi cisza. Z Connorsa wycisnałem informację, że mimo wakacji Worster pracuje, prowadzi jakiś specjalistyczny kurs albo seminarium dla obcokrajowców i że z pewnością go zastanę. Ogarnął mnie niczym nie uzasadniony niepokój. Niepokój o człowieka, którego nie znałem, który w niezrozumiały dla mnie sposób zwracał się do CSB z ostrzeżeniem, a może z prośbą o pomoc, przez którego list omal nie straciłem życia. I oto teraz, po dwóch godzinach jazdy wypożyczoną fiestą, stanąłem w końcu przed drzwiami jego gabinetu, by pocałować klamkę. Zrobiło mi się nieswojo. Rozejrzałem się nerwowo i na sąsiednich drzwiach zobaczyłem napis: „Sekretariat”. Wszedłem bez pukania.

Dziewczyna szcztokowała włosy, najpiękniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałem: aksamitnoczarne, długie, układające się w ciężkie pukle. Nie była typem kobiety moich marzeń. Woląłem krągłejsze i dojrzalsze, ale w jej twarzy — może dzięki małemu, piegowa-

temu noskowi? — dostrzegłem coś przyjaznego i ciepłego, coś, czego mimo surowej miny nie umiała ukryć. Włożyła szczołkę do torebki i powiedziała:

— Nie słyszałam pukania, przepraszam. Czym mogę służyć?

Głos miała niski i melodyjny i w niczym nie przypominała sierżanta Connorsa.

— Czy zastałem profesora Worstera?

— A był pan na dziś umówiony?

— Nie, ale mam do niego pilną sprawę.

— Bardzo mi przykro. Profesor Worster przyjmuje tylko umówionych interesantów. Jest obecnie bardzo zajęty. Dużo pracuje.

— W takim razie proszę mnie z nim umówić, czekam.

Z westchnieniem sięgnęła po terminarz.

— Profesor będzie wolny jutro, o szesnastej trzydzieści — powiedziała, biorąc długopis. — Pana gośność?

— Szanowna panienko, przejechałem szmat drogi żeby się z nim zobaczyć. Sprawa jest niecierpiąca zwłoki. Profesor nigdy pani nie wybaczy, że odprawił mnie pani z kwitkiem. Proszę do niego zadzwonić i przekazać, że czeka na niego ktoś, do kogo wysłał wczoraj list, dobrze?

Spojrzała na mnie z wyraźnym zainteresowaniem, gdzieś zadzwoniła, zamieniła z kimś parę słów i nagle zbladła.

— Nie ma go... — wyszeptała. — Od pół godziny czekają na niego studenci z Nigerii...

— Proszę mi podać jego domowy adres. Szybko!

— Nie mogę, pan nie ma prawa...

— Adres, do diabła! — Uderzyłem pięścią w blat biurka. — I niech pani natychmiast dzwoni do niego do domu. Ale już!

Drżącymi palcami wybrała numer, długo trzymała słuchawkę przy uchu i zagryzała wargi. W jej olbrzymich modrych oczach czaił się... strach?

— Nikt nie odbiera — powiedziała. — Może gdzieś wyszedł?

— Sama pani wspomniała, że profesor jest człowiekiem bardzo zajęтым. Umówiła mnie pani z nim na szesnastą trzydzieści. Wnoszę więc, że jest również punktualny. A człowiek punktualny, profesor uniwersytetu w Cambridge, nie spóźnia się na wykład bez ważnego powodu. Obym się mylił, ale mam podstawy sądzić, że znam ten powód. Proszę mi dać jego adres.

Kilka minut później mknąłem samochodem ku zachodnim przedmieściom Cambridge. Dziewczyna o lazurowych oczach dała mi w końcu adres Worstera. Kiedy wychodziłem z sekretariatu, znów gdzieś telefonowała. Nie słyszałem rozmowy, ale podejrzewałem, że dzwoni na policję.

Rozdział 8

Piątek, 16 lipca, godzina 19.30

O 19.30 znalazłem dom profesora Worstera. Stał poza granicami administracyjnymi Cambridge, w lesistej, cudownej okolicy, gdzie nie dotarła jeszcze miejska cywilizacja i gdzie wciąż śpiewały ptaki. Stał w parku-nieparku, bo jak nazwać kilka hektarów świerczyny, odgrodzonych od reszty lasu — też świerkowego — wysokim murem z czerwonej cegły? Mimo pozorów kompletnego odosobnienia na zwirowej alejce wiodącej w stronę pobliskich wzgórz minąłem kilka samochodów i pomyślałem sobie, jak dobrze żyje się niektórym poddanym Jej Królewskiej Mości, skoro stać ich na kupno i utrzymanie domów zagubionych pośród rzadkich już w Anglii lasów.

Na wszelki wypadek zatrzymałem forda jakieś dwieście metrów od bramy i zrobiłem sobie krótki spacer. Przy furtce odnalazłem przycisk dzwonka. Wdusiłem, odczekałem chwilę, lecz domofon uparcie milczał. Nacisnąłem kłamkę. Otwarte. Grysik zachrzącił mi pod stopami. Odgarnąwszy zwisające nisko pędy dzikiego wina, ujrzałem przed sobą długą alejkę prowadzącą w głąb posiadłości.

Dom stał na polance. Był duży, przestronny i stary.

Wszedłem na otoczony kolumnienkami z rzeźbionego dębu ukwiecony ganek i zapukałem do drzwi. Cisza. Nie słyszałem ani kroków gospodarza, ani jego głosu, z wnętrza nie docierał żaden, najmniejszy nawet szmer. Czekałem. Zapukałem ponownie, a gdy i tym razem nikt nie odpowiedział, przekręciłem mosiężną gałkę. Drzwi nie ustąpiły.

Zajrzałem przez okno. Zobaczyłem duży pokój, coś w rodzaju salonu, pośrodku stały dwie skórzane otomany i niski mahoniowy stół, przy kominku fotele od kompletu, a w rogu, za ciemną mahoniową komodą tykał duży antyczny zegar. Delikatnie pchnąłem ramę i ku memu zaskoczeniu okno otworzyło się bezszelestnie. Usiadłem na parapecie.

Dom pachniał słońcem, zakurzonymi książkami i żywicą. Bywałem niegdyś w takich domach jako nocny, bardzo niepożądany gość. Jedną z najważniejszych reguł biblii włamywaczy zakazuje kradzieży pod nieobecność gospodarzy. Zawsze mogą niespodziewanie wrócić, zaskoczyć cię przy robocie, a wtedy są kłopoty. Kiedy śpią, masz ich stale na oku. Dlatego po długim i wytrwałym ćwiczeniu uszu, dzięki treningowi i doświadczeniu doszedłem w końcu do takiej perfekcji, że po odgłosach domu potrafię poznać, czy ktoś w nim jest, czy nie. Tu słyszałem regularne tykanie zegara, mruczenie lodówki w otwartej kuchni, chrobotanie kornika w belkach powały i nic więcej. W domu profesora Worstera nie było nikogo.

Ruszyłem schodami na górę. Szedłem ostrożnie, bo nieco skrzypiały. Na pięterku zobaczyłem przytulny korytarzyk, gdzie naliczyłem pięcioro drzwi. Pierwsze

i drugie wiodły do eleganckich sypialni; w obu łóżka były starannie zasłane, w obu nie zastałem nikogo. Dalej natrafiłem na pokój gościnny; łączył się z łazienką, której najwyraźniej dawno nie używano. Czwarte drzwi prowadziły do gabinetu Worstera. Książki, dużo, bardzo dużo książek. Piętrzyły się na półkach, leżały na parapecie, na podłodze, przy kominku. Ich zapach przytłaczał, drażnił nozdrza, odurzał. Na biurku nieopisany bałagan: wywrócony kałamarz, porozrzucone dokumenty, listy i jakieś pudełeczka. Wszystkie szuflady wyciągnięte i opróżnione. Szukał czegoś... Worster, czy ktoś inny...?

— Panie profesorze! — zawołałem cicho, wbrew zdrowemu rozsądkowi.

Pomyślałem sobie jednak, że może gdzieś tu jest, w jakimś zakamarku, którego nie zauważyłem, może jest chory, może stracił przytomność. Nikt nie odpowiedział, więc zawołałem jeszcze raz, trochę głośniej. Ci-sza.

Za piątymi drzwiami była łazienka: miękki dywanik, wanna wpuszczona w podłogę, szafa w ścianie, wokół różowy marmur, pod kryształowym lustrem męskie kosmetyki, grzebień... Nikogo. W ubikacji również. Usiadłem na desce klozetowej, zapaliłem papierosa i bezmyślnie gapiłem się w posadzkę. Raptem zauważyłem, że jej czerwony marmur ma jakieś skazy. Na ścianach wszystkie tafle przecinały drobniutkie, charakterystyczne żyłki tworzące ciemny wzorek, ale podłoga wyglądała inaczej. Początkowo nie bardzo wiedziałem, co mi się w niej nie podoba i dopiero po dłuższej obserwacji doszedłem do wniosku, że posadzka

upstrzona jest dziesiątkami szkarłatnych punkcików. Schyliłem się. Dotknąłem czegoś lepkiego, nieprzyjemnie śliskiego. Krew. Podeszedłem do okna. Tutaj krwi było znacznie więcej. Ujrzałem już nie szkarłatne punkciki, nie drobinki, ale plamy wielkości pięciopen-sówki. Kucnąłem. Ślady wiodły od drzwi i urywały się koło parapetu. Sam parapet był czysty. Jedna z kropel zastygła na dolnej listwie szafy. Nie wstając, pociągnąłem za gałkę.

Zwalił się na mnie całym ciężarem ciała, oplótł ramionami i przydusił do ziemi. Nie mogłem się od niego uwolnić, nie byłem w stanie rozewrzeć jego bezwładnych rąk. Upadłem na wznak, próbowałem odsunąć jego zakrwawioną głowę, żeby nie dotknęła mojej, ale kark miał już sztywny, oporny, nie dałem rady i policzkami otarł się o mój nos. Wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia, w panice uderzyłem go, jakbym walczył z żywym człowiekiem, ścisnąłem za szyję i odrzuciłem od siebie. Potoczył się jak kukła, odbił od ściany i znieruchomiał na plecach.

Mężczyzna z fotografii w Królewskim Towarzystwie Geologicznym: ta sama szczupła twarz o delikatnych rysach, ten sam wydatny nos. Profesor Kirk Worster. W jego potylicy ziała okropna rana. Nie jestem anatomopatologiem, ale nie trzeba tu było eksperta, by stwierdzić, że kilkanaście minut temu jeszcze żył. Umarł bez uśmiechu na twarzy, ale też bez grymasu strachu czy bólu. Śmierć musiała zabrać go w momencie, gdy się jej nie spodziewał.

I dopiero wtedy ich ustyszałem. Byli za domem, w dużym ogrodzie pośród lasu; zrozumiałem, dlaczego

nie napastowali mnie w drodze na Heathrow, do Knightsbridge i później, kiedy jechałem do Cambridge. Chwilowo dali mi spokój, żeby zająć się mordowaniem Worstera. Teraz, zwabieni odgłosami w łazience, odwrócili się i w napięciu patrzyli w okno. Dostrzegli mnie i rzucili się do drzwi wejściowych. Byli we czwórkę. Na czele pędził mężczyzna w butach z krokodyla.

Nie wałałem się ani sekundy — odpieranie ataku czterech ludzi nie jest moją ulubioną formą spędzania czasu. Nie mogłem dać im się zaskoczyć na górze, gdyż tu moje szanse spadłyby do zera. Zleciałem po schodach jak burza, w mgnieniu oka przeciąłem duży pokój z kominkiem, skoczyłem do frontowych drzwi i szarpnąłem za mosiężną gałkę. Chociaż zatrząsk ustał, drzwi wciąż nie chciały się otworzyć. Spojrzałem niżej: w głównym zamku nie było klucza. Podbiegłem do otwartego okna i skryłem się za parapetem. Kumpel kierowcy granatowego mercedesa, owłosiony jak goryl, w rozpiętej koszuli z krótkimi rękawami, cwałował do wejścia, dzierżąc w olbrzymiej łapie klucz. Wyjąłem broń. Usłyszałem, że do goryla dołączył drugi i krzyknął: „Uważaj na okno”! Czym prędzej runąłem pod schody, gdzie natrafiłem na niskie, wążutkie drzwi. Wejście do piwnicy. Nastawiłem uszu. Porozumiewali się krótkimi, urywanymi zdaniem. Rozdzielili się: dwóch pognęło na górę, reszta obstawiała parter. Zszedłem do podziemi.

Piwnica ciągnęła się chyba pod całym domem. Stały tu omszałe butelki wina, beczki, jakieś paki i pudła, grabie, widły i szpadle, leżały stare gazety. Szedłem w

półmroku, dążąc jak ćma do jedyne go źródła światła, jakie rozpraszało ciemność, do uchylonego okienka wysoko nad ziemią. Nie sięgałem go ręką. Znalazłem drewnianą skrzynkę, oparłem o ścianę, już na niej sta wałem, za moment podciągnąłbym się i chwycił kra wędź, ale nie dane mi było uciec tak łatwo. Ten wielki, owłosiony goryl wyniuchał coś swoim spłaszczonym nochałem i schodził do piwnicy. Przyczałem się i ścisnąłem rękojeść browninga.

Stanął w połowie schodów. Mrugał oczyma, przy zwyczajal je do mroku, dyszał ciężko, z głośnym, ast matycznym poświstem, coś tam do siebie zamamrotał i po chwili ruszył dalej. Gdy tylko mnie minął, lewą ręką zakryłem mu usta, a prawą, uzbrojoną w pistolet, wyrznąłem go w otuszczone nerki. Rewolwer goryla z cichym pluskiem wpadł do otwartej beczki z kiszony mi ogórkami. Dołożyłem jeszcze raz i jeszcze, a kiedy zmiękł w kolanach, wbilem lufę browninga w jego opasłą szyję i wyszeptałem do ucha:

— Kto was nastal, grubasie? Gadaj!

Wyrzcił coś, co zabrzmiało jak ehrrr... Przestraszy lem się, że uszkodziłem mu tchawicę i że nic już z nie go nie wycisnę, ale nie, biedaczysko nie miał po prostu czym oddychać. Odsunąłem nieco pistolet od jego zmaltretowanej szyi.

— Gerd? Jesteś tam? Masz go? — zapytał ktoś z góry, ze szczytu schodów.

Scisnąłem mu oślinione wargi, aż zakwilił z bólu.

— Powiesz, że mnie tu nie ma, jasne? — syknąłem.

Kiwnął głową, nadziejąc się na browninga.

— Nie... — wykrztusił w miarę wyraźnie i zamilkł.

— Gerd? Wszystko w porządku...?

Dźgnąłem grubasa w szyję. Gdybym to zrobił odrobinę mocniej, przebiłbym mu gardło i wymacał łufą kręgi szyjne.

— Tak, tu go nie ma — sapnął.

Poklepałem astmatyka po mięsistym policzku.

— Idę na piętro — odpowiedział tamten. — Wracaj na górę.

Szuranie butów, szybkie kroki. Odszedł.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie. No! Kto was nasał?

Czas uciekał. Kumple Gerda zaniepokojeni długą nieobecnością kolegi mogli łađa chwila wrócić. Musiałem decydować: albo katować go dalej, dopóki nie wyciągnę jakiejś informacji, albo natychmiast wiać.

— No! — warknąłem, szturchając go kolanem w odbite nerki.

Dylemat rozwiązał się sam. Astma, osłabiony niedostatkiem tlenu organizm, ból — i mój grubasek po prostu zemdłał. Podciągnąłem się na parapet i głową naprzód wypelzłem na zewnątrz.

Byłem na skraju ogrodu, z drugiej strony domu, niedaleko miejsca skąd rzucili się za mną w pościg. Od żwirowej alejki dzieliło mnie pięć, sześć mocno ryzykownych kroków, ponieważ między ścianą domu a niskim krawężnikiem leżały, jak na ironię, suche świerkowe gałazki. Skąd się tam, u diabła, wzięły?! Szedłem więc tak, jakbym naraz zmienił zawód i został baletmistrem. Bolały mnie czubki palców, chwiałem się, wymachiwałem rękami jak wiatrak i podświadomie wtulałem głowę w ramiona, jakby mogły mnie

osłonić przed kulą. Nigdy nie nauczyłem się tańczyć i pewnie dlatego straciłem równowagę i wlałem w sam środek ściółki.

Jeden z nich musiał chyba wtedy przechodzić koło okna, bo usłyszałem krzyk, brzęk tłuczonej szyby, zaraz potem strzał i pocisk wyrwał kawał murawy tuż za mną. Na końcu trawnika rósł wiekowy żywopłot z przejściem w kształcie trójkąta; dalej biegła cienista ścieżka. Rwałem zygzakami jak pijany chart, mijałem chińskie ogródki i francuskie klomby i mimo niewesołej sytuacji pomyślałem sobie, że ogrodnik Worstera pójdzie teraz na zasłużony urlop. Z utęsknieniem wypatrywałem ceglanego muru i wreszcie go zobaczyłem, daleko, za rzędem krzewów. Im bliżej, tym bardziej rósł mi w oczach. Nie zwalniając, zaryzykowałem rzut oka za siebie.

Jeden z tamtych wybiegł właśnie na skraj przecinki, którą pokonałem jak rozszałale tornado. Stanął w rozkroku i wymierzył we mnie broń. Skoczyłem w lewo, potem w prawo, znów w lewo, wdepnąłem w świeżo podlaną, rozpulchnioną grządkę i człapiąc w błocie niczym mały hipopotam, dopadłem muru. Gruchnął strzał, pocisk wylupał w cegle dużą dziurę na wysokości mojej głowy, której na szczęście już tam nie było, ponieważ zdołałem się odbić, chwycić rękami za krawędź muru, wciągnąć błyskawicznie na górę i gdy padł drugi strzał, osunąłem się bezpiecznie w wysokie pokrzywy.

Zanurzyłem się w las. Wciąż słyszałem za sobą krzyki i nawoływania i nagle naszła mnie chęć, żeby się gdzieś na nich zasadzić i wystrzelać jak kaczkę. Ja

ich albo oni mnie. Wolałem nie ryzykować, jeszcze nie. Biegłem po mchu, dziękując Najwyższemu, że tamci nie mają psów. Czułem jednak, że długo tak nie wytrzymam. Byłem cały dzień na nogach, od rana nic nie jadłem, nie wypilem nawet kropli płynu i zmęczenie zaczynało dawać mi się we znaki. Parłem jednak naprzód, nurkowałem w kłujących gęstwinach i nasłuchiwałem, czy idą za mną, czy nie.

Las zdawał się nie mieć końca. Sądząc po słońcu, szedłem na północ. Zawędrowałbym pewnie aż do Szkocji, gdybym po kwadransie od chwili przekroczenia muru nie stanął na brzegu niewielkiej, leniwej rzeczki. Upadłem na kolana i napiłem się wody. Była niesmaczna, zaprawiona jakimiś chemikaliami. Zagubiony wśród drzew, słuchałem lasu. Z daleka, ze wschodu, skąd przyszedłem, niósł się dźwięk policyjnych syren.

Rozdział 9

Piątek, 16 lipca, godzina 20.30

A jednak miałem rację — sekretarka Worstera zawiadomiła policję. Zawodzenie odległych syren i bicie mego serca były jedynymi dźwiękami, jakie słyszałem. Bicie serca znacznie wyraźniej niż zawodzenie, bo waliło młotem, z siłą zdolną strzaskać rozłożysty świerk, za którym stałem. Po kilku łykach paskudnej wody oddychałem w miarę spokojnie, ale jeszcze przed minutą mógłbym zatrudnić się u pierwszego lepszego kowala jako znakomity miech i byłem niemal pewien, że ścigający mnie ludzie z facetem w butach z krokodylowej skóry na czele znajdą mnie bez żadnych trudności.

Kiedy puls zwolnił do stu sześćdziesięciu i słyszałem już nieco lepiej, odkryłem, że syreny co prawda umilkły, ale zastąpiło je coś innego. Nie było to bynajmniej kląskanie skowronka, usłyszałem wyraźny głos człowieka. Odpowiedział mu inny, nieco bliżej, a potem jeszcze inny, od zakola rzeczki. Wyglądało na to, że się rozdzielili i idą tyralierą, od czasu do czasu nawołując się, żeby sprawdzić, czy przypadkiem kolejnemu z nich nie odbiłem nerek. Jeden dotarł już do rzeczki i skrzykiwał resztę, pewnie na naradę. A mieli nad czym radzić. Poszedłem z prądem, czy pod prąd?

Iść na południe, w stronę miasta, czy na północ, tam, dokąd szedłem? Jeśli myśleli tak, jak przypuszczałem, że myślą, nie pozostawało mi nic innego, tylko przekroczyć wodę, ruszyć na zachód i mieć nadzieję, że nie będą za mną leźć aż na koniec świata.

Znów rozpocząłem mozolną wędrówkę. Po drugiej stronie rzeki poszycie wyrosło na metr. W butach chlupotało mi niemiłosiernie, z czasem chlupot przerodził się w bagniste cmok-cmok-cmok, co zaczęło mi działać na i tak zszargane nerwy. Do nóg przykleiły się mokre po uda spodnie, a do spodni przywierało wszelkie paskudztwo, na jakie po drodze natrafiłem: całe roje małych muszek niezdarnie przebierających nóżkami, liście, listeczki i nasiona trawy. Wlokłem się coraz wolniej, prosząc Stwórcę, by nie doświadczał mnie tak srogo i nie zamieniał w leśnego dziada. W przeciwieństwie do listu Worstera moje prośby najwyraźniej dotarły pod właściwy adres, bo las zaczął się przerzedzać i ujrzałem przed sobą zagon młodej kapusty, za nim ziemniaki, a jeszcze dalej coś, co zupełnie odebrało mi ochotę do życia — łąkę.

W normalnych okolicznościach taki widok nie przyprawia mnie o samobójcze myśli, przeciwnie, lecz teraz wyjście z lasu na otwarty teren znaczyło tyle samo, co ustawienie się pod tarczą strzelniczą. Nic tylko prac i szybko zmieniać magazynki. Niemniej jednak musiałem wyjść, ponieważ nie miałem pewności, czy plan taktyczny trójki podążającej moim tropem — a może już czwórki, jeżeli goryl zdołał wrócić do zdrowia — zgadza się z założeniami, jakie poczyniłem nad leniwą rzeczka. Rozejrzałem się niezdecydowanie. W

zasięgu wzroku nie ujrzałem żadnego domostwa i pozazdrościłem zajęcom, które żyły tu jak w raju. Jeszcze sekunda, a zrobiłbym błąd typowy dla niedoświadczonego skauta. Stojąc na skraju otwartej przestrzeni, prawie zawsze kieruje się oczy przed siebie, rzadko na boki, pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w lewo czy prawo. Gdy spojrzałem w lewo, wzdłuż postrzępionej ściany lasu, daleko na horyzoncie zobaczyłem tuman kurzu. Tuman kurzu w takiej okolicy jak ta mógł oznaczać tylko jedno: drogę, po której jeździły samochody. Znow zebrałem się w sobie i cmok-cmok-cmok poczłapałem do zagonu kapusty.

Moje założenia okazały się z gruntu fałszywe. Zbir w butach z krokodyłowej skóry miał więcej oleju we łbie, niż sądziłem, i zamiast pokierować obławą w dół lub w górę rzeczki, rzucił wszystkie siły na zachód. Kiedy dotarłem do krańca zagonu z kapustą, wszedłem w ziemniaki i rozkwitła we mnie nadzieja, że ich zgubiłem, usłyszałem głuchy wystrzał. Z tyłu, daleko, lecz bez wątpienia wystrzał, bo samochody o zanieczyszczonych gaźnikach i źle ustawionym zapłonie nieczęsto zapuszczają się na pola. Przyspieszyłem kroku i wtedy padł następny strzał. Zboczyłem na skraj lasu. Biegłem, potykałem się o kępy traw i grudy wysuszonej ziemi, aż wreszcie ujrzałem strome pobocze. Wdrapałem się na nie z gracją schorowanej kozicy i podniosłem rękę z takim rozmachem, jakbym chciał zatrzymać batalion czołgów, a nie najzwyczajszy samochód jadący w dowolnym kierunku.

Tamci we trzech — Gerda, owłosionego goryla w koszulce z krótkimi rękawami chwycił widocznie atak

astmy — sadzili środkiem zagonu ziemniaków, trując bucioramai wypieszczone rośliny. Jak na złość, dwie pierwsze ciężarówki nie zareagowały na moje rozpaczliwe znaki, a raczej zareagowały wbrew moim chęciom: ominęły mnie szerokim łukiem i przyprawiły o suchy kaszel. Gdy nadjechał trzeci samochód, poważnie się zaniepokoiłem o swoje oczy, które nagle, wśród zapyłonego pustkowie, ujrzały coś, co zakrawało na cud, bo jak inaczej określić czarnego, luksusowego bentleya rocznik 1990, z telewizorem, barkiem, klimatyzacją, telefonem i Bóg wie czym jeszcze w środku. Z wrażenia zapomniałem unieść rękę, ale ów cudowny pojazd zrozumiał moje intencje, zamruczał silnikiem i stanął tuż przy mnie. Elektrycznie opuszczana szyba uchyliła się na cał.

— Podwieźć pana?

Za kierownicą siedział mężczyzna w średnim wieku, o którym nic nie umiałem powiedzieć. Są tacy ludzie. Nie mają żadnych znaków szczególnych, nie mają dużego nosa, nie są otyli ani wychudzeni, mówią zwyczajnie i ubierają się jak przeciętni śmiertelnicy. „Przeciętny” — to właśnie słowo przyszło mi na myśl, gdy otrzepawszy z nóg igliwie, oparłem dłoni na dachu bentleya.

— Chętnie. Widzi pan, trochę mi się śpieszy — odparłem.

Omiotł mnie wzrokiem od stóp po zlepione potem włosy, później spojrział na pole, gdzie jeszcze przed minutą istniał zagon młodych ziemniaków, i rzekł:

— Niech pan wsiada.

Cmok-cmok-cmok-cmok, otworzyłem tylne drzwi,

zapadłem w skórzaną, mięciutki fotel, silnik westchnął cichutko niczym zefirek o zmroku i potoczyliśmy się wyboistą drogą.

— Tamci na polu to pana koleczy? — zapytał po chwili.

— O, tak. Spotykamy się ostatnio tak często, że mogę ich nazwać kolegami, na pewno. Czy jedzie pan do Cambridge?

Uśmiechnął się ciepło i skinął głową.

— Tak, do Cambridge. Pan też się tam wybierał? Piechotą?

Przypomniałem sobie o fordzie wypożyczonym na Heathrow i zastanawiałem się przez moment, jaką by tu historyjkę wymyślić, żeby panienska z Car Rental nie nabrała podejrzeń.

— Samochód mi nawalił — powiedziałem.

— W polu?

Zabrzmiało to raczej jak twierdzenie niż pytanie.

— Tak, w polu. Uprawiam jazdę terenową.

— I biegi na przelaj — dodał.

— I biegi na przelaj.

Bentley potrzebował ledwie kilku minut na to, na co ja straciłem pół godziny. Okrążyliśmy las i wjechaliśmy do miasta od południowego zachodu. Cały ten czas próbowałem rozgryźć faceta za kierownicą. Bo owszem, mógł mieć dom zagubiony wśród świerków, jak dom Worstera, ale o ile pamiętałem topografię okolicy, rezydencje leżały we wschodniej, a nie w zachodniej części lasu. Zgoda, mógł mieszkać po stronie wschodniej, gdzieś w polu. Mógł nawet być właścicielem stratanego zagonu kartofli, lecz jeśli utrzymywałby

się z pracy na roli, nie byłoby go stać na bentleya rocznik 1990. W okolicy Cambridge nie ma farm jak w Teksasie. Do robót polowych kupiłby półciężarówkę, a na wypad do miasta coś mniejszego, o średnim standardzie: morrisa albo volkswagena. Wątpię, czy odłożyłby na mercedesa. Wiedziałem, że coś się tu nie zgadza, że postacie z bajek rzadko zagląдают do wiejskich zagród, znaczną część życia spędzając w kryształowych pałacach. I miałem rację.

Podrzucił mnie do centrum, wysiadłem, zatrzasnąłem drzwi, znów syknęła elektrycznie opuszczana szyba i gość powiedział:

— Ukłony od Berta, Clive! Zdecydowałeś się już? Czas ucieka!

Bentley wyprysnął na środek jezdni, nim znaczenie tych słów dotarło do mojego oślepiałego ze zmęczenia umysłu.

Starsi mieszkańcy Cambridge patrzyli na mnie jak na wielkie dziwo. Przyzwyczajeni do widoku różnych, najabsurdalniejszych strojów, gapili się i z niedowierzaniem kręcili głowami. W podartej marynarce, w rozchełstanej na piersi koszuli, od której wszystkie guziki straciłem w lesie, w szarawych, mokrych po kolana spodniach, z których w żaden sposób nie umiałem usunąć pajęczyn, plam błota i nasionek trawy, musiałem wyglądać wyjątkowo elegancko. W najbliższym barze zamówiłem kanapki z szynką, piwo i dwie lampki prawdziwego francuskiego koniaku. Musiałem

spokojnie przemyśleć wszystkie wydarzenia, jakie zasły od chwili mojego przyjazdu do Cambridge.

Sekretarka Worstera, co zrozumiałe, nie chciała mi dać jego prywatnego adresu. Ale mniej zrozumiałe jest to, że o nieobecności szefa zawiadomiła policję. Profesor, choć punktualny i nader metodyczny w działaniu, mógł po prostu zapomnieć o seminarium albo najzwyczajniej w świecie zasłać czy zachorować, mógł wreszcie złamać nogę na ulicy. Miał już swoje lata. Sekretarki nie zawiadamiają policji o każdym spóźnieniu szefa! Co by to było, na Boga?

Nie przekazałem jej przecież wiadomości aż tak dramatycznych. Powiedziałem tylko tyle, że domyślam się powodu nieobecności profesora. Kropka. I kłamstwo. Nie domyślałem się niczego. Niepokoiłem się jedynie, a niepokój brał się stąd, że to Worster czymś się niepokoił i chciał swój niepokój scedować na mnie. Gdybyśmy w chwilach zdenerwowania i zatroskania wydzwaniali do najbliższego posterunku, posterunkowi zapłakaliby się na śmierć, a tak zwany element przestępczy, żyjący z reguły dosyć beztrosko, wiódłby zaiste rajski żywot!

Kirka Worstera zamordowali ludzie, którzy wcześniej chcieli zamordować mnie. Nie ulegało wątpliwości, że ogniwem łączącym zamachy na jego i moje życie był ów nieszczęsny list. To przez list Worstera miałem zginać, bo zawierał coś, co dla faceta w butach z krokodylowej skóry stanowiło na tyle poważne zagrożenie, że był gotów zabić. Worster czegoś się bał, pisze o tym wyraźnie. Załamał się, dał mi znać i nie żyje.

Smutne w tym wszystkim było to, że ja nadal nie wiedziałem, o co mu chodziło.

Sprawa Berta Flaherty'ego. Bert zwariował. Śledził mnie nieustannie, a szczytem jego umiejętności okazał się facet w bentleyu na polnej drodze. Cholernie musiało mu na mnie zależeć, skoro wydawał takie pieniądze i wysyłał najlepszych ludzi, żeby stale mieć mnie na oku. Tylko po co? Po kiego diabła? Ani mi się śniło przed nim uciekać!

Dosyć tych rozmyślań. Teraz należało dowiedzieć się czegoś więcej o Worsterze. Z nim nie mógł rozmawiać już nikt. W domu profesora nie zastałem nikogo, więc jeśli miał żonę, to gdzie jej szukać? Nie, nie w takim momencie. Wydział Geologii. Kto najlepiej zna dziekana wydziału? Jego osobista sekretarka.

Zadzwońnięm z zaplecza baru. Najpierw długo nikt nie odbierał, a potem jakiś głos poinformował mnie, że jej nie ma, że jest w domu profesora Worstera. Nie namyślając się ani sekundy, zadzwoniłem pod numer, który mi dała podczas naszego spotkania. Słuchawkę podniósł mężczyzna, gliniarz jak nic. Od razu, bez przedstawiania się, ostro spytałem o sekretarkę Worstera. Podeszła. Głos miała opanowany i spokojny.

— Byłem dziś u pani — zacząłem. — Chciałem się zobaczyć z profesorem. Muszę z panią natychmiast porozmawiać. W cztery oczy.

— Czy... czy to pan? — wyjąkała po długim milczeniu.

Nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi, na wszelki wypadek powiedziałem:

— Nie, nie ja. Proszę mi wierzyć, że nie mam z jego śmiercią nic wspólnego. Od dwóch dni dzieją się wokół mnie rzeczy, których nie pojmuję i sądziłem, że profesor Worster mi pomoże. Po to przyjechałem do Cambridge. Gdy go znalazłem, już nie żył.

Znowu długie milczenie, jakieś szmery i trzaski.

— Proszę zaczekać — rzuciła krótko.

Musiła zakryć słuchawkę dłonią, bo wszelkie dźwięki, jakie wylapywał czuły mikrofon, docierały do mnie mocno przytłumione. Czekałem dobrych kilka minut. Czyżby poruszona śmiercią Worstera zapomniała o naszej rozmowie? Już miałem krzyknąć w słuchawkę, gdy odezwała się ponownie.

— Gdzie pan jest?

Nie wiedziałem. Przeprosiłem ją na chwilę, zapytałem barmana o adres, wróciłem do telefonu i podałem swoje zamiary.

— Czy pan... Czy pan jest sam?

— Jak palec. Nie mam się do kogo zwrócić o pomoc.

— Czy policja już z panem rozmawiała? — pytała dalej, dociekliwa jak wszyscy diabli!

— Kiedy ktoś włamał się do mojego mieszkania i dał w łeb dozorcę, który już zresztą nie żyje i bynajmniej nie zmarł śmiercią naturalną, zadzwoniłem na policję, gdzie mi poradzili, żeby się nie przejmować i cieszyć życiem. A później zaczął się taki cyrk, że gdybym był na miejscu glin i gdyby mi przyszło rozmawiać z kimś, kto opowiada tak niestworzone historie, wyrzuciłbym go z posterunku na zbity pysk.

— Rozumiem... — wyszeptała.

Nic nie rozumiesz, pomyślałem, i mobilizując cały swój dar przekonywania, powiedziałem:

— Naprawdę bardzo mi na pani zależy...

Wtedy zależało mi tylko i wyłącznie na informacjach. Ale to było wtedy.

Rozdział 10

Piątek, 16 lipca, godzina 22.15

Włosy miała zebrane w koński ogon, opadający kaskadą do połowy pleców. Były puszyste, naturalnie czarne i w ciepłym świetle lamp igrały na nich lśniące refleksy. Pod ciemnymi łukami brwi mieniły się wszystkimi odcieniami lazuru jej ogromne oczy. Skądś znam ten kolor... ale skąd?

Odkryłem nagle, że to niepozorne dziewczę, które przed paroma godzinami spotkałem na Wydziale Geologii, jest cholernie atrakcyjne. Choć miała najwyżej dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat, była w niej jakaś dojrzałość, promieniowała energią i zdecydowaniem.

— Kim pan, u diabła, jest?

To się nazywa dobry początek rozmowy. Uzmyslowiłem sobie, że po pierwsze — ona nie zna mojego nazwiska, bo w sekretariacie nie raczyłem się przedstawić, po drugie — nie wie, kim jestem, to znaczy nie wie, gdzie pracuję, i ma wszelkie podstawy brać mnie za mordercę Worstera, i wreszcie po trzecie — mój wygląd ani trochę nie sprzyja jej pozytywnemu nastawieniu do konwersacji.

— Nazywam się O'Casey. Jestem szefem brygad

antyterrorystycznych TML, pracuję w Centrali Systemu Bezpieczeństwa w Dollands Moor. Mam prawie czterdzieści lat, furę kłopotów i muszę z panią porozmawiać o profesorze Worsterze.

Nie wiem, czy bardziej nią wstrząsnął mój wiek zestawiony z żalosnym wyglądem, czy wiadomość, że jestem tym, kim jestem, niemniej jednak była wyraźnie wstrząśnięta, jakby sądziła, że to niemożliwe, by czterdziestoletni, odpowiedzialny człowiek na odpowiedzialnym stanowisku włóczył się po mieście w łachmanach, na które nie połakomilby się nawet londyński żebrak spod katedry Świętego Pawła.

— Ach, tak... — powiedziała. — Daruje pan, ale trudno w to uwierzyć.

Wyjąłem portfel, gdzie przechowuję karty kredytowe Banku Angielskiego, prawo jazdy, legitymację CSB, pieniądze i zdjęcie Jane, położyłem go na stoliku i rzekłem:

— Proszę się nie krępować. Chcę, żeby mi pani ufała. Inaczej pani nie przekonam.

Dla przeciętnego człowieka sytuacja byłaby trochę krępująca, no bo przecież nie uchodzi tak ni z tego, ni z owego wtykać nos w cudzy portfel. Co innego, gdy nie ma przy tym właściciela. Wtedy wprawdzie też nie uchodzi, ale dziewięćdziesiąt procent kobiet nie miałoby skrupułów. Ona jednak należała do tych pozostałych dziesięciu procent, które nie mają skrupułów nawet w obecności właściciela, i przejrzała dokumenty tak sprawnie, jakby w życiu nie robiła nic innego.

— No dobrze, panie O'Casey, wierzę panu. Dlaczego chciał się pan ze mną zobaczyć?

Opowiedziałem jej o wszystkim, co uznałem za ważne. Mówiłem o włamaniu do mieszkania, o napadzie na Amadeusza Carra, o jego śmierci w garażu na Erskine Road, o tym, że zginął przeze mnie i zamiast mnie. Wspomniałem o mężczyźnie w butach z krokodylowej skóry, o tym, jak strzelał do mnie na Crayford Road, jak chciał mnie zepchnąć do rowu razem z porsche, jak mnie ścigał w metrze i jak uciekłem. Opisałem też moją tragiczną wizytę w domu Worstera, dodając, że i tam spotkałem kierowcę granatowego mercedesa z Camden Park tudzież jego trzech odpowiadających mu temperamentem kumpi. Opowiedziałem wszystko, pomijając jedynie wątek Berta Flaherty'ego. Uznałem, że Flaherty nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

— A oto powód całego zamieszania — rzekłem, wręczając jej list Worstera.

Przeczytała go dwa razy i wargi jej zadrżały.

— Czy treść tego listu coś pani mówi? Do kogo mógł być adresowany?

Pokręciła głową i spojrzała na kopertę.

— Wygląda na to, że do pana — odparła ze smutnym uśmiechem.

— Czy nie rozumiała pani, co mówiłem? Profesor Worster napisał dwa listy. Pierwszy miał otrzymać ktoś, kogo nazywa sukinsynem i kogo, jak łatwo się domyślić, nie darzył zbytnią sympatią. Drugi miałem dostać ja.

Sięgnęła po chusteczkę i szybkim ruchem wytarła oczy.

— Przepraszam pana, jestem dzisiaj nie do życia — szepnęła. — Tak, doskonale pana zrozumiałam. On rzadko pisywał listy. Zazwyczaj zlecał to mnie. Dawał ogólne wytyczne, a później tylko podpisywał. Chce pan powiedzieć, że pomylił koperty?

— Otóż to! Napisał.. Czy jest pani absolutnie pewna, że to jego charakter pisma?

— Bez wątpienia.

— Napisał więc listy, włożył do wcześniej zaadresowanych kopert, zakleił i nadał w Londynie. Musiał być nielicho zdenerwowany, dlatego ja otrzymałem list do owego „sukinsyna”, a ów „sukinsyn” do mnie. To chyba jedyne wytłumaczenie. Innego nie widzę. A pani?

— Dlatego chcą pana teraz wykończyć...

Bardzo sprytna uwaga. Dziewczyna miała głowę nie od parady.

— Tak, bo facet, którego Worster nazywa sukinsynem, domyślił się tego samego, co ja. Obaj wiemy o zamianie listów.

— Cały szkopuł w tym — wpadła mi w słowo — że pan nie wie, co zawiera tamten list, a on, co zawiera ten.

— I na wszelki wypadek — znów przejąłem pałeczkę — chce ten cholerny list odzyskać. Sęk w tym, że list przestał już odgrywać jakąkolwiek rolę.

Nie zrozumiała.

— Przeczytałem go i teraz ja jestem chodzącym listem. Dlatego próbują mnie zlikwidować. Nie udało im się w Londynie, obawiali się, że dotrę do Worstera w Cambridge, i czym prędzej go załatwili.

— Ja też przeczytałam ten list...

— Tak, ale pani nie tkną, chyba że zacznie pani węszyć jak ja. Zresztą tu jesteśmy bezpieczni, zgubiłem ich pod miastem. (O Boże, jakież byłem naiwny!) Pytanie zasadnicze: kto według pani może być tym sukinsynem?

— Za dużo pan ode mnie wymaga — odrzekła po króciutkim namyśle. — On znał mnóstwo ludzi, zbyt wielu. Trudno mi kogokolwiek na oślep oskarżać.

— Proszę się zastanowić, to niezmiernie ważne. Co mógł mi napisać profesor Worster? W tym liście wspomina, że ktoś go chciał zastraszyć i że ten sam ktoś ma jakiś obłąkany plan. Jaki plan? O co Worsterowi mogło chodzić?

— Znów mnie pan przecenia. Tak jak nie znam wszystkich, z którymi się spotykał, tak nie jestem w stanie powiedzieć, jakie ci ludzie mieli czy mają plany. Zresztą sam pan chyba rozumie, że jeśli te plany są sprzeczne z prawem, z pewnością zostały dobrze utajnione. Skąd miałabym o nich wiedzieć?

Co racja, to racja. Gdybym ja znał czyjeś niecne knowania, nie zdradziłbym ich nawet Jane, a co dopiero sekretarce. Przypomniał mi się stetryczyły Connors z Muzeum Geologicznego w Londynie.

— Worster miał coś wspólnego z TML, prawda? — zapytałam.

Tym razem nie namyślała się ani sekundy.

— Tak, bardzo dużo. Już w latach sześćdziesiątych kierował zespołem badającym podłoże geologiczne przyszłej trasy tunelu. Później przewodniczył komisji rządowej, która miała ostatecznie zatwierdzić plany

wierceń przedstawione przez specjalistów z Eurotunelu. Od roku 1988 do 1991, to znaczy od rozpoczęcia prac aż do chwili połączenia tuneli, nadzorował roboty pod dnem Kanału.

— Osobiście? — spytałem, bo jakoś nie umiałem sobie wyobrazić pana w jego wieku zanurzonego po szyję w błocie.

— Tak, bywał tam bardzo często, ale głównie zajmowała go teoria wierceń.

— A może to ktoś z kręgu ludzi bezpośrednio związanych z TML? — Nie ustępowałem. — Czy nie znał kogoś, kto mógłby popaść w konflikt z prawem, szantażować go i wreszcie, kiedy Worster zdecydował się ujawnić prawdę, zamordować? Nikt taki nie przychodzi pani na myśl? Absolutnie nikt?

Znów pudło. Chwyciłem się ostateczności.

— Czy mówi pani coś nazwisko Flaherty? Bert Flaherty?

Westchnęła i ciężko opadła na oparcie krzesła.

— Bardzo mi przykro, panie O'Casey.

Powiedziała to tak, że posmutniałem jeszcze bardziej.

— Chcę pomóc, proszę mi wierzyć, ale widzę, że nic panu po mnie, prawda?

Nie zaprzeczyłem, bo rzeczywiście niewiele mi mogła. Zapłaciłem rachunek i ruszyliśmy do wyjścia.

— A co policja? — spytałem po drodze. — Też mnie podejrzewają?

— Też?

Spojrzała na mnie niepewnie.

— Pani sądziła, że to ja zabiłem Worstera.

Zatrzymała się w progu i znów uderzył mnie kolor jej oczu. Skąd, u licha, znam ten odcień?!

— Nie wiem, dlaczego — odrzekła — ale zabronili powiadamiać o tym kogokolwiek, nawet znajomych, a zwłaszcza prasę. Do czasu zakończenia śledztwa.

— Pytali o mnie?

— Nie, o nic właściwie nie pytali, takie tam drobiazgi...

Samochód z Car Rental zostawiłem spory kawałek od wjazdu do posiadłości Worstera. Zanim ktoś się nim zainteresuje, pomijając złodziei, upłynie trochę czasu. Dlatego, jeśli wierzyć tej pannie — a właściwie jak jej na imię? — policja nie ma podstaw do podjęcia przeciw mnie jakiegokolwiek akcji. Tylko tego mi trzeba, żeby do gościa w butach z krokodyłowej skóry i do ludzi Berta Flaherty'ego dołączyli stróże prawa i porządku.

Wyszliśmy na ulicę i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Poczulem się nagle jak niedoświadczony szczeniak na pierwszej randce i bardzo żałowałem, że nie spotkałiśmy się w przyjemniejszych okolicznościach. Wtedy wiedziałbym, co robić. Musiałem mieć nieszczególną minę, bo przejęła inicjatywę.

— Nawet nie spytał mnie pan o imię...

— Właśnie — wykrztusiłem. — Mam za sobą ciężki dzień, przepraszam.

— Nazywam się Alison Worster. Jestem córką profesora.

Nagle tuż za mną ktoś zawołał: „O’Casey”! Męski głos, głos, którego nie znałem. Instynktownie spojrzałem w tamtych kierunku i zrozumiałem, że popełniłem błąd.

Znów miał na głowie ten swój wielki kapelusz. Stał na chodniku, oparty o przedni zderzak granatowego mercedesa, i palił cygaro. Wóz był zdrowo pokiereszowany, maska wgnieciona, prawy błotnik też. Rozpaczliwym gestem odepchnąłem od siebie dziewczynę, włożyłem rękę do kieszeni i zacząłem odwracać się w prawo, skąd musiał nadejść atak. Facet w krokodylowych butach był oddalony od nas o całą szerokość chodnika i nie stanowił bezpośredniego zagrożenia, zwłaszcza że łapy trzymał na wierzchu i ćmił to parazywe cygaro. Jeśli nie on, kalkulowałem, zaatakują jego ludzie. Z jednej strony, z drugiej, z tyłu lub ze wszystkich trzech naraz. Nie mogłem się roztroić i wybrałem ten kierunek, który mi najbardziej odpowiadał. W prawej kieszeni marynarki miałem browninga, ale na nic mi się nie przydał. Ktoś chwycił mnie za łokieć, wykręcił go w stawie i szarpnął, ściskając jednocześnie nadgarstek. Pistolet z metalicznym trzaskiem uderzył o chodnik i potoczył się na jezdnię. Ten, który mnie trzymał, krzyknął: „Bierz go z lewej”. Kopnąłem na oślep w bok, trafiłem, i to dobrze, bo facet podchodzący do mnie z lewej zwinął się w kłębek, zatoczył jak pijany, wpadł w oszkloną witrynę baru, rozbił ją w drobny mak i nieprzytomny, osunął się na chodnik. Lewą rękę wciąż miałem wolną, więc chwyciłem garść czyichś włosów, pochyliłem się i ciągnąc ze wszystkich sił, przerzuciłem właściciela skalpu przez ramię. Zawył z bólu i wyrzwał twarzą o ziemię. Dla pewności kopnąłem go w podbrzusze i stanąłem w rozkroku, gotów do dalszej walki.

Ten trzeci był już przy Alison. Trzymał ją za szyję i

tak mocno podciągał podbródek, że stopami ledwie dotykała chodnika. Jeszcze chwila, a zawisłaby jak na stryczku. Nim zrobiłem krok, by jej pomóc, stała się rzecz nieprawdopodobna. Alison uniosła ręce, zgięła je i z siłą małego kafara wbiła łokcie pod żebra napastnika. Efekt był natychmiastowy: puścił ją, wziął się pod boki i pewnie zatańczyłby skoczego oberka, gdyby do akcji nie wkroczył kierowca mercedesa.

— Wiaź do samochodu, bo rozwalę jej łeb! — warknął.

Stał przy Alison ze splotką przytkniętą do jej skroni. Dziewczyna zamarła.

— Szybko! — powtórzył.

Czas był po temu. Wokół nas, w bezpiecznej odległości, zebrał się już tłumek gapiów. Właściciel baru dał znać, gdzie trzeba i w wąskich uliczkach Cambridge zabrzmiały policyjne syreny. Spojrzałem na Alison. Trzymała się dzielnie, w jej wzroku nie dostrzegłem śladu paniki. I dalej nie wiedziałem, skąd znam kolor jej lazurowych oczu.

Umysł miałem ociężały, powrócił ból uszu i czułem się tak, jakbym zamiast głowy nosił na karku olbrzymi, rozdęty balon. Prowadził ten upiorny kowboj z cuchnącym cygarem. Obok siedział gość, któremu właściciel knajpki powinien był wystawić rachunek za rozbitą szybę. Alison i ja tłoczyliśmy się z tyłu, między dwoma pozostałymi oprychami. Oddychali ciężko. Ten koło Alison żuł gumę i macał swoje żebra. Ten

przy mnie śmierział czosnkiem i nie strawionym alkoholem; lewą ręką ocierał twarz z krwi, w prawej trzymał broń. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nie ma wśród nich mojego faworyta, Gerda — astmatycznego grubasa, z którym miałem przyjemność w domu Worstera. Biedak, musiał być jednak wybitnie słabowity.

— Coś rozkłada ci się w gębie, kolego — mruknąłem do tego obok mnie. — Widocznie żyło tam sobie, żyło, zdechło i nawet tego nie zauważyłeś.

Zdzielił mnie pięścią w twarz, w ustach poczułem ciepłą słodycz. Alison wzięła mnie pod ramię i przez chwilę zrobiło mi się lżej na duszy. Tylko przez chwilę.

Wieźli nas poza miasto, do Bridge Farm, tam gdzie Cam płynie meandrami i gdzie kończy się przyzwoita zabudowa, a zaczyna ciąg opuszczonych przez Boga i ludzi ruder. Lata temu rejon ten tętnił życiem, tu przybijały barki ze zbożem, skrzypiały dźwigi, lecz teraz w Bridge Farm nie uświadczysz nikogo oprócz zapijaczonych obdartusów, młodocianych rzezimieszków zdobywających pierwsze ostrogi w złodziejskim fachu i snujących się nieprzytomnie band narkomanów, którzy w zaciszu rozpadających się baraków odbywają swe czarodziejskie wycieczki. Wieźli nas jednak nie po to, żeby pokazać ciemne strony państwa dobrobytu, wieźli nas w ściśle określonym celu.

Zatrzymaliśmy się w labiryncie urządzeń starego portu i faceci z tyłu wypchnęli nas z wozu.

— Idziemy! — warknął kierowca, gryząc cygaro. —

Pamiętaj, O'Casey, jeden głupi ruch i skręcę twojej pani kark. Idź do tamtej lampy.

Szedłem przodem, a gość z nieświeżym oddechem dźgał mnie od czasu do czasu w kręgosłup lufą pistoletu. Tak dla zabawy. Krok za mną prowadzili Alison. Dobrze to rozegrali, ale dlaczego, u diabła, byli aż tak pewni siebie?! Skąd wiedzieli, że nie zrobię tego jednego głupiego ruchu, że się nie odwrócę, nie posłużę którymś z nich jak żywą tarczą i nie zniknę w ciemnościach, pozostawiając Alison na pastwę losu?

— Stój!

Stałem. Naga żarówka na wysokim słupie rzucała chwiejne cienie w rytm lekkich podmuchów wiatru. Było to podwórze niepodwórze, plac nieplac, coś w rodzaju rozszabrowanego magazynu opakowań. W kręgu żółtawego światła wały się połamane skrzynki, zgniecione pudła i paki. Pchnęli Alison na ziemię. Ten od rozbitej witryny kazał jej się podnieść i usiąść na drewnianej skrzyni. Usłuchała. Dwóch chwyciło mnie i wykręciło ramiona do tyłu, trzeci zaszedł z boku i wbił mi lufę rewolweru między żebra. Facet w butach z krokodylowej skóry wypluł cygaro, wgniótł je obcasem w piach i złapał Alison za włosy.

— Jak się nazywasz?

Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę.

— Alison Worster — wydusiła przez ściśnięte gardło.

Uderzył ją na odlew w twarz.

— Jak się nazywasz?

Nie podniósł głosu, nie, nie zdenerwował się ani

odrobinę, pytanie zadał tym samym, spokojnym tonem.

— Alison Worster — szepnęła, rozcierając policzek. — Jestem córką profesora Worstera, jego osobistą sekretarką...

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale ręka kierowcy mercedesa była szybsza. Alison runęła na ziemię. Potrząsnęła głową, a gdy uniosła się na łokciach, chwycił ją w pól, podniósł jak piórko i cisnął na skrzynię.

— Zostaw ją — powiedziałem w ciszy. — Ona naprawdę nazywa się Worster i jest córką Worstera, którego dzisiaj zamordowaliście.

Facet w kapeluszu nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem. Poczulem tylko paraliżujący ból w krzyżu. Przez moment myślałem, że zemdleję.

— Stul pysk! — warknął. — Co robiłaś u Worstera?

Mężczyzna w butach z krokodylowej skóry odczekał, aż Alison otrze rozbite wargi, i powtórzył pytanie.

— Takiś odważny, sukinsynu? — wysapałem w bólu. — Bijesz bezbronną dziewczynę? A może sprawia ci to przyjemność, co? Są faceci, którzy nie mogą bez takich podniet.

Ten ze spluwą przyłożył mi tak, że mimo pochmurnej nocy ujrzałem na niebie całą Drogę Mleczną.

Tymczasem kierowca granatowego mercedesa postanowił udowodnić, że bicie bezbronnych kobiet nie sprawia mu przyjemności. Poprawił kapelusz, obciągnął marynarkę i strzepnąwszy z klapy nie istniejący pyłek, rzucił do kompanów:

— Zabawcie się z nią i do rzeki. A on, zanim zdechnie, niech sobie popatrzy.

Rozdział 11

Piątek, 16 lipca, godzina 23.30

Zarechotali obleśnym śmiechem. Ten, który mi omal nie złamał krzyża, i ten z twarzą poharataną odłamkami szkła podeszli do Alison. Wrywała się, krzyczała, ale nie miała dość siły, by oprzeć się dwóm zdegenerowanym bestiom. Zatkali jej usta, ten o cuchnącym oddechu jednym ruchem rozerwał jej bluzkę, zadął spódnice... i w tym momencie przestałem być sobą. We mnie też wstąpiła bestia, potworna bestia kierująca się bezsilną wściekłością i bólem. Zatraciłem naraz wszelki instynkt życia i przetrwania, coś we mnie pękło i obudziło zło. Z ust wydobył mi się ni to charkot, ni wycie, nie wiem, jak uwolniłem ramiona i jakim cudem pilnujący mnie mężczyzna, wrzeszcząc wniebogłosy, wił się teraz w drgawkach u moich stóp. Nie wiem też, dlaczego facet w butach z krokodyla nie strzelał. Może zresztą strzelał, ale nic nie słyszałem i nie czułem bólu. Pamiętam tylko mgliście, że nagle znalazłem się przy dwóch bandziorach usiłujących zgwałcić Alison. Byli tak zaskoczeni, że gdy uderzyłem tego, który śmierdział czosnkiem, na jego twarzy malował się jeszcze lubieżny uśmiech. Uśmiechał się, gdy przyładowałem mu nogą w podbrzusze i przyduśiłem

do ziemi. Drugiemu, temu z pokiereszowaną gębą, który zastygł w bezruchu i skamieniały klęczał na skrzyni, prawą ręką przygniotłem tchawicę. Zaczął się dusić, jego gardło produkowało dziwaczne bulgoty, a że wciąż klęczał za głową Alison i wciąż ścisnął jej usta, raz i drugi dołożyłem mu kolaniem w pierś. Coś w nim zachrupotało, rozkrzyżował ramiona i spadł wreszcie z tej cholernej skrzyni.

— Uciekaj! Uciekaj, Alison! — wrzasnąłem i pchnąłem ją w mrok, poza światło lampy.

Nad głową usłyszałem cichy świst. Nim zrozumiałem, że to pocisk, w lewym ramieniu poczułem ostre pieczenie, jakby ktoś mnie dotknął rozżarzonym prętem. Rzuciłem się za skrzynię. Kilka szybkich, głębokich oddechów. Ochłonałem. Ale nie na długo.

Szedł ku mnie wolno z wymierzoną bronią i strzelał. Bał się mnie, wyraźnie się bał! A przecież dobrze wiedział, że nie mam przy sobie nawet noża, mógł spokojnie podejść na dwa, trzy metry i nacisnąć spust. Jednak nie zrobił tego, na wszelki wypadek osłaniał się ogniem. Pociski furkotały jak oszalałe, odlupywały ze skrzyni ostre drzazgi, wzbijały fontanny piasku, a w przerwach między stłumionymi wystrzałami słyszałem skrzypienie tych pięknych, eleganckich butów z krokodyla. Dwa kroki — strzał, następne dwa kroki — strzał, potem trzask zmienianego magazynka i znów strzał, żebym sobie nie pomyślał, że o mnie zapomniał. Chryste, to koniec, koniec, bo jak stąd zwać?!

Wtem silnik ryknął z taką mocą, że nie zważając na nic, wychynałem zza skrzyni. Tamtem znieruchomiał

w pół kroku. Wciąż do mnie mierzył, lecz patrzył gdzie indziej, za siebie, tam, skąd wytrysnęły nagle dwie oślepiające strugi światła.

Z ciemności, niczym wielki czarny kot, wypadł mercedes i rwał wprost na mnie i na zwyrodnialca w kape-luszu. Zwyrodnialec odwrócił się do pędzącego samo-chodu, osłonił oczy, lecz zdołał zobaczyć tylko dwa przeraźliwie jasne punkty. Wyrzucił przed siebie ra-miona, nie celując strzelił, uskoczył w bok i upadł. Mercedes przetoczył się tuż koło niego, opodał skrzyni ostro zahamował, drzwi otworzyły się na oścież, ktoś krzyknął: „Wsiadaj” i wsiadłem w takim tempie, w ja-kim nigdy w życiu nie wsiadałem do żadnego samo-chodu. Maszyna zawyła, wyrzucając kołami strumie-nie piasku, skręciła w lewo i nim zatrzasnąłem drzwi, zanurzyła się w labirynt ruder Bridge Farm.

Teraz wydawała mi się wyższa. Może to przez jej szlafrok, a raczej szlafroczek odsłaniający długie, wspaniałe nogi, wcięty w talii, podkreślający kształt piersi. Po południu ledwo na nią zwróciłem uwagę, wieczorem zafascynowały mnie jej oczy i włosy, tu-dzież dojrzałość, energia i zdecydowanie, a w środku nocy nie miałem wątpliwości, że jest najpiękniejszą dziewczyną pod słońcem.

Zawiozła mnie do małego domu, który kiedyś kupił jej ojciec. Była sama, zupełnie sama, a do willi w świerkowym lesie nie miała po co jechać; zwłoki zabra-ła policja. Umyłem się, opatrzyłem draśnięcie na ra-mieniu i napiłem się mocnej kawy. Siedzieliśmy w po-

koiku na dole. Na zakratowanym palenisku wesoło trzaskał ogień.

— No to teraz ja cię spytam — zacząłem. — Kim ty, u diabła jesteś, panno Alison Worster?

Uśmiechnęła się smutno i po raz nie wiem który oczarował mnie kolor jej oczu.

— Byłam — poprawiła mnie. — Byłam jego sekretarką. Po śmierci matki ojciec czuł się bardzo samotny i prosił, żebym go nie opuszczała. Najpierw nie robiłam nic. Spotykałam się z chłopakami, chodziłam do teatru, włóczyłam się po kraju, aż mi to w końcu zbrzydło. Chciałam zająć się czymś sensownym, rozumiesz?

— I zaproponował ci posadę u siebie. Podobało ci się?

— Tak i nie — odrzekła. — Praca jak każda inna. Tyle że ciągle miał mnie w zasięgu ręki...

Wtedy w barze sądziłem, że jesteście bezpieczni, że zgubiłem ich pod Cambridge. I rzeczywiście zgubiłem, ale co z tego, skoro natychmiast poszli tropem Alison, jakby wiedzieli, że się z nią zobaczą. Skąd mogli o tym wiedzieć? Czyżby facet w butach z krokodyłowej skóry był aż tak inteligentny i przewidyjący?

— Czego oni od ciebie chcieli? — zapytałem. — Dlaczego wypytywali o nazwisko? Skoro przyszli za tobą do baru, musieli przecież wiedzieć, kim jesteś.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia — odparła. — Może sądzili, że im zagrażam? Może śledzili mnie już wcześniej, podejrzeli w domu ojca, a później na wydziale i coś im się nie spodobało? Mogli na przykład myśleć, że

znam treść listu, który ojciec wysłał do tego „sukinsyna”? Nie wiem, nie wiem...

Klepnąłem się w czoło. Alison! Alison z listu Worstera!

— Alison! — zawołałem. Upuściła łyżeczkę do kawy. — Czy to o ciebie chodziło ojcu? Czy to o tobie pisze... — Otworzyłem kopertę. — Pisze... „inaczej cię nazwać nie mogę za to, co zrobiłeś Alison, i za to, co zamierzasz zrobić”. Co ci zrobili? Kto?

— Nie widzę w tym sensu, Clive. Żadnego. Albo ojciec ubrdał sobie, że ktoś mnie kiedyś skrzywdził, albo pisze o innej Alison. Bo nikt mnie przecież nie napadł, nie zgwałcił ani nie okradł, a ostatni zawód miłosny przeżyłam mając lat piętnaście i już nawet nie pamiętam twarzy tego chłopaka. Zresztą on mnie wcale nie skrzywdził. To się nie trzyma kupy. Ojcu chodziło pewnie o kogoś innego, o jakąś inną Alison, ale nie przypominam sobie, żeby znał kobietę o takim imieniu... Może pisywał do niej osobiście.

Coś w tym musi być, dumąłem. Alison jest ostatecznie dość popularnym imieniem.

— Czy kiedy pisałaś mu listy urzędowe, robiłaś kopie? — spytałem.

— Tak. Oryginał szedł do adresata, a kopia do archiwum. Ojciec podpisywał oba egzemplarze.

— I zawsze dodawał po nazwisku CKTG?

— Chyba tak, z nawyku. Był bardzo dumny, że jest wiceprzewodniczącym zarządu.

— A do kogo pisywał najczęściej? Pamiętasz jakieś nazwiska?

— Nalej sobie jeszcze kawy — powiedziała, wstając. — Na górze mam notatnik. Zaraz wracam.

Nie mogłem oderwać wzroku od jej nóg, a kiedy weszła na schody, oczy omal nie wyskoczyły mi z orbit. Czują, że gapię się na nią, musiała to czuć, bo szybko obciągnęła kusy szlafrok, który teraz sięgał jej ledwo do połowy ud. Odetchnąłem, gdy zniknęła w korytarzyku na piętrze. Chryste, co mi uderzyło do łba?! Akurat w chwili gdy świat wokół zwariował! Uganiają się za mną jakieś bandziory, a ja?!

Na szczęście wróciła w tym samym szlafroku.

— Mam tu trochę nazwisk — rzekła, sadowiac się naprzeciwko. Starąłem się nie patrzeć w dół. — Na przykład Richard Boverick z Transportation Projects Ltd. z Manchesteru, odpowiedzialny za badania geologiczne odcinka lądowego strony angielskiej, Tom Townsend, szef Leyland Vehicles Ltd., stary przyjaciel ojca, kooperant TML, doktor Karen Martin z Muzeum Historii Naturalnej w Londynie... — Zaszeleściła kartkami. — No nie, Clive, to idiotyczne. Tu są dziesiątki nazwisk ludzi, do których pisałam. Clark z Muzeum Geologicznego, Derrick z Towarzystwa Geologicznego, Fither, Farther, Nilton, Norm, Norrison, Norton, Mondale, Wesker i tak dalej. Mam ci je wszystkie czytać? A kogo my właściwie szukamy?!

Tak, kogo my właściwie szukamy... Mondale, Wesker, Nilton — puste słowa, puste dźwięki, ludzie bez twarzy, bez życia...

— Szukamy człowieka — odrzekłem — który dysponuje wystarczająco dużymi funduszami, żeby nąjać kilku zawodowych morderców, i nie przebiera w środkach. Szukamy człowieka, który niedawno usiłował

zabić ciebie i mnie, a wczoraj z zimną krwią zamordował twój ojca. Problem polega na tym, że nie wiem, jak go odnaleźć. A ty wiesz?

Posłała mi na wygodnej sofie, w głębokiej niszy pod schodami. Sama położyła się na górze, w małej sypialence z tarasem. Powiedzieliśmy sobie „dobranoc” wiedząc, że po przeżyciach dnia ani dla niej, ani dla mnie nie będzie to dobra noc. Niemniej jednak zasnąłem szybko i dwie godziny spałem jak zabity. Obudził mnie jej szept. Boso, ostrożnie wyjrzałem zza schodów.

Alison Worster stała na progu kuchni i rozmawiała z kimś przez telefon. Mówiła mało i niewyraźnie, nie sposób było cokolwiek zrozumieć. Głównie słuchała, przyciskając słuchawkę do ucha, jakby w obawie, że nawet przez sen mogę coś wychwycić. Miała na sobie przezroczystą nocną koszulkę. Nad zlewem, w tle, paliła się długa jarzeniówka, która oświetlała jej ciało pod takim kątem, że zdawało się całkiem nagie. Ostre refleksy tak uwydatniały intrygujące cienie i tajemnicze zagłębienia, że do tej pory nie wiem, skąd wziąłem tyle silnej woli, aby oderwać od Alison oczy i wrócić do łóżka. Zasnąłem. Jak zwykle śniło mi się morze, plaża i zielone palmy.

Po raz drugi obudziłem się, nie wiedzieć czemu, około czwartej. Mimo brzasku hol tonął w mroku, gdyż zasłony były grube i szczelne; w kuchni jarzeniówka już się nie paliła.

Wychynałem zza schodów i spojrzałem w górę. Na boazerii dostrzegłem nikły odblask światła. Padalo z korytarzyka, gdzie mieściły się sypialnia Alison, łazienka i niewielki pokój do pracy. Usłyszałem stłumione dywanem kroki, jeden, drugi, później coś zleciało na podłogę. Cichy szmer głosów, czy mi się tylko zdawało? Po chwili, gdy prysnęły resztki sennego otumanięcia, nabrałem stuprocentowej pewności, że u Alison ktoś jest.

Obrzuciłem spojrzeniem drzwi holu. Zatrzaśnięte. Gdyby Alison je otwierała i zamykała, na pewno by mnie to wytrąciło ze snu. Przesłonięte kotarami okna też były zamknięte, a wzmocnione stalową blachą kuchenne drzwi nie ustąpiłyby nawet pod gąsienicami małego buldożera. Skoro Alison miała gości, którzy weszli? Jakoś się tu jednak dostali, najwyraźniej nie przozeni. Trudno takich nazwać gośćmi.

Ze stołu chwyciłem nóż, którym Alison kroila chleb. Leżał mi w dłoni doskonale, ważył sporo i nadawał się raczej do patroszenia tuczników niż do porcjowania pieczywa. Wbiegłem na górę i zacząłem się przy uchylonych drzwiach sypialni.

Dopadli ją w jej własnym domu, we własnym łóżku. Wdrapali się po rynnie. Zakładali widocznie, że jeżeli u niej będę, jedynym miejscem, gdzie należy mnie szukać, jest jej sypialnia. Dlatego pobieżnie sprawdzwszy piętorko, doszli do wniosku, że teren jest czysty i można z Alison swobodnie pogawędzić. Ten w butach z krokodylowej skórki, którego zaczynałem się bać, stał do mnie tyłem i palił cygaro. Jego pomagier — skąd, u diabła, ten facet miał tyłu ludzi?! — sie-

dział okrakiem na Alison i wciskał jej knebel w usta. Był niezmiernie chudy, miał końską twarz, krótkie, rude włosy i nerwowy tik lewego oka. Co rusz mrugał nim do Alison, jakby dawał jej jakieś umówione znaki. Nie podejrzewałem dziewczyny o takie znajomości. Martwiła mnie ich broń. Mężczyzna z cygarem trzymał pistolet, który miałem już przyjemność poznać. Końska Twarz też chyba nie stronił od pociągania za spust, bo z tylnej kieszeni jego spodni sterczała rękojeść solidnego rewolweru. Ja ścisnąłem w dłoni nóż. Duży, bo duży, ale nie na tyle, żebym stojąc w progu, mógł dźgnąć któregoś z nich. Pokonanie czterech, czterech i pół metra dzielących mnie od łóżka Alison zajmie kilka cennych sekund. Lepiej nie ryzykować.

— Daj jej czas, niech pomyśli... — mruknął facet w butach z krokodyla.

Cygaro zmieniło teraz właściciela. Miał je ten ze znerwicowanym okiem. Nie palił go jednak, tylko mrugając coraz intensywniej, to zbliżał żarzący się koniuszek do piersi Alison, to znów go odsuwał.

— No, wyciągnij knebel. Może będzie mówić — rzucił mój dobry znajomy z granatowego mercedesa.

Przy ścianie, na palcach dotarłem do sąsiednich drzwi. Przekręciłem gałkę i wśliznąłem się do środka, skąd było ledwie kilka kroków do sypialni Alison, do okna, którym weszli.

Alison krzyknęła.

Rozdział 12

Sobota, 17 lipca, godzina 4.15

Końska Twarz, mrugając z prędkością światła, zanosił się spazmatycznym śmiechem. Dopiero teraz zauważyłem, że Alison ma związane ręce.

— Krzycz, krzycz, nikt cię tutaj nie usłyszy, pan-no... Worster. — Czy powiesz nam wreszcie, gdzie jest ten pan, z którym odjechaliście bez pożegnania?

— Tutaj! — krzyknąłem, wskakując do sypialni.

Jednym ruchem zrzuciłem lampę z nocnego stolika. Roztrzaskała się na podłodze i zaległ półmrok. Niewiele widząc, rozczapierzonymi palcami sięgnąłem tam, gdzie spodziewałem się znaleźć kretyna z zepsutym okiem. Znalazłem. Chwyciłem za klapy zamszowej kurtki, uderzyłem głową w jego odkrytą twarz i pchnąłem na mężczyznę w butach z krokodyla. Ten, zaskoczony, chcąc się jak najszybciej uwolnić, upuścił pistolet, którego bym niechybnie dopadł, gdyby nie sznur rozbitej lampki. Zaplątałem się i rozciągnąłem jak długi obok nieprzytomnego chudzielca z końską głową. Musiałem w tym od mercedesa budzić nie lada respekt, bo gdy uniosłem głowę, w sypialni już go nie było. Z dołu dobiegł mnie trzask zamków.

Zapominając o Alison, runąłem na schody. Z holu zobaczyłem, jak cwałuje przez maleńki ogródek, trąjąc po drodze kępy rumianku. Przypomniał mi się zagon ziemniaków i pomyślałem sobie, że mamusia nie nauczyła go szacunku dla zieleni. Pognałem za nim. Wskoczył do zaparkowanego na ulicy volkswagena, uruchomił silnik i z piskiem opon ruszył przed siebie. Nie zatrzymałem się, nie zwolniłem, wiedziałem, że i tak zawróci, ponieważ Alison mieszkała w ślepych zaułku. Walił teraz wprost na trzy betonowe słupki, wpuszczone w asfalt.

Prowadził po mistrzowsku. Kilkadziesiąt metrów przed przeszkodą dodał gazu, hamulcem ręcznym zablokował tylne koła, szarpnął kierownicą, samochód, wytraciwszy minimalnie prędkość, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i pomknął z powrotem. Gdy rozpoczął ten niespodziewany manewr, niemal dotykałem bagażnika. Trzy sekundy później stałem już przed maską i nie było czasu na dumanie. Odbiłem się rękami od lewego reflektora, pchnięty impetem rozpełniającego się wozu zrobiłem w powietrzu śliczne salto, wylądowałem na dachu i spadłem z drugiej strony. A volkswagen zniknął za najbliższym zakretem.

Alison szarpała się na łożku. Usiadłem i rozplątałem nylonową linkę. Wyjąłem jej knebel z ust.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie powinienem był cię zostawić z tym tutaj.

Wskazałem chudzielca, który powoli wracał do ży-

cia. Potrząsnęła głową na znak, że wszystko w porządku.

— Tamten mi zwiął. Nic ci nie zrobili?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo Końska Twarz zamrugał okiem i mało przytomnie zaczął obmacywać rozbity nos. Klepnałem go w oba policzki. Klepnałem mocno, inaczej niż babcia — „ti-ti-ti, maleństwo”! — klepie ukochanego wnuczusia.

— Masz szansę — zagailem ciepło. — Jeśli powiesz, kto was wynajął, nie wyrzucę cię przez okno. Czy to ten facet w butach z krokodyłowej skóry? — Pokręcił niechętnie głową. — Więc kto? Mów, do cholery, bo zaduszę! — wrzasnąłem. — Nazwisko!

Poniosło mnie. Chwyciłem go za gardło, z jego zmaltretowanej krtani wydobył się niezrozumiały, chrapliwy dźwięk, coś w rodzaju „norrnchch...” pewnie bym go udusił, gdyby Alison nie oderwała mnie od niego, krzycząc:

— Zabijesz go, Clive! Zostaw!

Zostawiłem. Cisnąłem nim o podłogę, aż zadudniło i wtedy po raz pierwszy wtuliła się w moje ramiona drżąca i tak bezbronna, że zapomniałem i o jej nocnym telefonie, i o tej nędznej larwie pełzającej u moich stóp.

Zmroził mnie ponowny krzyk. Odruchowo zasłaniając Alison, spojrzałem w prawo i zrozumiałem, że nie zdążyć już nic zrobić. To szkieletowate indywiduum ten wynędzniały parszywiec stał za mną z kuchennym nożem Alison w garści. Uniósł go do ciosu, dostrzegłem jeszcze spazmatycznie drgającą powiekę i w tym momencie padł strzał. Chudzielec znieruchomiał

zamari z ręką w powietrzu, szeroko otworzył oczy i jak na zwolnionym filmie osunął się na dywan. Kuracja była skuteczna, szczęśliwiec wyzbył się nareszcie nerwowego tik.

— Pośpieszyłem się, doba jeszcze nie minęła, ale to chyba lepiej, co, Clive?

W drzwiach, z dobrotliwym uśmiechem na ustach, stał sobie jakby nigdy nic Bert Flaherty, jakbyśmy się kwadrans temu rozstali w barze, a on, zapomniawszy powiedzieć mi coś ważnego, najzwyczajniej w świecie wpadł dokończyć pogawędkę. Za nim czaił się René Sheridan, ten z kruchty kościoła na Regents Park Road. Ani u Flaherty'ego, ani u Sheridana nie zauważyłem broni. Obaj byli szybcy. Nie potrafiłem odgadnąć, który strzelał.

Flaherty wszedł do sypialni i oparł dłonie na fotelu.

— Pani pozwoli, że usiądę... — Skłonił się Alison. — Otóż, wyobraź sobie, Clive, chłopcy donieśli mi o twoich perypetiach. Łażą za tobą jacyś ludzie, ganiają cię po Londynie i po Cambridge, po jakichś lasach, polach... — Wyciągnął chusteczkę i otarł czoło. — Co się dzieje, Clive? Co to za ludzie? W co się, na Boga, wpakowałeś?

Alison patrzyła to na mnie, to na Flaherty'ego i nic z tego nie rozumiała. Posadziłem ją na łóżku i okryłem kocem.

— Znasz tych facetów, Bert? — spytałem.

Zerknął pogardliwie na chudzielca z dziurą w plecach.

— Skąd! Nie zrozum mnie źle, Clive, nie chcę wtykać nosa w twoje sprawy. Wiem, że sam sobie zna-

komicie umiesz radzić. Tylko widzisz, od czasu naszej wczorajszej rozmowy trochę się niepokoję. Nie przeżyłbym tego, żeby przez jakichś zakichanych chłystków nasz ewentualny układ trafił szlag. Dlatego na wszelki wypadek roztoczyłem nad tobą dyskretną opiekę. No, może niezbyt dyskretną, ale potrzebną, bardzo potrzebną! — Klepnął się po udach i nagle jego jowialność zniknęła bez śladu. — Zdecydowałeś się? — rzucił ostro.

— Tak — odparłem.

— Znakomicie, stary byku! — zawołał. — Więc znowu razem! Po dziesięciu latach znowu razem! Czy masz może szampana?

Ucieszył się tak bardzo i tak serdecznie, że z prawdziwym żalem sprowadziłem go na ziemię.

— Zdecydowałem się na nie, Bert. Przykro mi, ale od wczoraj nie zmieniłem zdania. Nic z tego, nie wchodzę z tobą w żaden układ.

Bert Flaherty miał już swoje lata i nie najsmuklejszą figurę. W tym momencie przypominał mi wielki arbuz, z którego nagle ktoś wyjadł cały miąższ. Flaherty zapadł się w sobie, wypuścił powietrze, zmalął, skurczył się w fotelu, a jego twarz zmieniała kolory w takim tempie, że każdy, najbardziej nawet doświadczony kameleon nabawiłby się przy nim silnych kompleksów.

Milczał długo i cholernie wyraziście. Wreszcie rzekł:

— Nie ukrywam, że jestem rozczarowany. — Rozłożył ręce, po czym złożył je jak do modlitwy. — Ale cóż, takie jest życie. Nie zawsze ma się to, co się chce.

prawda? Szkoda, Clive, ty i ja tworzylibyśmy znakomitą parę. — Westchnął i potoczył dookoła wzrokiem. — Pora na mnie. Zdejmuję swoich chłopców, stary. Od tej chwili martw się o siebie sam i nie daj się nikomu wykołować. Lubię cię, zawsze cię lubiłem, chociaż diabli wiedzą czemu. — Wstał i poprawił marynarkę. — Pozbądź się gdzieś tego tu... — Tracił nogą sztywniejącego chudzielca. — I życzę wesołego urlopu! Pojedź z panią — znów skłonił się Alison — gdzieś daleko... — Zmarszczył czoło. — Dwa lata temu byłem nad Loch Farraline. Coś wspaniałego! Ryby, dookoła las, pustkowie. Odpoczałem jak nigdy. Niedługo znów się tam wybieram. Pojedźcie nad Farraline, to dobra rada. No, René, idziemy. Co złego, to nie my, Clive. Żegnaj i zapomnij, żeśmy się spotkali. Do widzenia pani — rzekł i już ich nie było.

Dopiero kiedy wyszli, baczniej przyjrzałem się Alison. Włosy miała w nieładzie, rękaw jej nocnej koszuli wisiał na cienkiej nitce, dłoń przyciskała do piersi, tam, gdzie oparzyło ją cygaro. Siedziała na łóżku ze spojrzeniem utkwionym w zwłoki chudzielca. Domyśliłem się, że nie pozwoli się opatrzyć, dopóki trup nie zniknie z sypialni. Wyniosłem go do garażu i wrzuciłem do bagażnika. Rewolwer zachowałem.

— Boli? — spytałem po powrocie.

— Nie.

Wykrzywiła usta ni to w uśmiechu, ni w grymasie bólu.

— Wezwę lekarza.

— Bez przesady, to tylko lekkie oparzenie, Clive.

W apteczce w łazience znalazłem mocny środek nasenny.

— Weź to. — Dałem jej proszek i szklanę wody. — Chcesz pewnie wiedzieć, kto to był.

Wzruszyła ramionami.

— Nie — odparła. — Wizyty o czwartej nad ranem w mojej sypialni są czymś tak normalnym, że szkoda gadać. Szczególnie gdy składa ją dwóch mężczyzn, którzy przy okazji ukatrupiają trzeciego, który z kolei miał ukatrupić ciebie. Szarżyzna powszedniej nocy.

Opowiedziałem jej wtedy o sobie. Prawie wszystko. O tym, kim byłem lata temu, w jakim towarzystwie się obracałem i jak udało mi się z niego wyrwać. Opowiedziałem jej o kradzieżach, włamaniach i aferach, które swego czasu zajmowały pierwsze strony gazet. Nie przemilczałem znajomości z najbardziej poszukiwanymi przestępcami w kilku krajach świata i nie ukrywałem, że Flaherty jest jednym z nich. Siedziała zaskoczona, a mnie robiło się coraz lżej na duszy. Nawet Jane nigdy się tak nie spowiadałem.

Kiedy skończyłem, spytała:

— I nie wiesz, czego od ciebie chciał?

— Flaherty? Nie, na szczęście nie. I wcale nie jestem ciekaw.

— To jego prawdziwe nazwisko?

— Nie mam pojęcia, chyba tak. W każdym razie tego używał najczęściej. Dlaczego pytasz?

Z nocnego stolika wzięła swój notes z adresami długo go przeglądała.

— Może ojciec znał Flaherty'ego? Widzisz w tym jakiś sens? Ojciec i Flaherty?

— Rozważałem i ten wariant — odparłem — ale do niczego mądrego nie doszedłem. Znalazłaś coś?

Pokręciła głową, zamknęła notes, lecz po chwili znów go otworzyła, szybko przerzuciła kilkanaście kartek, przez moment wpatrywała się w jedną z nich, w końcu spytała:

— Pamiętasz, jak chwyciłeś tego chudego za gardło? Coś rząził. Nie przypominasz sobie, co?

— Nie. Po prostu krztusił się i kaszlał, raczej trudno mu było mówić.

— Wiem, ale mnie się wydaje, że zdołał z siebie wykrztusić coś na kształt nazwiska. Mało tego, to nazwisko jest tutaj, w notesie ojca.

— Czekaj, czekaj, nic nie mów, niech pomyślę...

Jak to brzmiało...? Nort... Nerth... Nie, do cholery, inaczej! Inaczej! Znałem to nazwisko! Znałem je! Znałem też człowieka, który je nosił!

— Norn! — zawołałem. — Norn! Zgadza się?

— Norn — potwierdziła. — Pracownik Muzeum Historii Naturalnej w Londynie, sekretarz Muzeum Geologicznego i ...

Nie dałem jej skończyć.

— Asystent Wingfielda-Digby'ego. Znam go. Giles Norn. Nudziarz, koszmarny nudziarz o wodnistych oczach. Alison, poszukaj w notesie nazwiska Wingfielda-Digby'ego. Nicholasa Wingfielda-Digby'ego.

Znalazła. A więc Norn... Giles Norn chce mnie zamordować? Zamordował Worstera? Dlaczego?! O co mu chodzi?!

— Alison, pamiętasz, w jakich sprawach korespon-

dował z nim twój ojciec? Czy tylko do siebie pisali, czy spotykali się? A może telefonowali?

— Jeśli mnie pamięć nie myli, chodziło wyłącznie o sprawy zawodowe — odrzekła. — Norn prowadzi z ramienia muzeum systematykę geologiczną bodaj południowych terenów Anglii. Czeka... Tak, południowej Anglii i Francji.

— I to wszystko? A jakieś prywatne listy?

— Takich nie pisałam. Chyba że ojciec, ale wątpię. Norn jest pionkiem, początkującym naukowcem. Ojciec traktował go raczej jak uczniaka, kogoś, kto wykonuje czysto mechaniczną pracę. Nie wymieniał z nim poglądów.

Zszedłem na dół i wykręciłem kierunkowy Londynu. Czwarta trzydzieści. Wingfield-Digby mnie przeklnie.

Odebrał względnie szybko i nader grzecznie.

— To... to pan?! — Głos, z którego błyskawicznie wywietrzył sen. I wyraźna nuta zdziwienia, zupełnie jakbym dzwonił z grobu. — O'Casey?!

— Dlaczegoż by nie? — zapytałem.

— No wie pan, pora jest trochę dziwna... Co się stało, chłopcze?

Przeprosiłem go za tę nieszczęsną porę, powiedziałem, skąd telefonuję, i w kilku słowach zdałem relację z tego, co wydarzyło się od czwartku. Słuchał cierpliwie i odezwał się dopiero wtedy, gdy doszedłem do śmierci profesora Worstera.

— Tak, tak, wiem, czytałem. To był wspaniały człowiek. Straszna strata dla nauki, chłopcze, straszna.

— Znał go pan?

— Czy go znałem? Jakże szef poważnej placówki mógłby nie znać jednego z największych autorytetów w geologii?

Potem opowiedziałem mu o Nornie i chyba zasnął przy aparacie, bo przeprosił mnie, żeby się czegoś napić, i długo nie wracał. Słyszałem, jak upadła i rozbiła się szklanka.

— Czy aby jesteś tego pewien? — spytał drżącym głosem. — To straszliwy zarzut. Owszem, Giles Norn prowadzi z mojego polecenia pewne analizy strukturalne, ale dlaczego miałby dybać na twoje życie i mordować biednego profesora Worstera? Czy widzisz tu jakiś racjonalny związek? I co ja mam teraz robić? Zawiadomić policję i powiedzieć, że mój asystent, Norn, to niepoczytalny maniak? Bez żadnych dowodów winy?

„Racjonalnego związku” między studiami Norna i śmiercią Worstera nie umiałem się dopatrzeć. Nie wiedziałem też, co powinien zrobić Wingfield-Digby. Poprosiłem go tylko, żeby do mojego powrotu nie zawiadamiał policji i w miarę możliwości normalnie traktował Norna. Jeszcze raz przeprosiłem za zakłócenie snu i odłożyłem słuchawkę.

Alison nie spała. Czekwała w sypialni, ale powieki miała jak z ołowiu.

— Co ty mi dałeś, Clive? — spytała. — Środek nasenny dla słonia?

— Musisz odpocząć, Alison, musisz zasnąć. Czy pojedziesz ze mną jutro do Londynu?

Mimo jej żartobliwych protestów ułożyłem ją wy-

godnie na łóżku i opatulilem kocem. Westchnęła cichutko, zamknęła oczy i szepnęła:

— Dobrze mi z tobą, Clive. Dostarczasz tyłu niezapomnianych wrażeń i jesteś przy tym taki troskliwy. Opowiedz mi coś na dobranoc...

Usiadłem na brzegu łóżka i utuliłem ją do snu. Mówiłem o wyspach Oceanu Indyjskiego, o plażach, palmach i ciszy. Głaskałem jej wspaniałe czarne włosy, śniade policzki i czoło. Zasnęła natychmiast. Wsunąłem się pod koc i trzymając ją mocno w ramionach, nie wiedzieć kiedy sam również zapadłem w sen. Tym razem śniło mi się jezioro, duże jezioro o stromych brzegach. I Jane, co było dziwne, bo Jane rzadko mi się śni.

Obudziłem się o szóstej. Głowa Alison spoczywała na mojej piersi. Całym sobą czułem słodki ciężar jej półnagięgo ciała. Pocałowałem ją we włosy, cicho wstałem i zszedłem do kuchni. Zadzwoiłem do Gorthlech House, do Jane. Telefon odebrał mężczyzna, którego głos wydał mi się znajomy. O szóstej rano w domu powinna być tylko i wyłącznie Jane. Bez słowa odłożyłem słuchawkę. Zrozumiałem, dlaczego Bert Flaherty dał się tak łatwo spławić, dlaczego nie usiłował mnie do niczego namawiać i co miał na myśli, sugerując urlop nad Loch Farraline. Flaherty nie zrezygnował, grał dalej i teraz nie przebierał w środkach. Norn musi poczekać.

Zadzwoiłem do British Air na Heathrow i spytałem o najbliższy lot do Glasgow. Zarezerwowałem miejsca. Dwa. Na wszelki wypadek.

Rozdział 13

Sobota, 17 lipca, godzina 14.00

Za Torness szosa A862 przecina bezkresne wrzosiwiska i łączy się z B851 prowadzącą do Strathnairn, a cztery kilometry dalej dociera do położonego w długiej dolinie jeziora, które swą nazwą i ukształtowaniem przysparza turystom sporo kłopotów. Dzieli się ono bowiem na dwa: południowe — Loch Garth i północne — Loch Mor. Bert Flaherty posłużył się w rozmowie ze mną starą, nazwą lokalną, używaną jedynie przez szkockich górali, której przewodniki nie odnotowują. Poniewczasie dotarło do mnie znaczenie jego słów. Nad Loch Mor lub, jak wołał Flaherty, nad Loch Farraline czekała na mnie Jane. Nie była już sama. Towarzyszyli jej ludzie Flaherty'ego i strzegli niczym zakładniczkę wartą sto pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów.

O dziwo, Alison zgodziła się na tę podróż bez chwili wahania. Nawet nie spytała, kim jest dla mnie Jane, co zdziwiło mnie jeszcze bardziej. Chciała tylko wiedzieć, czy to jej zdjęcie przechowuję w portfelu. Samolot wyleciał z Londynu o dziewiątej, godzinę później byliśmy w Glasgow, gdzie kupiłem kurtkę, liny, latarki, uprząż i po parze dobrych butów. O jedenastej z lot-

niska pod Glasgow małą, dziesięcioosobową awionetką po dwóch godzinach dotarliśmy do Invermoriston. Tu Alison wynajęła samochód, którym ruszyliśmy nad Loch Mor.

Południową część jeziora otaczają zagrody zwane Lochgarthside, przeważnie już opuszczone. Wcześniej mija się mały prezbiteriański kościół, za którym trzeba skręcić na zachód w wąską drogę wijącą się po stromej skarpie. Dwa kilometry dalej, na dużej skalnej półce wznosi się siedemnastowieczny Gorthlech House, który w roku 1746 miał ponoć odwiedzić książę Karol Edward. Tam zwykle spędzałem urlopy. Tam była Jane.

— Widzisz coś? — spytałem, gdy zatrzymaliśmy się kilkaset metrów od kamienistej drogi prowadzącej do Gorthlech House.

— To jedyna trasa? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie. Na początku siedemnastego wieku Gorthlech House był czymś w rodzaju mini-zamku warownego. Można się tam jeszcze dostać wysoką granią. Co ty na to?

Wpatrywałem się w dal. Tam, gdzie urwista skała przechodzi łagodnie w wąziutką półkę, dostrzegłem dwie maleńkie kropeczki. Kropeczki ruszały się, przemieszczały z jednej strony drogi na drugą, wracały i rozpoczynały wędrówkę od nowa.

— Nie wierzę w wędrujące kropeczki... — mruknąłem.

— Co mówisz?

— Że nie wierzę w wędrujące kropeczki. O tam, widzisz? — Pokazałem ręką. — Te dwa punkciki to lu-

dzie Flaherty'ego. Tędy się nie przedostaniemy. Zawracamy.

Droga opadała w dolinę, ku brzegom jeziora. Wrzynała się pętlami w pionową skałę, by w parafii Bole-skine, położonej na południowy wschód od Gorthlech House, zrównać się z taflą Loch Mor. Na skrzyżowaniu z szosą do Foyers skręciliśmy na północ, w las, gdzie trakt był wyboisty, ale niezwykle dla nas dogodny, prowadził bowiem bezpośrednio do celu naszej wyprawy, tam, gdzie Flaherty więził Jane.

Dojechaliśmy w kwadrans. Zaparkowałem w lesie.

— Jest jeszcze czas, Alison — powiedziałem. — Jeszcze możesz się wycofać i zaczekać na mnie w Bole-skine. Jeżeli nie wrócę za pięć, sześć godzin, zawiadomisz policję. Tak będzie najlepiej.

— Obiecałam, że ci pomogę — odparła. — I pomogę, mam swoje powody. Tyle że ryzyko jest potworne, sam wiesz.

Wiedziałem. Wiedziałem także, że tam, w górze, osiemdziesiąt metrów nad ziemią jest Jane.

Skrajem lasu podeszliśmy bliżej i wówczas zauważyłem na wodzie duży motorowy jacht, przycumowany do moła w połowie zasłoniętego gigantycznym wyrzusem skalnego masywu, na którym stał Gorthlech House.

— Spójrz tam, Alison... — szepnąłem.

U podnóża występu spacerował uzbrojony mężczyzna, niski, krępy i chyba śmiertelnie znudzony. W jednym ręku trzymał krótki trzydziestosześciostrzałowy F-4, w drugim kanapkę. Za paskiem jego spodni dostrzegłem walkie-talkie. Jadł i gapił się na jezioro,

gdzie akurat przepływała motorówka. Fale dotarły do brzegu, jacht zakołysał się leniwie. Facet nie był turystą podziwiającym widoki, o nie. Sprawiał raczej wrażenie takiego, co to najpierw pociąga za spust, a dopiero później zadaje pytania.

— Z tej odległości jestem bez szans — powiedziałem. — Z rewolweru nie trafię, z pistoletu też. A kiedy zacznę do niego iść, weźmie mnie na muszkę i zanim wyciągnę broń, podziurawi jak sito. Nawet gdybym szedł ze spluwą w dłoni, nie zrobię trzech kroków. Co proponujesz, Alison?

Rozpiąłem kurtkę i wsunąłem rewolwer za pasek, z tyłu spodni. Spojrzałem jeszcze na Alison i wyszedłem zza drzew. Starąłem się iść wolno, równym krokiem i broń Boże, nie zawadzić o jakiś kamień. Potknąłbym się, zatoczył, facet by się zdenerwował, wziął potknięcie za atak i wypruł do mnie pół magazynka.

Odłożył kanpkę na stopień pomostu i mocniej ujął karabin. Lufą celował prosto w mój brzuch. Wyobraziłem sobie, jaki efekt może dać seria dziewięćmili-metrowych ołowianych pocisków puszczona w miękkie ciało człowieka. Byłem coraz bliżej, dwadzieścia metrów, piętnaście, dziesięć... Kiedy podszedłem na pięć kroków, jego wydatne, mięsiste wargi wykrzywił cień uśmiechu.

— O'Casey! — zawołał.

Lufa F-4 ani drgnęła, nadal mierzyła tam, gdzie przedtem.

— Znamy się? — spytałem.

— Łapy do góry! — rzucił ochryple. — Bert nie spodziewał się ciebie tak szybko. — Sięgnął po walkie-

-talkie. — Kładź się twarzą na ziemi i rozsuj szeroko nogi.

Na co ona czeka do cholery?! Na co?! Jeśli facet zawiadomi kumpli pilnujących Jane, wszystko na nic! Alison! Alison, do diabła, zrób coś, nim będzie za późno! No! Teraz!

Usłyszeliśmy ją obaj. Wiedział, że ukradkiem nie da się przebiec spod lasu nad jezioro i że z miejsca, gdzie stał, zobaczy każdego, kto pokusi się o taki wyczyn. Zobaczy, unieszkodliwi i dopiero wtedy pomyśli, jak bezsensownie zareagował, bo tam, dokąd biegła Alison, nie było nic oprócz chłodnej wody i piasku, nic, co stanowiłoby dla niego jakiegokolwiek zagrożenie. Ja także wiedziałem, że Alison nie zdąży dopaść brzegu. Zresztą wcale nie musiała, wykonała swoje zadanie. Odwróciła jego uwagę i w momencie gdy lufa F-4 przesunęła się o kilka cali w lewo, byłem już przy nim.

Dostrzegł mnie kątem oka, błyskawicznie rozważył, które z nas — Alison czy ja — bardziej mu zagraża, i wybrał mnie. Wybrał ciut za późno, bo już przyłożyłem mu barkiem w żebra, chcąc pozbawić go oddechu i obalić na ziemię. Z takiego zderzenia powinien wyjść jak z wypadku samochodowego, ze zmiażdżoną klatką piersiową, tymczasem odrzuciło go tylko na metr, za to ja poczułem okropny ból w obojczyku. Facet nosił kuloodporną kamizelkę. Trafiłem w jej krawędź, zachwiałem się i wtedy mnie dopadł.

W wolnych chwilach trenował najpewniej zapasy, bo objął mnie wpół potężnymi ramionami, dźwignął i przycisnął do odzianej w stal piersi. Tkwiłem w jego uścisku jak w imadle, które, w co trudno uwierzyć, za-

częło z wolna zwierać swe szczęki. Szarpałem się, kopałem — znosił wszystko ze stoickim spokojem i w odpowiedzi na moje nędzne ataki ścisnął mnie jeszcze mocniej. Poczułem się nagle niczym zwierzę schwymane przez pytona, które za chwilę zdechnie z braku tchu. Lada moment pogruchoce mi kości. Naraz pochylił się i zaczął wyginać mój kręgosłup w niebezpieczny łuk. Gdy głowa bandziora znalazła się tuż pod moją brodą, nie zwlekając ani sekundy, wpiłem się zębami w jego lewe ucho. Poczułem, jak tną cienką chrząstkę, i usta momentalnie wypełniła mi ciepła, słodkawa krew.

Zaniósł się psim wyciem, puścił mnie, ale ja nie puściłem jego ucha. Najzwyczajniej w świecie mu je odgryzłem. Kręcił się w kółko niczym dziecinny bąk i przyciskał dłoń do rany. Stopą zawadził o leżący na ziemi karabin, chwycił go jak w amoku, odbezpieczył, lecz nim zdołał wymierzyć, rozległo się ciche tuf-tuf pistoletu Alison i facet upadł, barwiąc na czerwono miatki piasek Loch Mor.

Pomogłem Alison włożyć uprząż i sprawdziłem karabińczyki. Skinęła w milczeniu głową. Trzymały.

— Idź moim śladem — powiedziałem. — Stawiaj stopy dokładnie tam, gdzie ja. Nie bój się, tu jest dużo szczelin. Dasz sobie radę.

Wymacałem pierwszy chwyt dla dłoni i postawiłem nogę na wapiennej skale. Podciągnąłem się i przerzuciłem ciężar ciała na palce stóp, łokcie, kolana i brzuch trzymałem z dala od ściany. Pokusa, żeby w nią wni-

knąć, żeby ucześcić się jej wszystkim, co popadnie, nawet zębami, jest nieodparta i rośnie wraz z wysokością. Nie uległem, wolno i rozważnie piałem się w górę. Sześć metrów nad ziemią dwukrotnie pociągnąłem za linę. Nadszedł czas na Alison.

Ubezpieczałem ją na tyle, na ile starczało mi siły i umiejętności. Zaparłszy się o skałę, naprężyłem linę, by ułatwić Alison wspinaczkę. Posuwała się szlakiem, który starałem się znaczyć mocnymi uderzeniami butów, czasami rozglądała się niepewnie i wtedy wskazywałem najbliższą nierówność ściany. Szła i tylko to się liczyło.

Na wysokości czterdziestu metrów natrafiłem na półkę. Miała około trzydziestu centymetrów szerokości i była dość długa. Wdrapałem się na nią i zwróciłem twarz ku jezioru. Alison pięła się dzielnie w górę. Podziwiałem ją. Jednocześnie coraz bardziej mnie zastanawiała. Odważna czy nieroztropna? Wciągnąłem ją szybko i chwilę odpoczywaliśmy.

— No i jak? — spytałem. — Starczy ci sił?

Spojrzała na skraj urwiska, a później w dół, na Loch Mor.

— Wolę do góry — odparła. — Za nic nie zejść z powrotem.

Dwadzieścia metrów wyżej popełniłem błąd. Lina, którą dotąd utrzymywałem w naprężeniu, zanadto wysunęła się z karabińczyka i wyluzowała na metr. Nic by się nie stało, gdyby w tym samym momencie Alison nie pośliznęła się i jej stopy nie straciły kontaktu z podłożem. Krzyknęła głośno, na próżno szukając dłońmi oparcia, odpadła od ściany i osunęła się o ten

nieszczęsny metr zluźowanej liny. Poczulem mocne szarpnięcie w pasie i barkach, cudem utrzymałem równowagę i nie odwracając głowy, zawołałem ją. Odpowiedziała natychmiast. Chwilę potem lina drgnęła i lekko zwiotczała. Alison znalazła oparcie dla nóg.

Wspinaczka dłużyła się niemiłosiernie. Alison miała poranione ręce, mnie pot zalewał oczy, bo chociaż słońce chyliło się ku zachodowi, było ciepło i parno, wapieni buchał żarem. Kilka metrów w górę i odpoczynek. Znow w górę, następny odpoczynek — i tak na okrągło przez dwie godziny. O piątej dotarłem do miejsca, gdzie stromizna przechodziła w porośnięty żółtym mchem stok. Za nim, jeszcze niewidoczny, znajdował się cel naszej wyprawy — Gorthlech House.

Obejrzałem ręce Alison. Kości były całe. Myślałem że zasłaniając się przed uderzeniem o skały, wywichnęła sobie stawy w nadgarstkach lub łokciach. Za to wewnątrz jej dłoni były jedną krwawą raną. Kiedy osuwała się w dół, nerwowo próbowała przywrzeć do ściany, a szorstki wapieni jest jak pumeks. Nie zabrałem z samochodu opatrunków. Zdjąłem koszulę, rozewałem rękaw, powierzchownie oczyściłem skałecznia i zarządziłem długi odpoczynek. Odpoczywaliśmy do dziesiątej wieczorem.

Stok pokonaliśmy w kilka minut, bez pomocy rąk. Kiedy do szczytu zostało niewiele ponad metr, ułożyłem się wygodnie na mchu i ostrożnie uniosłem głowę. Piętnaście kroków przed nami majaczyła ciemność.

ściana Gorthlech House. Okna były zasłonięte ciężkimi kotarami, nie przepuszczającymi najmniejszego promyka światła. Przy barierce okalającej skraj wapiennej platformy nie dostrzegłem nikogo i pozazdrościłem kotom, które widzą w ciemności znacznie lepiej i chodzą ciszej niż człowiek. Do głównego wejścia w lewym skrzydle, z boku, prowadzą szerokie, strome schody. Nie widziałem ich. W dzień też bym ich nie zobaczył, bo zasłaniała je południowa baszta.

— Zostaniesz tutaj, Alison — szepnąłem. — A ja się trochę rozejrzę. Chcę wybadać, ilu ich tam jest.

— Ale... Ale co ja mam robić?!

— Nic, nie rób nic. W każdym razie nie rób żadnych głupstw. Jeżeli kogoś zauważysz, przywaruj i czekaj, aż sobie pójdzie. Jasne?

Z latarką w jednej ręce, z pistoletem wypożyczonym od faceta w butach z krokodyla w drugiej przesadziłem barierkę, przekradłem się do narożnika baszty i zerknąłem na schody. Nie były oświetlone. Wbijając oczy w mrok, usiłowałem wydedukować, ile też mogą mieć stopni. Dwadzieścia? Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia pięć siedemnastowiecznych, skrzypiących stopni, na których w zeszłym roku omal nie skręciłem karku. I drzwi. Otoczyli Jane czułą opieką, pilnują wjazdu, pewnie pilnują i drzwi. Pamiętałem, że otwierają się na zewnątrz i że jest tam podest, gdzie może stanąć dwóch, trzech ludzi bez narażania się na przypadkowe strącenie w dół.

Z pistoletem gotowym do strzału wszedłem na pierwszy stopień i chwyciłem się poręczy. Zacząłem iść, o dziwo, schody skrzypnęły tylko raz. Pochylony,

zastygłem w bezruchu, lecz na szczęście hałas nikogo z domu nie wywabił. Stopni było dziewiętnaście, mniej niż sądziłem. Zlany zimnym potem, dotarłem do podestu i delikatnie nacisnąłem kłamkę.

— To ty, Bill?

Flaherty wystawił czujkę tuż za drzwiami. Męski, niski głos i cicha muzyka w tle. Facet słuchał radia. Burknąłem coś półgębkiem, usłyszałem kroki, potem szcęk zdejmowanego łańcucha. Schowałem się za futrynę. Wąska smuga światła rozcięła mrok.

— Właż!

Otworzył drzwi szerzej, wysunął głowę i wtedy uderzyłem go ręką pistoletu. Warunki były wprost idealne, dlatego trafiłem bezbłędnie i nader skutecznie. Podtrzymałem bezwładne ciało, ostrożnie ułożyłem je na krawędzi podestu i zepchnąłem w ciemność. Dwa metry niżej rozległ się jękliwy łomot. A potem cisza, zakłócana tylko muzyką z radia.

Stałem w progu, oslepiony jasnym prostokątem światła. Z długiego korytarza nie padły strzały, nie odezwał się żaden głos. Wszedłem do środka, uchyliłem pierwsze drzwi z lewej i włączyłem latarkę. Puściłem. W następnym pokoju również. Skierowałem się do klatki schodowej południowej bazyli. Miękki chodnik zaprowadził mnie najpierw do okrągłej przybudówki, później, nie zatrzymywany przez nikogo, dotarłem do niskich, rzeźbionych drzwi, ukrytych w głębokiej wnęce. Za nimi powinna być sypialnia Jane.

— Jednak przyszedłeś, Clive! Witaj nam, witaj, stary byku!

Z sypialni buchnął potok ostrego, białego światła.

Światło zapaliło się również za mną, w przybudówce. Mrugałem nieprzytomnie, żeby czym prędzej ogarnąć sytuację, a kiedy ją ogarnąłem, okazała się wybitnie nieciekawa.

Przedemną siedział Bert Flaherty. Uśmiechał się jak człowiek zadowolony z siebie. Tuż za jego fotelem ujrzałem owego księcia z bajki, którego luksusowy Bentley rocznik 1990 uratował mnie, kiedy opuściłem zagon młodych ziemniaków; to on odebrał mój telefon z Cambridge. Za plecami usłyszałem głośne kroki. Dwóch drabów wlokło pod ręce szamoczącą się Alison. W jednym z nich rozpoznałem René Sheridan. Byliśmy prawie w komplecie. Brakowało jedynie Jane.

Obok mnie musiał stać ktoś jeszcze, bo nagle Flaherty, Alison, Sheridan i księżę z bajki zawirowali w bolesnym kołowrocie, podłoga wybiegła mi na twarde spotkanie, a jasność zastąpił gęsty mrok.

Rozdział 14

Niedziela, 18 lipca, godzina 8.00

Po raz pierwszy tej nocy obudził mnie chłód i tępy ból głowy. Byłem tak słaby, że nie potrafiłem się nawet zmusić do otwarcia oczu. Leżałem na brzuchu, policzkiem dotykałem czegoś zimnego i gładkiego, lekkie podmuchy wiatru łaskotały mnie w kark. Zapach. Czułem jakiś dziwny zapach. Najpierw nie potrafiłem go sobie z niczym konkretnym skojarzyć, potem doszedłem do wniosku, że tak pachnie syntetyczna żywica wymieszana z lakierem. Było jeszcze coś bardzo nietypowego, ale nim zdołałem skupić na tym czymś myśli, zapadłem w niespokojny sen. znów przyśniła mi się Jane, która przecież rzadko kiedy mi się śni.

Po raz drugi obudził mnie ptasi krzyk. Teraz oprzytomniałem i uniosłem powieki. Zobaczyłem wąskie szlifowane deseczki. To one tak przyjemnie pachniały. Odkryłem też, że bynajmniej nie znajduję się w idealnym bezruchu, wręcz przeciwnie. Mój znakomicie wykształcony zmysł równowagi mówił mi, że przemieszczam się wraz z podłożem. Z wysiłkiem podniosłem głowę i zrozumiałem.

Byłem na jachcie. Jacht kołysał się łagodnie na

drobnych falach jeziora i gdy spojrziałem na wysoką sterówkę, uzmysłowiłem sobie, że jest to ta sama łódź, którą wraz z Alison widzieliśmy u podnóża skalnego urwiska. Wtedy cumowała przy molo, teraz musiała chyba dryfować z wiatrem, bo ani nie słyszałem dudnienia silników, ani nie widziałem brzegu. Ponieważ wiało z północy, niewątpliwie płynęliśmy na południe, na szerokie wody Loch Mor. My?

Milimetr po milimetrze przesuwalem głowę, rejestrując każdy szczegół: małą trójzębną kotwicę na długiej linie, reling, a daleko za nim wschodni brzeg jeziora, dwa misternie ułożone zwoje lin, niski stopień sterówki, skrzydło otwartych drzwi i czarne, sportowe buty z charakterystycznym znakiem firmowym Pумы. Choć prawie nieruchomy, znieruchomiłem jeszcze bardziej. W butach tkwiły czyjeś stopy.

— Śpi?

— Tak. I długo się nie obudzi. Mamy czas.

— A ten kociak pod pokładem? Sprawdziłeś?

— W porządku, nie bój nic. Daj lepiej trochę czasu, bo za daleko nas zniosło. Radiostacja włączona? Pójdę pogadać z Bertem.

René Sheridan i książę z bajki. Flaherty'ego na pokładzie nie było, bo inaczej po jaką cholere René gadałby z nim przez radio? Jacht to nie tankowiec, wystarczy podejść i rozmówić się twarzą w twarz. Więc René, kierowca bentleya, kociak i ja. Kociak? Dobry Boże, pod pokładem tej krypy jest Jane! Nie zamknęli jej w Gorthlech House, trzymali tutaj, cały czas tutaj, podczas gdy Alison i ja dyndaliśmy na skałę jak para oglupiałych nietoperzy! Musieli nas obserwować z gó-

ry, pozwolili Alison zabić tego zapaśnika, a mi — dać w łeb czujce za drzwiami, potem zaś, kiedy znalazłem się w pułapce, unieszkodliwili mnie, przetransportowali na jacht, rzucili na pokład, postawili strażę, odbili od brzegu i są tak pewni siebie, że się nawet nie fatygowali, by związać mi ręce. I znów czekali, czekali na dalsze rozkazy Berta Flaherty'ego.

Kadłub łodzi przeszył gwałtowny dreszcz. Silnik zadudnił głucho, poczułem odór spalin, a potem ożywcze tchnienie wiatru, gdy rufa zamiotła wodę i lekko opadła. Dziób uniósł się nad fale, huk motoru zastąpił jednostajny pomruk i białe obłoczki na niebie zaczęły wolno zmieniać położenie. Zaryzykowałem jeszcze jedno krótkie spojrzenie na sterówkę.

Drzwi były nadal otwarte i za pulpitem ujrzałem mojego wybawcę spod Cambridge. Stał przy obrotowym stołku, na którym zwykle siada sternik, i manipulował przełącznikami. Na tablicy rozdzielczej raz po raz zapalały się kolorowe światełka, a on wciskał to ten, to tamten guzik i obracał małą kierownicą.

Nie wiedziałem, gdzie zniknął Sheridan, ale domyślałem się, że jest gdzieś niżej, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa właśnie tam powinna być radiostacja. Muszę wykorzystać szum silnika. Kiedy łódź znów zacznie dryfować i nastanie cisza, wychwyć ją najłżejszy szmer.

Oparłem ręce o pokład i wyprostowałem je. W głowie odezwał się promieniujący ból, przed oczyma zawirowały świetliste kręgi. Odczekałem moment, nie spuszczać wzroku z pleców sternika. Kiedy ból złągodniał i mogłem wreszcie widzieć normalnie, bez mi-

gotliwych ornamentów, wstałem i zrobiłem pierwszy krok. Potem drugi i trzeci, aż w końcu dobrnąłem do sterówki. Przyglnąłem plecami do ściany i odetchnąłem. Trzeba działać szybko, bardzo szybko, bo nie wiadomo, czy René, który właśnie rozmawia z Flahertym, nie zerknie przypadkiem w okno i nie zobaczy, że tam, gdzie leżał O'Casey, nie ma teraz nikogo. Ostrożnie zajrzałem do środka.

Książę z bajki pósiedział na stołku i spoglądał na jezioro. Pokonanie trzech metrów dzielących mnie od niego było kwestią ułamka sekundy. Rąbnąłem go pięścią w głowę, żałując, że nie dysponuję czymś twardszym, co przysporzyłoby mu takich samych radości, jakich ja zaznałem w Gorthlech House. Zwalił się na podłogę i zupełnie nieświadomy bożego świata, zawadził ręką o koło sterowe, które wykonało obrót o czterdzieści pięć stopni w lewo. Mimo że natychmiast je cofnąłem i zablokowałem, jacht zareagował jak koń, czuły na najlżejszy ruch wędzidla. Legł na wodzie, wzbijając w niebo fontanny piany, zaraz potem wyrównał, przechylił się lekko w prawo, znów wyrównał i odbiwszy się ciężko od własnej fali, płynął dalej.

Obszukałem nieprzytomnego sternika. Nie miał przy sobie broni, a przecież musiała gdzieś tu być — aż takimi idiotami chyba nie są! Nie zauważyłem jej ani na pulpicie, ani na półkach wokół sterówki, ani pod stolikiem nawigacyjnym. Dopiero przy oknie ujrzałem to, czego tak mi w tym momencie brakowało: dwa amerykańskie F-4. Taką samą broń miał świętej pamięci zapaśnik znad jeziora. Chwyciłem pierwszy z brzegu, odbezpieczyłem, wyszedłem na pokład i za-

czaiłem się pod aerodynamicznymi stabilizatorami, które — taką przynajmniej miałem nadzieję — osłaniały mnie przed wzrokiem René Sheridana. A nadzieja, jak mówią, jest matką głupich.

— Rzuć to, O'Casey! Rzuć i odwróć się! Zrób to wolno! Wolno!

René Sheridan stał za moimi plecami, tam, gdzie ja stałem chwilę przedtem. Nagły manewr jachtu wywabiał go z kabiny łączności. Okrążywszy sterówkę, zaskoczył mnie jak dziecko. Lufę F-4, która mierzyła w dal, w pustkę, w świetlisty zarys Gorthlech House na horyzoncie, miałem na wysokości pasa. A gdybym się tak błyskawicznie odwrócił, gdybym zdołał utrzymać jej położenie, jednocześnie uskakując w stronę barierek, serią trzydziestu sześciu kul przepołowiłbym Sheridana na dwie równe części. Gdybym, gdybym, gdybym... Gdybym tylko zaryzykował. Zaryzykowałem.

Zwrot w prawo przy akompaniamencie suchego trzasku krótkiej serii F-4, stukot kul uderzających o sterówkę, skok do relingu, zachwiane lądowanie, pół sekundy straty, żeby zlokalizować cel, i cześć. Już wiedziałem, że wszystko na nic.

Ujrzałem czarny otwór długiej, pękatej lufy, zakończonej u nasady wyrzuszonym siedmiokomorowym magazynkiem, i palec kurczowo zaciśnięty na spuście. Przez chwilę zdawało mi się, że w cylindrze lufy tkwi pocisk, i poczułem, że instynktownie napinam mięśnie klatki piersiowej, gdzie miał trafić. René Sheridan mierzył do mnie z nie lada armaty. Dzierzył w garści ni mniej, ni więcej tylko zmodernizowaną wersję amerykańskiego colta model 1911.

Nie patrzyłem na jego twarz, lecz wyłącznie na ten zaciskający się palec i gdy drgnął, uskokyłem z przesiadaniem, że nie uda mi się zejść z linii strzału. Rewolwer w dłoni Sheridana odbił w górę, z lufy bluznął różowy płomień. Fala dźwiękowa niosąca huk wystrzału i przeszło centymetrowej średnicy bryła ołowiu dotarły do mnie jednocześnie. W chwili gdy odrywałem nogi od pokładu, potężna siła uniosła mnie niczym piórko i pchnęła na reling. Bariierka wyhamowała impet upadku. Zaczepiłem o nią udami, przegiąłem się do tyłu i głową naprzód runąłem w spienione wody Loch Mor.

Nie czułem bólu, raczej paraliżujący bezwład. Brakło mi tchu, zupełnie jakby ktoś przemocą wycisnął z moich płuc cały zapas powietrza. Woda była mętnawo zielona, nie wiedziałem, gdzie góra, gdzie dół, kompletnie straciłem orientację i tylko dzięki przypadkowi, jednemu na milion, zahaczyłem dłonią o śmigającą koło mnie linę. Bardzo zachciało mi się żyć. Dlatego uchwyciłem się jej ze wszystkich, malejących z każdą sekundą sił i nie puszczałem, chociaż targała mną, omal nie wyrrywając mi ramienia. Obląkana podróż w częściowym zanurzeniu nie trwała długo. Lina wkrótce opadła, ja też.

Spojrzałem ku powierzchni i posługując się liną, rozpocząłem mozolną wspinaczkę. Z lewej strony klatki piersiowej odezwał się szarpiący ból, który szybko ogarniał całe ciało. Płuca umierały z braku tlenu, z wolna umierałem i ja, nie wiedząc, czy skończę już tutaj, pod wodą, czy na powierzchni, w blasku dnia.

Wynurzyłem się przy lewej burcie. Początek liny,

która uratowała mi życie, ginął gdzieś na pokładzie. Przypomniałem sobie wtedy dwa misternie ułożone zwoje opodał sterówki. Gwałtowny zwrot łodzi, spowodowany ruchem ręki nieprzytomnego sternika, musiał zrzucić jeden z nich. Lina o coś zaczepiła lub była przytwierdzona do pokładu i tak manewr jachtu, który przed minutą omal mnie nie zabił, teraz uratował mi życie.

Zacisnąłem zęby, sięgnąłem najwyżej, jak tylko mogłem, i ślizgając się po mokrym poszyciu kadłuba, podciągnąłem się. Piers eksplodowała mi rozrywającym bólem, na dłoniach ujrzałem krew, lecz wspinałem się wyżej i wyżej, aż w końcu uchwyciłem listwę nadburcia, oparłem na niej łokieć i resztkami sił wgramoliłem się na pokład.

Leżąc, wymacałem palcami brzegi rany. Pocisk trafił w żebro, zrykoszetował i rozdarł mięśnie na długości dziesięciu, dwunastu centymetrów. Trochę wyżej i byłoby po mnie. Żebro miałem złamane albo pęknięte, rwało jak wszyscy diabli i z trudem czołgałem się ku sterówce. Książe spod Cambridge najwyraźniej nie wyciągnąwszy wniosków z lekcji, jaką niedawno mu dałem, stał na rufie bez broni i wypatrywał moich zwłok. Pełzłem tam, bo René Sheridan był w kabinie łączności i coś wrzeszczał, a ja przy oknie sterówki spodziewałem się znaleźć drugi egzemplarz F-4. Pierwszy spoczywał na dnie Loch Mor.

Żółtawy pokład zdawał się tak gigantyczny, że poczułem się niczym ranna mrówka na blacie stołu, której rozkazano szybko dobiec do krawędzi. Czołgałem się niezdarnie i wolno, modliłem się, żeby księciu spod

Cambridge nie wpadło nagle do głowy zrobić w tył zwrot. Dwadzieścia sekund, jeszcze dziesięć, dobry Boże daj mi te cholerne dziesięć sekund! I znów dobry Bóg mnie wysłuchał, i znów był, jak to Bóg, po aptekarsku dokładny.

W momencie gdy uchwyciłem rękojeść karabinu, książę powziął widać jakąś decyzję, bo cofnął się o krok, odwrócił i ruszył w stronę otwartych drzwi sterówki. Nie widział mnie jeszcze, szedł pod słońce, lecz zaraz stanął, jakby wmurowało go w ziemię. Spojrzałem tam, gdzie patrzył. Krew, zauważył mój krwawy trop i niczym dobrze wytresowany pies myśliwski zastygł w bezruchu. Później powiódł oczyma wzdłuż śladów, zobaczył mnie, szybko sięgnął do kieszeni spodni i wyłuskał mały rewolwer.

— Idź do piekła, książę... — szepnąłem, pociągając za spust.

Trzymałem broń na biodrze. Osłabiony, nie opanowałem odrzutu, lufa skoczyła zbyt mocno do góry i seria dwudziestu pocisków rozplatała go od brzucha po szyję. Rzuciło nim o reling, który zatrzymał drgające ciało, i książę z bajki dożył swych ostatnich chwil, tańcząc na pachnącym pokładzie koszmarny taniec śmierci.

Huk wystrzałów był ogłuszający. Wyszedłem na zewnątrz, spojrzałem w górę i zobaczyłem Sheridana. Stał na dachu sterówki. Kiedy nasze oczy spotkały się, w jego wzroku wyczytałem determinację i zawziętość. Strzelił raz, potem drugi, ale spudłował, bo wiedziony instynktem, cofnąłem się do kabiny i skierowałem lufę F-4 w sufit. Wyprułem pół magazynka, zapominając,

że to druga połowa. Krzykowi Sheridana zawtórował suchy trzask iglicy uderzającej w opornik i metaliczny stukot na pochyłym dachu. Sekundę później na pokład spadł jego rewolwer. Odbił się od desek i zatrzymał przy zwłokach na rufie. Ruszyłem tam w przekonaniu, że Sheridan, jeśli w ogóle żyje, nie będzie w stanie mnie uprzedzić, ale nader szybko przyszło mi zmienić to przekonanie.

Gdy tylko zrobiłem pierwszy krok, zeskoczył z dachu sterówki i stracił równowagę. Zerwał się niezgrabnie i wówczas spostrzegłem, że jest ranny w prawą dłoń i łokieć. Podniósł colta lewą ręką; zmagał się z nim w bezsilnej wściekłości, aż w końcu odwiódł kurek.

Nie miałem siły, by zrobić coś więcej niż paść na pokład. Runąłem tam, gdzie nieprzytomny spędziłem noc, i wtedy strzelił. Skoncentrowany wyłącznie na utrzymaniu broni, nie mógł trafić. Pocisk uderzył z jękiem w trzon trójzębnej kotwicy metr za mną, odbił się, zafurkotał w powietrzu i przestał być groźny. Nie miałem jednak żadnych gwarancji, czy następny nie uderzy metr bliżej. Wyciągnąłem ramiona, chwyciłem kotwicę, ukląknęłem i cisnąłem nią w Sheridana.

Jeden z jej stalowych, ostro zakończonych zębów wbił mu się aż po nasadę w brzuch. Sheridan zgął się wpół, nie wydając z siebie nawet jęku. Odrzuciło go ode mnie na dwa kroki, ale utrzymał się na nogach i patrzył teraz na swój brzuch i sterczące zeń żelastwo. Chwilę potem zaskowyczał jak zwierzę i nagle zaczął wolno podnosić rewolwer. Spojrzał na mnie oszalałymi z bólu oczyma, a gdy nadludzkim wysiłkiem naprowa-

dził luźną na cel, szarpnąłem kotwiczną linę, której koniec nadal nieświadomie trzymałem w dłoni.

Odwróciłem głowę, by nie widzieć, co dzieje się z ciałem Sheridana. Usłyszałem tylko, że zwałił się na pokład i tarzał po nim, czułem, jak sznur drga w mojej dłoni, napręża się i luzuje. Krzyk ucichł, przeszedł w jęk, a kiedy i jęk ustał, straciłem przytomność.

Z nieświadomości wyrwało mnie odległe skrzeczenie radiostacji. Leżałem w kałuży zakrzepłej krwi. Wolałem nie wiedzieć, czy to moja krew, czy Sheridana. Podniosłem głowę i omiotłem spojrzeniem pokład.

Jacht dryfował rufą na zachód. Wysoko na niebie śpiewały ptaki, fale z cicha uderzały o kadłub łodzi. Na czworakach ominałem trupa przy relingu i rozdarte zwłoki koło sterówki. Byłem wycieńczony, słaby jak niemowlę. Wielokrotnie odpoczywałem. Po dziesięciu minutach udało mi się dotrzeć na dziób i otworzyć luk. Drabinką zszedłem do Jane.

Leżała w ciemnościach na koi, przykryta grubym pledem.

— Jane! — zawołałem. — Jane! To ja!

Poruszyła się w mroku, odrzuciła pled i z trudem usiadła. Poświata sącząca się przez zamknięty bulaj ogarnęła jej twarz. To nie była twarz Jane.

Wyszliśmy na powietrze, staniając się i obejmując jak ludzie schorowani. Teraz nie miałem wyboru, musiałem ulec. Flaherty wygrał.

Alison zadrżała i przywarła do mnie całym ciałem. Poglaskałem ją po włosach i spojrzałem na brzeg Loch

Mor. Na skalistym urwisku, zalany lipcowym słońcem, stał Gorthlech House.

— Tak mi przykro, że cię rozczarowałam, Clive — szepnęła cicho. — Nie wiem, kim jest dla ciebie ta kobieta. Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Wiem tylko, że musisz ją strasznie kochać.

Przytuliłem Alison mocniej.

— A czy ty nie kochałabyś własnej córki? — zapytałem.

Rozdział 15

Niedziela, 18 lipca, godzina 21.00

Spałem od dziesiątej rano do ósmej wieczorem. Lekarz sprowadzony z St. Augustin zaszył moją ranę, opatrzył Alison i za pięćset funtów, które odliczył mu Flaherty, natychmiast zapomniał o całej sprawie. Za pięćset funtów Szkot gotów jest zapomnieć, jak się nazywa.

Zanim zwałem się na stare dębowe łoże z baldachimem, zażądałem rozmowy z Jane. Chciałem wiedzieć, czy żyje. Flaherty podszedł do telefonu, krótko do kogoś zagadał i podał mi słuchawkę. Jane miała się dobrze. Tyle tylko zdążyła powiedzieć i połączenie zostało przerwane. Zażądałem także, by Alison traktowano tak jak mnie, inaczej nie kiwnę palcem w bucie. Flaherty udał oburzenie i stwierdził, że to oczywiste. Zaraz potem zjawił się lekarz. Kiedy sobie poszedł, wziąłem prysznic, zawinałem się w czarne, aksamitnie delikatne prześcieradło i usnąłem snem dziewiętnastowiecznego brukarza. Jak zwykle śniło mi się morze, plaża i palmy.

Bert Flaherty poklepał mnie po plecach, aż zadudniło.

— Ciągłe w formie, stary byku! Jesteś ciągle w takiej samej formie jak przed laty, Clive! — powiedział wylewnie, a później wyprostował palec wskazujący i unióś go na wysokość nosa w geście dobrotliwej nagany. — Zlikwidowałeś moich dwóch najlepszych ludzi, tak się nie robi. Ale — rozłożył ręce i znów je złożył, przywdziewając na powrót maskę jowialności — słusznie im się należało! Zapomnieli, głupcy, z kim mają do czynienia, prawda, stary byku?

Huknął mnie w plecy. Zaprotestowały z głuchym jękiem.

Kolacja w Gorthlech House była wystawna, w stylu Flaherty'ego. Zawsze lubił takie życie i takie prowadził, odkąd tylko sięgałem pamięcią. Kiedyś miał trzymiesięczny abonament gwarantujący mu pięć luksusowych apartamentów w Waldorf Astorii po dwa i pół tysiąca dolarów za dobę. Trzymano je dla niego, chociaż rzadko bywał w Nowym Jorku. Co roku rezerwował na dwa miesiące Apartament Królewski w londyńskim Claridge'u, po tysiąc dwieście pięćdziesiąt funtów za noc, gdzie zjawiał się ledwie dwa, trzy razy, żeby wypić w doborowym towarzystwie szampana Krug Privée Cuve rocznik 1964 i zniknąć. Ale rachunki rzetelnie płacił. Tak żył kiedyś. Później stał się postrachem Europy i musiał zejść do podziemia, lecz gusta mu się nie odmieniły. Na przystawkę pod zamrożoną wódkę zaserwowano nam sałatkę z hiszpań-

skich krewetek i kawior z lodu, potem ostrą, hiszpańską gazpacho, średnio wysmażony befsztyk z polędwicy, a do tego znakomite Mouton Cadet. Camembert frappé zapijaliśmy winem Port Taylor rocznik 1959. Do truskawek i lodów podano likier, do kawy i hawańskich cygar porto i koniak.

— To co, możemy porozmawiać, Clive? — spytał Flaherty.

Odstawiłem kieliszek i zerknąłem na Alison. Siedziała koło mnie, obok pustego krzesła, i odruchowo poprawiała fryzurę.

— Ja nie mam ci nic do powiedzenia — odparłem.

— To ty chcesz ze mną rozmawiać.

Kiedy Flaherty rozprawiał o interesach, zmieniał się nie do poznania. Z jowialnego gaduły ulatywały gdzieś jowialność i gadulstwo, ich miejsce zajmowały oszczędność słowa i ascetyzm gestów. Mówił tak, jak wydaje się rozkazy w wojsku. Ruchem głowy wyprosił z jadalni pięciu ludzi z obstawy. Wstała i Alison, lecz nie pozwoliłem jej wyjść. Flaherty nie protestował.

— Obietnicy dotrzymuję — powiedział. — Daję ci czterdzieści procent udziału, czyli sześćdziesiąt milionów funtów. — Alison zeszywniała. — Szczegóły zgramy później. Teraz sedno: przechwycimy — Flaherty nigdy by nie użył słowa „ukradniemy” — Budęc z Wysp Świętego Patryka. To statuetka z jednej bryły szmaragdu. Waży coś około jedenastu kilogramów i jest warta sto pięćdziesiąt milionów funtów. Co ty na to?

— Kto to kupi? — spytałem.

— Jest klient, który zapłaci gotówką. Transakcję za-

łatwimy następnego dnia po skoku, dwudziestego drugiego lipca rano. W południe do Banko do Minas Gieras w Rio de Janeiro wpłynie na twoje konto sześćdziesiąt milionów funtów. Tak, od dwóch dni masz tam konto. Możesz zadzwonić i sprawdzić.

— Nie zapominaj, Bert, że w Gorthlech House to ja opłacam w tym miesiącu rachunki. Wierzę ci na słowo. Dwudziestego drugiego lipca? W czwartek? Do środy zostało niewiele czasu.

— Robota musi być wykonana w środę. Musi, rozumiesz? Nie zrobimy tego w środę, nie zrobimy nigdy.

— Gdzie jest ten Budda? Na Wyspach Świętego Patryka? W skarbcu królewskim w Tower? A może w Fort Knox?

— Nie, w Muzeum Historii Naturalnej przy Cromwell Road, w Londynie.

Coś w moim mózgu drgnęło, jakaś długo uśpiona myśl budziła się z letargu. Przecież byłem w Muzeum Historii Naturalnej nie dalej jak w piątek. Spotkałem tam tych dwóch facetów w windzie, którzy przesłali mi ukłony od Flaherty'ego, tam utknąłem na kilka godzin ze stetryczałym Connorsem, tam wreszcie dowiedziałem się, kim jest Kirk Worster! Czyżby jednak Flaherty znał Worstera? Czyżby łączyły go z nim jakieś machlojki? Ale jak w takim razie wytłumaczyć fakt, że to nie ludzie Flaherty'ego zamordowali profesora i że to nie oni chcieli zamordować mnie? To przecież robota Norna, Gilesa Norna, nie Flaherty'ego. Ale, na Boga, Giles Norn jest sekretarzem Muzeum Historii Naturalnej przy Cromwell Road!

Flaherty przyglądał mi się w skupieniu.

— Domyśliłeś się?

Znał mnie, szczywany lis, dobrze mnie znał, a mimo to egzaminował na każdym kroku.

Skinąłem głową.

— Kto? — zapytał krótko.

— Norn — odparłem.

— Nikt ci nie dorówna, Clive — szepnął z nieukrywaną satysfakcją. — Pomyślałem sobie, że jak tylko wspomnę o tym posążku, od razu wydedukujesz, kto za tym stoi. Timothy, szampana! — zawołał w stronę drzwi. — Najlepszego, jakiego znajdziesz!

Chciałem mu powiedzieć, że cały ten układ jest chory, absolutnie zwariowany, że skoro Flaherty pracuje dla Norna, skoro Flaherty porwał moją córkę, żebym ja też dla Norna pracował, to coś tu nie pasuje! Flaherty angażuje mnie na siłę w imieniu Norna, a Norn robi wszystko, żeby jak najskuteczniej mu w tym przeszkodzić?! Miałem właśnie o tym powiedzieć, ale gdy zażądał szampana, otworzyły się drzwi, wszedł jeden z ludzi Flaherty'ego, naszeptał mu coś do ucha i Bert uśmiechnął się szeroko.

— On nawet nie wie, że na niego czekamy! — rzucił wesoło i skinął na człowieka z obstawy. — Poproś tu chłopców. Przywitamy pana Norna ze wszystkimi szykanami. Zrobimy mu niespodziankę.

I rzeczywiście, Norn prędej się chyba spodziewał ujrzeć w jadalni Berta Flaherty'ego w towarzystwie prezydenta Busha niż w moim. Wszedł szybkim krokiem, zmrużył szkliste oczy i nagle, kilka metrów od stołu, przy którym siedzieliśmy, jakby się zderzył z

niewidzialnym murem. Wyrzucił przed siebie ręce, rozczapierzonymi palcami oparł się o powietrze i znieruchomiał z na w pół otwartymi ustami.

Gdy Flaherty wstał od stołu i zaczął coś mówić, za plecami Norna pojawił się człowiek, który musiał mnie nienawidzić w takim samym stopniu, jak ja jego: kierowca granatowego mercedesa, mężczyzna w butach z krokodylowej skóry. Był z nim Gerd, ten biedaczyna astmatyk. Niechybnie wydobrażał po eksploracji piwnicy Worstera w Cambridge i toczył swe opaste cielsko dziarsko dotrzymując kroku szefowi.

Reakcja faceta w butach z krokodyla była natychmiastowa i nie tyle przemyślana, ile wyćwiczona. Pies Pawłowa ślinił się, gdy uderzenie prądu obiecywało mu żarcie, a bodźcem, który tego typka skłaniał do sięgnięcia po broń, byłem ja. Nie wiem tylko, czy się przy tym ślinił. Gruby astmatyk, zapatrzony najwidoczniej w mistrza, od razu poszedł w jego ślady, nie bardzo jednak rozumiejąc, do kogo i dlaczego ma strzelać. Nieoczekiwanie sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej, bo pięciu ludzi z obstawy Flaherty'ego poczytało gest gościa za jawny atak na człowieka, który płacił im ciężkie pieniądze za ochronę, i na nic się nie oglądając, także wyciągnęło broń. Mężczyzna w krokodylowych butach, nie znalazłszy poparcia u skamieniałego Norna, stracił orientację i zamiast strzelać do mnie, skierował rewolwer na ludzi Flaherty'ego, bo ich reakcję uznał za przejaw zamierzonej agresji wobec Norna. Wszystko odbywało się w niemal zupełnej ciszy. Flaherty nagle zaniemówił i wytrzeszczonymi oczami gapił się raz na jednych, raz na drugich; astma-

tyk tylko oddychał nerwowo, z urywanym poświstem.

Alison i ja siedzieliśmy nieporuszeni. W mojej głowie wolno, lecz wyraźnie zarysował się cały scenariusz tego *qui pro quo*.

— Dosyć! Schowajcie to! — Pierwszy otrzeźwiał Giles Norn. — Natychmiast! — Facet w butach z krokodylowej skóry i astmatyk wykonali rozkaz. Obstawa Flaherty'ego nieufnie opuściła broń. — Co tu się dzieje, panie Flaherty?! Co tutaj robi O'Casey?! Czy pan zwariował?! Czy pan wie, kim on jest?! — krzyczał, wskazując mnie palcem. — Umówiliśmy się, że to ja odpowiadam za bezpieczeństwo przedsięwzięcia, a pan tymczasem wydaje kolację dla szefa CSB?! Dla człowieka, który zna nasze plany?!

We Flaherty'ego jakby piorun strzelił. Ocknął się z chwilowej niemocy i szybko doszedł do siebie.

— Zamknij się pan, panie Norn! — wrzasnął. — O'Casey tu jest, bo ja tak chcę! Wykonanie planu to moja działka, a jak to zrobię, nie pańska rzecz, rozumiano?! Dlaczego więc, do ciężkiej cholery, robi pan przedstawienie, co?!

— Co mu pan powiedział, Flaherty? Konkretnie — nie ustępował Norn.

— Jak to, co? To, że przechwytyjemy Buddę, do diabła! A co niby miałem mu powiedzieć?!

Norn nie tracił rezonu. Podeszedł do mnie i wyciągnął rękę.

— List od Worstera — rzucił krótko.

Podąłem mu zmiętoszony, jeszcze mokry papier. Byłem pewien, że go zażąda. Czytał szybko, z jego twarzy zniknęło napięcie. Wtedy nie rozumiałem, dlaczego.

— A co było w liście do mnie, panie Norn? — zapytałem.

— O czym wy mówicie?! — Flaherty ruszył w moją stronę i zaraz przystanął. — Jaki Worster? Jaki list? Czy ktoś mi wreszcie wytłumaczy, o co tu chodzi?! — krzyknął.

— Nie denerwuj się, Bert — powiedziałem. — To tylko i wyłącznie wasza wina, twoja i Norna. Gdybyście lepiej zgrali całą akcję, kilku ludzi zachowałoby życie, a ja czułbym się teraz dużo lepiej. Pozwól, że ci wyjaśnię. Otóż obecny tu pan Norn, sekretarz Muzeum Geologicznego w Londynie, wynajął cię do skoku. Masz ukraść Buddę, tak? Rozumiem, że podzieliliście się rolami. Norn miał czuwać nad bezpieczeństwem akcji i usuwać wszelkie przeszkody, a ty wzięłaś na siebie zadanie najważniejsze, to znaczy opracowanie dokładnej strategii działania. Znam cię, Flaherty. Zakładam, że kazałeś Nornowi pilnować własnego nosa i nie wtykać go w twoją działkę. Nie poinformowałeś go o szczegółach swojego planu i nie interesowało cię, jak on daje sobie radę. Prosta sprawa, jeśli Nornowi powinno się gdzieś noga, zwijasz interes i niech się Norn martwi dalej sam. Ty i tak jesteś wygrany, bo pewnie masz już w kieszeni pięćdziesiąt procent honorarium. Nie kontaktowaliście się, więc Norn nie mógł wiedzieć, że twój plan runie bez niejakiego Clive'a O'Caseya. Ty z kolei nie mogłeś wiedzieć, bo to cię zupełnie nie obchodziło, że Clive O'Casey zabawiał się ostatnio w lisa, na którego polowali goryle Norna. Jasne?

Do Flaherty'ego zaczęło w końcu coś docierać.

— To pańscy ludzie uganiali się za nim po Londynie? — zapytał Norna. — Ale dlaczego? I co ma z tym wspólnego list tego... no, jak mu tam...

— Worstera — podpowiedziałem.

— Właśnie, Worstera.

— Dokładnie nie wiem — odparłem, bo Norn nie kwapił się z odpowiedzią. — Przypuszczam, że profesor Worster miał jakiś związek z planami Norna, w każdym razie coś o nich wiedział. Długo się wahał, ale zwyciężyła uczciwość i postanowił zawiadomić o wszystkim szefa brygad antyterrorystycznych CSB, czyli mnie, jak słusznie zauważył pan Norn. Żeby się zupełnie rozgrzeszyć; a przy okazji zemścić na człowieku, który spędzał mu sen z powiek, napisał do Norna, uprzedzając go, że ja też znam wasze plany. Sęk w tym, że profesor pomylił koperty. Norn otrzymał list do mnie, ja do Norna i stąd zabawa w lisa. Więc co mi napisał profesor Worster, panie Norn? Teraz możemy już chyba rozmawiać szczerze. A może jeszcze nie?

Giles Norn rzucił szybkie spojrzenie na Flaherty'ego. Odniosłem wrażenie, że chce go o coś zapytać, upewnić się co do czegoś, i Flaherty, pojawiwszy nieme pytanie, leciutko pokręcił głową.

— Przecież pan wie — odparł niechętnie. — Worster ostrzegwał, że Flaherty i ja zamierzamy ukraść ten posążek, to oczywiste. I niech mi pan oszczędzi pytania, dlaczego musieliśmy zlikwidować staruszka.

— Właśnie — podchwyciłem — dlaczego musieliście go zlikwidować?

— Czy pan jest zawsze taki dociekliwy? — Norn

nie ukrywał zdenerwowania. — Sam pan już sobie odpowiedział. Worster chciał nas sygnąć. Nie mogłem dopuścić, żeby się z panem skontaktował, to chyba jasne, co? Dlatego zginął. Wysłał te swoje listy z Londynu w czwartek po południu i już wieczorem wiedziałem, że sypie. Chciałem natychmiast usunąć was obu, ale w Londynie Worster był nieuchwytny. Znaleźliśmy za to pana. Cóż, przyznaję, fatalny zbieg okoliczności. A Worstera udało się nam zlokalizować w Cambridge dopiero w piątek po południu.

— Tak, zgadza się, zamordowaliście go około osiemnastej. Szukaliście też kopii listu, który do mnie wysłał, ale bez skutku, prawda? I jeszcze jedno: kim jest Alison? Ta z listu Worstera.

Norn spojrzał wściekle na Alison, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że się co do niej nie mylę. Zagryzł wargi i mruknął:

— Teraz to już bez znaczenia. Najważniejsze, że jest pan z nami. Panie Flaherty — zwrócił się do Berta — czy rozmawialiście o szczegółach akcji? Czy pan już wie, O'Casey — spojrzał na mnie — dlaczego jest nam pan niezbędny?

— O szczegółach nie rozmawialiśmy, ale nie jestem idiotą i umiem myśleć. Gdyby chodziło wam tylko o jeszcze jednego zabijakę, czy nawet dobrego fachowca, Flaherty nie poprosiłby mnie. Wiedziałeś, Bert, że dziesięć lat temu wypadłem z obiegu i że teraz ufać mi raczej nie można. Nie ma ludzi niezastąpionych, masz ich, jak widać, na pęczki. Ale ty chciałeś akurat mnie i tylko mnie. Chciałeś mnie zwerbować tak bardzo, że wprowadziłeś mi córkę. — Norn zdrętwiał. — Dlaczego

go? To proste. Pracuję w TML, w CSB. Wniosek? Chcecie dokonać kradzieży tam, gdzie mam coś do powiedzenia, w tunelu. Zgadłem?

Flaherty skinął głową. Norn nadal milczał i przypatrywał mi się z uwagą.

— Mało tego — ciągnąłem — moja inteligencja podpowiada mi coś jeszcze. Skoro wasz Budda ma zniknąć w tunelu, musi podróżować pociągiem. Skoro będzie podróżował pociągiem, musi wykupić bilet. A dokąd może wykupić bilet ekspozat Muzeum Historii Naturalnej wart sto pięćdziesiąt milionów funtów? Do Europy, to pewne, a ponieważ stolicą sztuki położoną najbliżej Londynu jest Paryż, zakładam, że Budda udaje się na wystawę do Luwru. No, może do innego muzeum, choć wątpię. Ale przecież nie sam, prawda? Bogowie wymagają godnej asysty. Kto może go eskortować, jak nie sam kustosz? Ponieważ pan Norn jest przypadkiem asystentem kustosza Muzeum Historii Naturalnej, w którym Budda mieszka na stałe, i ponieważ tak się składa, że ja również znam tego kustosza, wnoszę, że chcecie ograbić pana Wingfielda-Digby'ego.

Bert Flaherty zrobił to, co zwykł był robić w takich momentach: rozłożył ręce i złożył je ponownie, jak do modlitwy.

— Nikt ci nie dorówna, Clive — powiedział, wdziewając maskę jowialności. — Nikt...

— Owszem, nikt — odpaliłem bezczelnie. — Ale jest pewien drobiazg, panowie, który może wam nieco pokrzyżować plany.

Zaniepokoił się lekko.

— Jaki mianowicie? — spytał Flaherty.

— Otóż zdążyłem powiadomić Wingfielda-Digby'ego, że pan Norn nie jest tak grzecznym chłopcem, jak myślał.

Wymienili spojrzenia.

— O to niech się pan nie martwi, O'Casey — rzekł Norn. — Jakoś sobie poradzimy.

Rozdział 16

Środa, 21 lipca, godzina 14.00

Wykręciłem bezpieczniki sektorów telewizyjnych oznaczone numerami 16A i 16B i gdy Taffy Mitchell wrócił, siedziałem już na swoim miejscu. Sześć i pół minuty później Taffy zerknął na monitory, zaklął pod nosem i powiedział:

— W sektorze szesnastym oba tunele bez wizji. Sprawdź.

— Ja sprawdzę, siedź — odparłem i zwlokłem się ze stołka.

Manipulowałem chwilę pokrętłami zestrojenia dwustu dwudziestu kamer, rozmieszczonych w tunelu co sto siedemdziesiąt cztery metry, otworzyłem i zamknąłem skrynkę bezpieczników, a w końcu stwierdziłem:

— Pojadę do szesnastki.

— Chce ci się? Wyślę tam kogoś.

Wzruszyłem ramionami.

— Na trasie nic się nie dzieje, odprężę się. Gdyby co, wywołaj mnie. Na razie.

O 14.30 wyłączyłem elektryczny silnik drezyny, kluczyki schowałem do kieszeni, poprawiłem broń i maskę przeciwgazową i wszedłem do tunelu A. Miałem

niecałe dziesięć minut do spotkania z Flahertym, Nornem i resztą. Dziesięć minut do spotkania z Jane i Alison.

Sektory 16A i B to po prostu szesnasty kilometr tuneli A i B na południowy wschód od Dover lub inaczej, dwudziesty drugi kilometr trasy TML, licząc od CSB w Dollands Moor. Palilem papierosa za papierosem, zerkając niespokojnie raz na trakcję, raz na sensory instalacji przeciwpożarowej, czule na dym. Tunel operacyjny A obsługuje ruch pasażerski i towarowy w kierunku południowym. Składy pasażerskie, których jest w sumie pięćdziesiąt, z czego dwadzieścia należy do Kolei Brytyjskich, mają trzysta dziewięćdziesiąt cztery metry długości. Każdy wyposażony jest w dwa potężne elektrowozy i osiemnaście wagonów na około ośmiuset pasażerów. Jeden elektrowóz ciągnie skład, drugi natomiast, na końcu, jest bezczynny do chwili ewentualnej awarii pierwszego. Wówczas, po uruchomieniu, jest w stanie wypchnąć z tunelu cały pociąg. Wszystkie maszyny, wyprodukowane przez międzynarodowe konsorcjum firm angielskich, francuskich i belgijskich pod kierownictwem GEC Transportation Project Ltd. oraz Brush Electrical Machines, w północnej Francji zdolne są do utrzymania prędkości trzystu kilometrów na godzinę, a na południu Anglii, w Kencie, ze względu na ukształtowanie terenu — nieco mniejszej, sięgającej stu sześćdziesięciu kilometrów. Takie właśnie stalowe monstrum, oznaczone numerem 48, pędzące z londyńskiej stacji Kensington

Olympia do Paryża, przyszło mi zatrzymać. Zbliżała się 14.40.

Wróciłem do tunelu serwisowego i włączyłem nadajnik radiostacji STVS.

— Taffy, jestem na miejscu — powiedziałem. — Natychmiast wstrzymaj ruch w tunelu A do sektora szesnastego włącznie. Co tam teraz leci? Skład czterdzieści osiem Londyn — Paryż? Dobra, zatrzymaj go. Mam tu, cholera, kłopoty z torowiskiem. Nie, nie wysyłaj ekipy. Najpierw sam się rozejrzę. Na razie.

Ustyszałem narastający huk, zgrzyt hamulców, potem rytmiczne murmurando silników. Ruszyłem do przejścia.

Pociąg stał dokładnie tam, gdzie sobie zażyczyli, w środkowej części sektora szesnastego. W blasku światła lśniła jego pomarańczowo-kremowa kabina sterownicza i granatowe boki. Przy drzwiach elektrowozu widniała czarna sylwetka ryby i herb Paryża, znak, że skład przemierza trasę TML i należy do partnera francuskiego.

— *Qu'est-ce qui se passe?*

To nie pasażerowie pytali, nie. Okna i drzwi we wszystkich klimatyzowanych wagonach są zablokowane i wyłącznie w przypadkach nadzwyczajnych, gdy prowadzący elektrowóz uzna, że katastrofa wisi na włosku, blokadę zwalnia się centralnie, z maszynowni. Nie był to jednak ten przypadek. Jeszcze nie.

— *Rien, ça va bien* — odparłem, podchodząc bliżej. — Nazywam się O'Casey. Jestem dowódcą CSB z Dollands Moor. Mamy awarię torowiska. Proszę mnie wpuścić do kabiny.

Maszynista nie wahał się ani chwili. Widok panterki działa na wszystkich. Zniknął za oknem, szarpnął jakąś dźwignię i drzwi otworzyły się z sykiem. Wskoczyłem do środka. Rana na piersi dała o sobie znać ostrym bólem.

— Co z torowiskiem? — zapytał. — *Mon Dieu*, chyba go nie podmyło!

Udał mu się dowcip.

— Zrobi pan dokładnie to, co powiem, *monsieur*, nie mam czasu na wyjaśnienia — powiedziałem oschle. — Po pierwsze, odblokuje pan drzwi w wagonie specjalnym numer pięć. Tylko w wagonie specjalnym numer pięć, *comprenez-vous? Et alors?*

Wahał się sekundę, ale o nic nie pytał. Wcisnął odpowiedni guzik.

— Dobrze. Po drugie, wezwie pan maszynistę z elektrowozu zapasowego i zablokuje przejście między lokomotywą a resztą pociągu. Natychmiast.

Podniósł mikrofon, rzucił kilka słów i zamknął drzwi.

— Zaraz tu będzie — rzekł z rosnącym niepokojem. Już nie dowcipkował. — Ale o co właściwie chodzi? Dlaczego...

— Po trzecie — mówiłem dalej — niech mnie pan przełączy na centralny system nagłośnienia. *Vite!* — Podał mi mikrofon i trzasnął przełącznikiem. — Drodzy państwo — zacząłem. — W imieniu dyrekcji TML przepraszam za chwilową przerwę w podróży. Awaria elektrowozu zostanie usunięta za kilka minut, opóźnienie nadrobimy na trasie. Proszę pozostać na swoich miejscach i zachować spokój. Dziękuję za uwagę.

— Jaka awaria elektrowozu?! — Cofnął się w głąb kabiny. — O czym pan gada?! Kim pan, u diabła, jest?!

— Po czwarte, niech mnie pan połączy z CSB w Dollands Moor. Taffy — rzuciłem do mikrofonu, gdy nastawił odpowiednią częstotliwość. — Sprawa jest poważniejsza, niż myślałem. Nie, nie, bez paniki. Jestem w tunelu B, ten sam sektor. Mam tu coś w rodzaju przecieku. Nie, jeszcze nie zlokalizowałem źródła. Tak, woda. A co twoim zdaniem może mi tu lecieć na łeb? Wstrzymaj ruch w tunelu B od Coquelles do sektora szesnastego włącznie, zrozumiałeś?

Spojrzałem na zegarek. Towarowy kontenerowiec numer dwanaście z Barcelony przez Paryż do Manchesteru powinien lada moment nadejść.

— Co tam teraz masz? Dwunastkę? Tak, zatrzymaj. Zaraz się odezwę. Na razie.

Maszynista otwierał i zamykał usta, jakby bardzo chciał coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować, czy wybrać francuski, czy angielski.

— Po piąte — rzekłem tym samym tonem — niech pan wyłączy instalację alarmową wagonu specjalnego. Całą instalację, wszystkie trzy obwody, rozumie pan? Okna, drzwi i skarbiec, *comprenez-vous?*

Spojrzał w otwarte drzwi kabiny sterowniczej i zmienił się na twarzy do tego stopnia, że odwróciłem głowę. Zobaczyłem Gerda, astmatycznego goryla Gilesa Norna. Szedł wzdłuż elektrowozu, ściskając w łapie kilka kostek plastyku i metalowy odbiornik fal radiowych. Minał kabinę, zszedł na torowisko i zniknął

przed pyskiem maszyny. Drzwi wagonu specjalnego 5 stałym otworem. Akcja rozpoczęta.

— To... To jest napad! — wrzasnął maszynista, ale na widok mojego rewolweru zamilkł.

— Instalacja alarmowa, *monsieur* — powiedziałem grzecznie. — *Vite! Vite!*

Sploszony i rozdygotany, wykonał polecenie.

W tym samym momencie przed kabiną stanął operator zapasowego elektrowozu. Miał rozbiegane oczy, ciężko oddychał, czterysta metrów, dzielące obie maszyny, musiał pokonać kłusem.

— *Qu'est-ce qui se passe, Jean?* — zapytał. — Dlaczego jacyś ludzie biegają po torach? Co oni tam kombinują?! Powiadomiłeś *Dollands Moor*? *Mon Dieu!* — Dopiero teraz zauważył broń w moim ręku.

— Gotowe? — zagadnął mój nowy współpracownik od siedmiu boleści. Uwinął się już z mocowaniem ładunków. Skinąłem głową.

— Do środka!

Pchnął maszynistę lufą pistoletu i już w kabinie uderzył go mocno w kark.

— Gdzie radiostacja? — rzucił, nie sprawdzwszy nawet, czy operator zapasowego elektrowozu stracił przytomność.

Podszedł do pulpitu, kolbą pistoletu trzasnął w przekaźnik, przyłożył jeszcze raz i odwrócił się do mnie.

— Radiostacja w zapasowym też załatwiona — powiedział nie bez idiotycznej dumy i jednym płynnym ruchem wbił swoją wielką pięść w splot słoneczny kompletnie zaskoczonego Jeana.

Przyglądałem się temu obojętnie i równie obojętnie oddałem astmatykowi rewolwer.

— To rozkaz szefa — mruknął. — Idziemy do piątki. Szybko!

14.45. Kontenerowiec 12 Barcelona — Manchester zadudnił głucho w tunelu B, zgrzytnął hamulcami i stanął równolegle do naszego pociągu. Dzielilo go od nas niecałe trzydzieści metrów skały. Gdy opuszczaliśmy kabinę, w wyjściu ewakuacyjnym 16, łączącym oba tunele operacyjne z serwisowym, znikali ludzie Norna, których zadaniem było opanować tamten skład. Sprawę mieli ułatwioną, obsługa kontenerowca liczyła zaledwie dwóch maszynistów. Facet w butach z krokodylowej skóry zatrzymał się na moment. W jego dłoni błysnął niewielki nadajnik z wysuwaną anteną. Spojrzał na maszynę, z której wysiedliśmy, i uruchomił detonatory. Mikroodbiorniki, wciśnięte w plastik na szynach przed i za pociągiem, odebrały impuls radiowy, w cewkach maleńkich elektromagnesów wytworzył się prąd i ładunki eksplodowały, szarpiąc betonowe podkłady i stal trakcyjną. Skład pasażerski 48 Londyn — Paryż został unieruchomiony na amen.

Wagony specjalne dostępne są dla każdego, kto może wyłożyć sto osiemdziesiąt pięć funtów za kilometr. Wagon specjalny 5 składa się z czterech luksusowych przedziałów sypialnych dla ośmiu osób, łazienki, kuchni we wnęce, salonu z dywanową wykładziną, barku z wysokimi stołkami i skarbcą. Zabezpieczały go umieszczone w drzwiach, w oknach z kuloodpornego szkła i wokół skarbcą trzy obwody systemów alarmowych najnowszej generacji, zamontowane przez firmę

Jonesa Garrarda z Leicester kosztem stu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Takim wagonem 15 maja 1993 roku o 10.45 Rodzina Królewska w towarzystwie zaproszonych gości ruszyła w pierwszą podróż pod Kanałem. Rok później, 21 lipca o 14.50 w salonie wagonu specjalnego 5 siedzieli: Nicholas Wingfield-Digby, Bert Flaherty i Giles Norn

— Gdzie Jane i Alison? — spytałem bez wstępów.
— Zgodnie z umową musisz je teraz puścić. Gdzie one są, Flaherty? W sypialnym?

Flaherty machnął niecierpliwie ręką.

Spojrzałem na Wingfielda-Digby'ego. Siedział nieporuszony w rogu szkarłatnej sofy i uważnie mi się przypatrywał. Już rozumiał, już wiedział, co knuje przeciwko niemu Norn. Musiał przeżyć szok, kiedy wsiadając do pociągu na Kensington Olympia w Londynie poczuł, jak ktoś przykładła mu lufę do pleców i wpycha do środka. Tym kimś był Flaherty. Drugi szok przeżył zapewne wtedy, gdy okazało się, że to Norn, jego wierny asystent, jest głównym pomysłodawcą kradzieży i gdy uzmysłowił sobie, że się co do niego nie myliłem. Trzeci szok przeżywał teraz, bo oto w drzwiach stanąłem ja, O'Casey, dowódca CSB z Dolands Moor, miłośnik jego kolekcji szkiców Lautreca.

— Bardzo mi przykro, panie Digby — powiedziałem w ciszy. — Porwano mi córkę, działałam pod przymusem. Proszę otworzyć sejf.

System alarmowy Garrarda był już wyłączony i do skarbcza mógł wejść każdy. Nie każdy jednak znał kombinację cyfrową. Nie znał jej nawet Norn. Tylko Nicholas Wingfield-Digby potrafił wydostać stamtąd

szmaragdowego Budę z Wysp Świętego Patryka. Nie umiałem jednak pojąć, na co czekali tamci. Ani u Norna, ani u Flaherty'ego nie dostrzegłem broni. Byli aż tak pewni siebie? Zakładali, że Wingfield-Digby poda im cenną rzeźbę jak na tacy?

— No cóż, panie O'Casey. — Zwykle mawiał do mnie „chłopcze”. — Chyba nie pozwolimy, żeby przytrafiło się panu to, co spotkało przemądrzałego profesora z Cambridge. Prawda, panowie? — rzekł i ruszył do sejfu.

Boże... Wingfield-Digby! Oparłem się o ścianę czując, że za chwilę zemdleję. Rana na łuku żebrowym rwała mnie jak wszyscy diabli, ale nie byłem pewien, czy nie bardziej boli mnie głowa, w której działy się rzeczy straszne. Wingfield-Digby. Przypomniałem sobie naszą sobotnią rozmowę telefoniczną. O naiwności ludzka! Gdy o 4.30 zadzwoniłem do niego od Alison i wspomniałem o śmierci Worstera, powiedział, że czytał o tym w prasie. Co za dureń ze mnie! Przecież Worstera zamordowano w piątek koło szóstej wieczorem i zgodnie z zarządzeniem policji dziennikarze nie zostali o niczym powiadomieni! Nikt nie został o tym powiadomiony! To nie Norn tutaj szefował, nie Norn rozkazał usunąć Worstera i nie Norn wpadł na pomysł kradzieży. Norn był jedynie posłusznym wykonawcą, narzędziem w rękach człowieka, który zaplanował skok mający przynieść sto pięćdziesiąt milionów. Norn w dalszym ciągu asystował Wingfieldowi-Digby'emu.

Wszystko się w tej łamigłówce zgadzało. Niepokoił mnie tylko sposób i miejsce rabunku. Dlaczego Digby wynajął za pośrednictwem Norna najlepszego z naj-

lepszyc — Flaherty'ego? Flaherty jest ekspertem najwyższej klasy, ceni się, poza tym wątpię, czy na miejsce skoku wybrałby akurat tunel TML. Wingfield-Digby ma przecież stały dostęp do tego nieszczęsnego posążka. Mógł go ukraść na dziesięć innych, mniej kłopotliwych sposobów. Dlaczego więc tunel? I dlaczego Digby wraca z Buddą do Anglii? Tak, do Anglii, bo właśnie tam za moment pojedzie zatrzymanym przeze mnie kontenerowcem! Na co liczy? Na cud?! Na to, że policja go nie złapie?!

Gdy pochylił się nad drzwiami sejfów i ustawiał kombinację, Norn spojrział na Flaherty'ego. Obaj sięgnęli po broń. Jeszcze nie doszedłem do siebie po emocjach sprzed kilkunastu sekund, a tamci już szykowali nowe. W nagłym przebłysku jaśniejszych myśli zrozumiałem ich grę i mimo wszystko, odruchowo, chciałem ostrzec Wingfielda-Digby'ego, krzyknąć, żeby nie otwierał sejfów, żeby pokrzyżował im plany. Ale było za późno.

Digby odwrócił się do nas. W dłoni trzymał podhuzną, czarną walizeczkę. Na widok wycelowanych w siebie luf i wykrzywionego, trochę przepraszającego uśmiechu Berta — tak, Flaherty lubował się w takich niespodziankach! — pojął, że wraz ze stu pięćdziesięcioma milionami może stracić życie.

— To tak... panowie? — wyjąkał. — Zmowa. Zmowa za moimi plecami?

Może powiedziałby coś więcej, lecz w tym momencie w drzwiach wagonu zjawił się niczym duch francuski maszynista Jean, którego gruby astmatyk obezwładnił w sterówce elektrowozu. Ocknął się dużo wcześniej, niżby sobie tego życzyli, przywłókł się tu-

taj, zajął do środka, wybełkotał niewyraźnie: *L'alarme rouge, l'alarme rouge* — czym odwrócił uwagę całej bandy. Wingfield-Digby wyskoczył z pociągu. Pchnął Jeana, staranował go walizką i popędził wzdłuż wagonu, kierując się do wyjścia ewakuacyjnego 16. Liczył na to, że uda mu się dotrzeć do tunelu serwisowego. Do tunelu B nie miał po co biec, bo tam czekali na niego, o wszystkim najpewniej uprzedzeni, goryle Norna z facetem w butach z krokodylowej skóry na czele. Chyba się domyślił, że nie pokona tej odległości. Do wyjścia było zbyt daleko. Zrozumiał to, bo biegł i krzyczał bezsensownie: „Tunel! Tunel! Uciekać!” Trafiony dwoma pociskami upadł, przygniatając ciałem walizkę ze szmaragdowym Buddą.

— Idziemy — powiedział Norn. — Nie ma czasu.

— Chwileczkę. — Zatrzymałem go w progu. — Gdzie Jane i Alison?

— Czy jest pan aż tak głupi, czy tylko naiwny, O'Casey? — warknął niecierpliwie. — Są w kontenerowcu. Przeprowadziliśmy je do tunelu B, jak tylko odblokował pan drzwi, jasne?

— Czy nie rozumiesz, Clive — wtrącił z uśmiechem Flaherty — że gdybyśmy puścili je tutaj, miałbyś nas w rękę? A kto powiadomi CSB, że droga dla towarowego z Barcelony do Manchesteru jest wolna? Ja? Norn? O nie, stary byku, to ciebie tu znają, nie mnie. Zwolnimy je, kiedy maszyna ruszy, nie wcześniej. No, idziemy. Ile mamy czasu? Pięć minut?

Towarowy 12, wiozący tysiąc czterysta ton drobniicy, podobnie jak skład pasażerski, który zostawiliśmy w tunelu A, był wyposażony w dwa elektrowozy,

zdolne rozpedzić sześciusetpięćdziesięciometrowego stalowego węża firmy Avon Industrial Polymers do prędkości stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zajmował teraz niemal całą szerokość tunelu i obarczony walizką Digby'ego, Flaherty z trudem przeciskał się do elektrowozu zapasowego. Norn pomaszerował na przód składu, a ja wlokłem się za nim, rozmyślając, gdzie też mogli zamknąć Jane i Alison.

— Szybciej, O'Casey — ponaglał Norn. — Nie chcę mieć problemów w Dollands Moor.

Od mojej ostatniej rozmowy z Taffym Mitchellem upłynęło dziewiętnaście minut. Gdybym się z nim nie połączył w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund, zgodnie z instrukcjami CSB postawiłby na nogi całą brygadę i Norn rzeczywiście byłby w nie lada kłopotcie. Wzięłem mikrofon.

— Taffy? Nie denerwuj się, w sektorze szesnastym w tunelu B wszystko w porządku. Falszywy alarm. Tak, puszczam dwunastkę. Co? Zarejestrowaliście wstrząsy podłoża? Jakie wstrząsy, Taffy? Tu się nie trzęsie. Dzwonił dyrektor? Niech szlag trafi dyrektora. Na razie.

— Wysiadaaj, O'Casey! — W rękę Norma tkwił nieduży, damski pistolet kaliber 6,35 milimetra. — Wysiądź spokojnie i nie rób zamieszania.

Kulka o średnicy 6,35 mm wystrzelona z odległości pół metra czyni w ciele człowieka niezłe spustoszenie. Cofnąłem się o krok.

— Jane! Alison! — krzyknąłem w nadziei, że się odezwą. — Jane!

— Nic się nie martw! Obie są pod naszą opieką —

rzucił Norn, wychylając się przez boczne okno. Odwrócił głowę w stronę maszynisty. — Ruszaj! — Znów spojrzał na mnie. — Wesolej zabawy O'Casey. Będziesz miał tu ubaw, o jakim ci się nawet nie śniło! Bywaj!

Silniki elektrowozu nabierały obrotów. Jeszcze chwila i pociąg ruszy, zabierając bezpowrotnie dwie kobiety, które nadają sens mojemu życiu! Bezpowrotnie, bo Norn i Flaherty nie są ani głupcami, ani ryzykantami i nigdy ich nie uwolnią. Puścić wolno świadków rabunku i zbrodni to tak, jakby wcześniej czy później oddać się dobrowolnie w ręce policji. Tylko dlaczego w takim razie zachowali przy życiu mnie? Dlaczego nie boją się zeznać pasażerów i maszynistów?

Pociąg drgnął. Nie było nawet co marzyć o uczepieniu się elektrowozu czy któregoś z wagonów. Cielisko maszyny jest idealnie gładkie, pozbawione jakichkolwiek wystających części, a poza tym Norn w dalszym ciągu machał do mnie pistoletem, ostrzegając przed skokiem między kontenery. Gdybym trochę poczekał, w elektrowozie zapasowym nadziałbym się na Flaherty'ego, który z sadystycznym zadowoleniem — a masz, stary byku! — wpakowałby mi kulę w łeb, jeśli bym wykonał jakiś podejrzany ruch. Została mi tylko jedna jedyna szansa.

Od wyjścia ewakuacyjnego 16 dzieliło mnie ledwie kilka metrów. Nie myślałem o tunelu serwisowym i drewnie. Biorąc pod uwagę prędkość obu maszyn, niczego bym nie zwojował. Mogłem liczyć tylko na własne nogi i nadwątlone, niestety, mięśnie. Rana na piersi do-

skwierata przy każdym kroku, lecz biegle, biegle jak szalony i względnie szybko wróciłem do tunelu A.

Pasażerski Londyn — Paryż stał tam nadal, bo niby gdzie miał się podziać, ale on mnie nie interesował, nie teraz. Skręciłem natychmiast w prawo i wskoczyłem na drabinkę wiodącą do przewodu wentylacyjnego, który łączył oba tunele operacyjne. Cztery i pół metra w górę, dwadzieścia kilka metrów w szalejącym przeciągu w rurze o średnicy osiemdziesięciu centymetrów i wreszcie tunel B, a w nim na wyciągnięcie ręki pędzące coraz szybciej kontenery składu towarowego 12. Zdażyłem w ostatniej chwili. Kilkanaście sekund później sześciusetpięćdziesięciometrowy wąż pokazałby mi swój ogon i zniknął na dobre. Uczepiłem się drabinki. Zawisłem nad torowiskiem, odczekałem, aż przejedzie ostatni kontener, i kiedy w oknie elektrowozu zapasowego ujrzałem głowę Flaherty'ego, runąłem w dół.

Wylądowałem na dachu tuż obok rombownego kabłaka wysięgnika. Niewiele brakowało, a musiałbym dwa przewody o napięciu dwudziestu pięciu kilowoltów. Gdybym choć raz o nie zawadził, usmażyłbym się jak nic. Moja koszula pod panterką była lepka od krwi. Szwy musiały puścić, rana otworzyła się i bandaż szybko nasiąkł. Odpoczywając, rozważałem sytuację.

Leżałem na dachu elektrowozu zapasowego. Biorąc pod uwagę jego długość, dwadzieścia pięć metrów, od elektrowozu głównego dzieliło mnie sześćset dwadzieścia pięć metrów. Gdzie są Jane i Alison? Tutaj czy tam? To, że nie odezwały się na wołanie, nic nie

znaczy. Zamknięte w maszynowni, mogły mnie po prostu nie usłyszeć. Odlączenie od składu obu elektrowozów nie wchodziło w grę. Do sprzęgieł można się dostać wyłącznie od podwozia, co w tunelu jest rzeczą niewykonalną. Zaatakować tutaj czy tam. Postanowiłem tam. Ale najpierw trzeba zatrzymać skład.

Spojrzałem przed siebie. Czekał mnie bieg po dachu jadącego pociągu, centymetry od przewodów wysokiego napięcia. Trenowaliśmy to w CSB wielokrotnie. Po raz pierwszy jednak nie chodziło o najlepszy czas, lecz o życie Jane i Alison. Jak się miało wkrótce okazać, również o życie ponad osmiuset innych ludzi.

Rozdział 17

Środa, 21 lipca, godzina 15.15

Dziesięć minut później znalazłem się przy włączniku serwisowym elektrowozu głównego. Pociąg pokonał w tym czasie prawie jednaście kilometrów, do Dover zostało pięć; do Dollands Moor jednaście, do Folkestone trzynaście. Ległem płasko i uniosłem klapę na szerokość dłoni.

Ze środka buchnął huk pracujących silników. W żółtej poświacie lamp na korytarzyku biegnącym wzdłuż całej maszynowni nie dostrzegłem ani Jane, ani Alison. Były więc sześćset dwadzieścia pięć metrów za mną, w elektrowozie zapasowym. Zagryzłem wargi i zdusiłem przekleństwo. Myślałem chwilę. Barwa światła sugerowała, że drzwi kabiny sterowniczej są zamknięte. Gdyby Norm i facet w butach z krokodylowej skóry zostawili je otwarte, do korytarza przenikałoby białawe, dość intensywne światło z tunelu, ponieważ odległość między przednią, panoramiczną szybą a drzwiami maszynowni nie jest duża. Rozwarłem klapę i zeskoczyłem.

Wibracja silników i izolowana gumą podłoga zagłuszyły odgłos upadku. Upaść po skoku z tak dziecinniej wysokości?! Ale po biegu czułem się źle; słabo, w do-

datku odurzał mnie zapach rozgrzanych smarów. Pod koszulę wolałem nie zaglądać. Spojrzałem za to na zegarek, a później, zupełnie odruchowo, w górę. Pociąg minął Dover i mknął do Dollands Moor. Kanał Angielski został za nami.

Między rozsuwanymi, dźwiękoszczelnymi drzwiami kabiny sterowniczej a gąbkowatym odbojnikiem zauważyłem kilkumilimetrową szparę. Stałem z boku i oparłszy się plecami o osłonę lewego bloku silnika, ostrożnie zerknąłem do środka.

Za pulpitem sterowniczym siedział sterroryzowany maszynista. Z prawej strony, przy wciąż opuszczonej szybie bocznego okna, gdzie spodziewałem się ujrzeć Norna, bo właśnie stamtąd tak niedawno wymachiwał do mnie swoim damskim pistolecikiem, tkwił nieruchomo ten robot, ten cholerny typek w butach z krokodyłowej skóry. Norn był zapewne w lewej części kabiny, ale żeby się o tym przekonać, musiałbym wniknąć w pulsujący hukiem silnik i dopiero w tej pozycji zetknąć w szparę. Obserwowałem więc tych, których widziałem. Czas płynął.

W Dollands Moor wynurzyliśmy się z tunelu. Na tę chwilę czekałem. Maszynista powiedział coś i wziął mikrofon. Nie musiałem się domyślać, po co. Z Dollands Moor do Folkestone są tylko dwa kilometry. Według rozkładu pociąg kierował się do Manchesteru przez Ashford, a żeby dotrzeć do Ashford, należało uprzedzić rozdzielnię w Holywell Coombe, gdzie komputery tysiące razy sprawdzały bezkolizyjność trakcji, sygnalizując maszyniście, że może ustawić zwrotnicę, i jak po sznurku prowadziły go do celu.

Cofnąłem się, wyjąłem z torby maskę przeciwgazową i nałożyłem ją. Z ładownicy wyłuskałem granat RDH-1 z gazem łzawiącym. Wyrwałem zawleczkę i przycisnąwszy łyżkę bezpiecznika do chropowatej skorupy, czubkami palców lewej ręki delikatnie odchyliłem odbojnik. Kiedy poczułem, że palce zagłębiły się w szparę na dwa, trzy centymetry, zwolniłem bezpiecznik, odliczyłem do pięciu i szarpnąłem drzwi.

Maszynista usłyszał mnie pierwszy. Przyzwyczajony do hałasu silników, bezbłędnie wychwytyjący obce dźwięki, odwrócił się, gdy wrzucałem granat. Tuż przed eksplozją zobaczyłem zielone światełko wolnej drogi na Ashford i przerzuconą dźwignię zwrotnicy. Zatrzasnąwszy drzwi, zauważyłem jeszcze, że mężczyzna w butach z krokodylowej skóry kieruje na mnie lufę rewolweru.

Eksplozja ładunku gazowego RDH-1, produkowanego wyłącznie dla potrzeb militarnych, ma natychmiastowe skutki, zwłaszcza w tak małej przestrzeni jak kabina sterownicza. Po trzech sekundach wszyscy powinni leżeć na ziemi, zanosić się kaszlem, wydierać sobie oczy z głowy, odrywać nosy i nikt nie miał prawa przejawiać jakiegokolwiek chęci do stawiania oporu. Nie widziałem, co się tam dzieje, nic też nie słyszałem i dopiero gdy w hałas silników wdarł się huk wystrzału, zaryzykowałem uchylenie drzwi.

W czasie maszynisty ziała okropna, buchająca krwią rana. Zdezorientowany i oszołomiony goryl Norma trafił go chyba przez czysty przypadek, bo inaczej nie umiałem sobie wyjaśnić tej tragedii. Już w agonii, maszynista musiał trącić ręką dźwignię zwrotnicy, która

wróciła do pierwotnego położenia i zielone światło wolnej drogi na Ashford zgasło.

Oblał mnie zimny pot. Wiedziałem, co stanie się za chwilę. Żelazny potwór o wadze ponad tysiąc cztery-stu ton rozpedzony do szybkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, minawszy przed sekundą Folkestone-miasto, wpadł w tunel pod Castle Hill i znajdował się tuż przed rozwidleniem traktacji w Holywell Coombe, skąd zamiast prosto, pomknie do pętli dworcowej Arrival Loop! Otworzyłem szerzej drzwi, żeby czym prędzej cofnąć dźwignię, i gdyby nie Norn, może bym zdażył. Maską ograniczała mi pole widzenia, nie zauważyłem, że podchodzi z boku, na oślep, chwiejnie, z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Nadziałem się na jego łapska, stanąłem, spojrzałem w panoramiczną szybę i zrozumiałem, że tylko cud może nas uratować.

Przednie koła elektrowozu wjechały na torowisko pętli dworcowej i siła odśrodkowa cisnęła nas w prawo. Uderzenie było straszne. Przez mgłę gazowego dymu widziałem, jak mężczyzna w butach z krokodylowej skóry wali się bezwładnie na boczne okno, tłucze szybę i wbija się w otwór aż po pas. Kątem oka, nim sam przygniotłem Norna, zauważyłem na peronie tylko ludzi od robót konserwacyjnych, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie spodziewał się o tej porze pociągu. Z sufitu dworca, poskręcane i splecione, zwieszały się nad torowiskiem stalowe liny. Ułamek sekundy później jedna z nich, ciężka i sprężysta, zeslizgnęła się po opływowym pysku elektrowozu i natrafiwszy na wysu-

nięty tors mężczyzny w butach z krokodylowej skóry, przecięła go na pół.

Norn zamortyzował mój upadek. Runęliśmy obaj na skrzynię z bezpiecznikami. Biedaczek trafił głową w jej kant, krzyknął krótko, boleśnie, zatrzepotał się jak ryba wyrzucona z wody na brzeg i znieruchomiał. Sturłałem się z niego i pewnie bym się podniósł, gdyby jakieś paskudztwo nie dało mi po łbie.

Coś niedobrego stało się z moimi oczyma. Z trudem rozwarłem powieki i spojrzałem przez okulary maski na świat, który tonął w migotliwych refleksach światła. Nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu, nie czułem rąk, nie wiedziałem, czy mam jeszcze nogi. Leżałem na podłodze przy martwym Nornie. Jego zacisnięta kurczowo dłoń gniotła mnie w żebra i rozrywała ranę.

Z pełną świadomością odbierałem i rejestrowałem wszystko dookoła. Byliśmy teraz w tunelu, o czym świadczyły błyski lamp górnego oświetlenia. Prędkość pociągu stale rosła. Nie potrafiłem określić, ile czasu upłynęło od wypadku, gdzie my właściwie jesteśmy i dokąd, na Boga, jedziemy?! Skoro nikt nie prowadził, mogło to oznaczać tylko jedno: uniknąwszy katastrofy w Holywell Coombe, skład wjechał w pętlę dworcową, zatoczył kilometrowy łuk, wyszedł na prostą i pędził w kierunku Francji! Na pewno minęliśmy Folkestone i Dollands Moore, ponieważ na tym odcinku trasa TML biegnie tak zwanym kątem zerowym. Dopiero przed Dover, od Shakespeare Cliff, tunel zaczyna

opadać średnio o jeden metr na każde sto metrów trakcji. Ponieważ pociąg przyśpieszał, nasuwały się dwa wnioski. Pierwszy — skład nie dotarł jeszcze do trzydziestego piątego kilometra toru, gdzie tunel zaczyna łagodnie piąć się ku wybrzeżom Francji. Drugi — byliśmy w tunelu A, w którym na dwudziestym drugim kilometrze od Dollands Moor stał osobowy Londyn — Paryż. Unieruchomiony na amen, bo jakim cudem miałby przejechać po rozszarpanych wybuchem szynach.

Hamulce! Chryste, hamulce! Zwróciłem oczy na sufit i nad panoramiczną szybą ujrzałem coś, co mnie zbytnio nie zdziwiło. System hamulcowy każdej maszyny jest przemyślnie dublowany i jeśli maszynista puści uchwyt kontrolny na dłużej niż dziesięć sekund lub nie odpowie na wezwanie CSB, pociąg natychmiast zatrzyma się sam, jak po użyciu hamulca bezpieczeństwa. Całe urządzenie jest stosunkowo proste w konstrukcji, a jego punkt centralny stanowią dwa bezpieczniki nad fotelem maszynisty. Jeżeli je wykręcić, co jest surowo karane, układ przestaje działać. Oba gniazda bezpieczników były puste.

Pozostały jeszcze hamulce systemu głównego. Wiedziałem naturalnie, gdzie jest pedał, który go uruchamia, ale cóż z tego, skoro nie potrafiłem się tam dostać?! Nie dlatego, że znajdował się w miejscu trudno dostępnym, bzdura, po prostu mój organizm nie reagował na impulsy wysyłane z mózgu. Pracuj, mówiłem sobie, staraj się jak nigdy w życiu, próbuj, bo za chwilę możesz to życie stracić. Ty, Jane i Alison. Flaherty'ego z obstawą nie liczyłem.

Milimetr po milimetrze czołgałem się do pulpitu sterowniczego. Kiedy pięść Norna wciskała mi się w żebra, rozumiałem, co czuły ofiary torturowane przez średniowiecznych oprawców. Zdołałem w końcu z niej spełznąć. Wczepiony rękami w dywanik izolacyjny, przesunąłem się do przodu.

Czubkami palców dotknąłem czegoś śliskiego i przyjemnie chłodnego. Odgadłem — maska ograniczała widoczność — że to noga fotela maszynisty. Chwyciłem ją mocno. Teraz musiałem koniecznie wstać, ponieważ rękami nie nacisnąłbym pedału hamulca z siłą niezbędną do zatrzymania pociągu. Siedząc w fotelu, żeby go wgnieść, wystarczy lekki ruch stopy. Ale gdy ktoś leży półprzytomny na podłodze i z najwyższym trudem wspiera się na łokciach, zadanie jest niewykonalne. Wstałem, choć kosztowało mnie to tyle energii, ile zużyłbym, dźwigając nie siedemdziesiąt kilogramów własnego ciała, lecz sto siedemdziesiąt.

Byliśmy kilkaset metrów od unieruchomionego pociągu osobowego Londyn — Paryż. Widziałem go wyraźnie, jak na dłoni, to tu, to tam kręcili się niespokojnie zdezorientowani pasażerowie, przechodzili przez tory, gestykulowali. Nikt z nich nie dostrzegł nadciągającej katastrofy! Zwalilem się ciężko na fotel, wcisnąłem kciukiem sygnał dźwiękowy i z siłą niemowlęcia kopnąłem hamulec.

Elektrowóz ryknął, automatycznie włączył długie, oślepiające światła i zaczął wytracać szybkość. Robił to nieznośnie wolno i niechętnie, tak jak wolno i niechętnie kapituluje toczący się po pochyłości gład. Wduszałem pedał coraz głębiej. Maszyna stęknęła trzewiami,

zmagala się z własną masą i pędem. Jej koła przestały się obracać, sunęły tylko po szynach, wzbijając fontanny czerwonych isker, by w końcu trafić na wyrwę w torowisku.

Wstrząs był niewielki. Pysk elektrowozu zboczył w prawo, przednie koła straciły kontakt z szynami i lokomotywa uderzyła w ścianę tunelu. W metaliczny zgrzyt gniecionej blachy wdarł się trzask pękającej szyby, po czym zaległa cisza.

Otworzyłem oczy. Elektrowóz kontenerowca 12 stykał się na ukos z elektrowozem składu osobowego Londyn — Paryż.

Rozdział 18

Środa, 21 lipca, godzina 15.48

Wyszedłem z kabiny i ściągnąłem maskę z twarzy. Przywarła mocno i miałem wrażenie, że zrywam własną skórę. Powietrze w tunelu, chociaż stale wymieniane, trudno nazwać ożywczym. Mimo to oddychałem nim tak, jak kuracjusze St. Moritz oddychają powietrzem szwajcarskich Alp. Spojrzałem na zegarek. 15.48. Po trzydziestu trzech minutach, przejechawszy czterdzieści siedem kilometrów, znalazłem się w punkcie wyjścia.

Dopiero teraz dotarł do mnie wrzask radiostacji. Początkowo nic nie rozumiałem. Z głośnika ryczał sam naczelnny Oddziału Ruchu z Dollands Moor, którego głos brzmiał inaczej niż zwykle, innych też niż zazwyczaj używał słów.

— Kapitanie O'Casey! Niech się pan opamięta! Niech pan zaniecha oporu! Niech pan zaprzestanie wszelkich działań i dobrowolnie odda się w ręce funkcjonariuszy CSB! Ekipa w drodze! Powtarzam, ekipa w drodze!

Taffy Mitchell miał swój wielki dzień. Na pewno odnalazł wykrecone bezpieczniki sektorów telewizyjnych 16A i 16B. A kiedy dotarły do niego wieści z Ho-

lywell Coombe o pociągu widmie i o przepołowionym trupie na peronie pętli dworcowej, skojarzył oba fakty, dodał do tego moje beznadziejnie naciągane tłumaczenia o przecieku i zerwanym torowisku (to ostatnie akurat wykrakałem) i wysnuł wniosek, że O'Casey jest pierwszej wody sabotażystą, porywaczem i Bóg wie, kim jeszcze. Postawił na nogi Oddział Ruchu, zawiadomił dyrekcję TML w Londynie, a ponieważ wciąż było mu mało, upchnął w drezynie moją brygadę i pędzi teraz na złamanie karku, żeby wyrwać biednych pasażerów z łap oszalałego kapitana. Wyłączyłem odbiornik.

Z rewolwerem człowieka, który nosił kiedyś piękne buty z krokodylowej skóry, zrobiłem krok do przodu i zeskoczyłem na zrujnowane torowisko. Zbity tłum jak na komendę cofnął się w głąb tunelu.

— Nazywam się O'Casey... — wykrztusiłem, nie poznając własnego głosu. — Idźcie do tunelu serwisowego, idźcie stąd!

Wymiotło ich od razu. Przypisałem to wcześniejszej akcji uświadamiającej dwóch francuskich maszynistów i mojemu żalosnemu wyglądowi. Gdyby tak jeszcze zobaczyli, co mam pod koszulą...

Posuwałem się wzdłuż ściany do wyjścia ewakuacyjnego 17. Nie siedłem w stronę elektrowozu zapasowego, gdzie spodziewałem się znaleźć Jane i Alison, lecz dokładnie w przeciwnym kierunku. Do siedemnastki miałem niecałe dwadzieścia metrów, do osiemnastki — około trzystu sześćdziesięciu. Ta odległość przerastała moje możliwości. Mało tego. Pomyślałem sobie, że gdybym nawet w miarę szybko dotarł do

wyjścia 18, nic by mi to nie dało, od elektrowozu zapasowego z Jane i Alison nadal dzieliłby mnie dystans rzędu trzystu metrów. Jeśli mimo nieoczekiwanych wypadków Flaherty i jego obstawa wciąż rozumowali logicznie, zrobią wszystko, żeby uciec z unieruchomionego pociągu do tunelu serwisowego. Nie rzuca się więc do osiemnastki lecz do dziewiętnastki, oddalonej od nich ledwie o osiemdziesiąt metrów, ode mnie zaś aż o siedemset trzydzieści.

W tunelu serwisowym panował ścisk. Kotłowało się tam, krzyczało i nawoływało ośmiuset pasażerów; niektórzy stłoczyli się wokół maszynistów, nie wiedząc, że oprócz skrawka betonu koło wyjścia 17 maja dla siebie całe trzydzieści osiem kilometrów spacerowego pasażu. Znów się na mój widok rozpięchli, dzięki czemu bez przeszkód doczłapałem do drezyny. Uruchomiłem silnik i ruszyłem na spotkanie z Flahertym.

Zatrzymałem się przy dziewiętnastce, przeszedłem do tunelu operacyjnego A i ostrożnie wychyliłem się zza rogu. Szli ku mnie we czwórkę: Jane w objęciach grubego astmatyka i Alison pod lufą rewolweru Berta Flaherty'ego, który taszczył walizkę ze szmaragdowym Buddą. Maszynista elektrowozu zapasowego albo już nie żył, albo leżał nieprzytomny w kabinie sterowniczej. Astmatyk z Jane wysforował się naprzód. Gdy zagadnięty o coś przez Flaherty'ego odwrócił się, przyciskając do siebie moją córkę, zauważyłem, że nie ma broni. Dobra nasza. Oczekałem, aż miną drabinę

prowadzącą do przewodu wentylacyjnego, po czym odwiodłem kurek bezpiecznika i przytknąłem lufę rewolweru do miękkiej szyi astmatyka.

— Puść ją! — wrzasnąłem.

Szarpnął Jane, momentalnie obrócił twarzą do mnie i pchnął silnie. Kiedy oparłem się plecami o łukowatą ścianę, runął na nas jak taran. Pod naporem jego cielska uwięziona między nami Jane straciła przytomność. Grubas, usiłując wyrwać mi broń, przygwoździł moje łokcie do betonu i staliśmy tak wszyscy troje dopóty, dopóki ból w stawach nie zaćmił mi wzroku i nie rozluźniłem uchwytu. Rewolwer upadł na ziemię, wypalił z ogłuszającym hukiem i ciśnięty siłą odrzutu, wylądował dobre trzy metry dalej. Gdy grubas spojrział w tamtą stronę, szarpnąłem się co sił. Stracił równowagę, zachwiał się i zaświsztawszy gardłowo, zaklął, uderzając pięścią Bogu ducha winny beton.

Uwolniłem się od Jane, skoczyłem po rewolwer, ale astmatyk był szybszy. Już go miałem, już dotykałem palcami kolby, lecz kopnął weń buciorem tak silnie, że broń, niczym wyrzucony z katapulty pocisk, śmignęła w głąb przejścia awaryjnego, minęła tunel serwisowy i zatrzymała się dopiero w wyjściu ewakuacyjnym prowadzącym do tunelu operacyjnego B. Puściliśmy się tam biegiem jak dwaj zmęczeni sprinterzy i przez chwilę gnaliśmy ramię w ramię. Później, gdy usłyszałem loskot nadjeżdżającego pociągu, zwolniłem.

Gruby astmatyk zdawał się nic nie słyszeć. Dopadł rewolweru, a ponieważ byłem tuż za nim, kopnął go jeszcze raz, by zyskać dodatkową odległość i móc się bezpiecznie schylić. Rewolwer znieruchomiał na kra-

wędzi torowiska. Gdy grubas tam dotarł, po szynach przetoczył się z hukiem elektrowóz, wiozący wagon brygady specjalnej CSB. Już hamował, lecz silne zawrowania powietrza cisnęły nieszczęśnikiem o bufory, a stamtąd wprost pod koła. Hałas pociągu zagłuszył jego krzyk.

Porwałem rewolwer i cofnąłem się do wyjścia ewakuacyjnego. Jane nie odzyskała przytomności, ale oddychała równo i spokojnie. Ułożyłem ją wygodniej, dziękując Komu Trzeba za to, że żyje i że Bert Flaherty widząc, co się święci, zrejterował. Ukrył się z Alison w tunelu operacyjnym A i jeżeli po wypadku w Holywell Coombe nadal dopisywał mu dobry słuch, wiedział, że w sąsiednim tunelu pojawiła się ekipa ratownicza. W czasie szaleńczej jazdy w kabinie sterowniczej kontenerowca musiał słyszeć z głośnika wrzask naczelnego Oddziału Ruchu i teraz, znając jego poczucie humoru, konał pewnie ze śmiechu na myśl, że ludzie z tunelu B nie tylko mnie nie wesprą, ale mogą wydatnie zaszkodzić, a tym samym pomóc jemu. Bo Taffy Mitchell nie żartował. Taffy Mitchell chciał się popisać i zamiast jednej drużyny ściągnął pod ziemię wszystkie rezerwy, jakie tylko były.

Zobaczyłem ich, jak biegli do tylnego elektrowozu kontenerowca. Bert Flaherty oglądał się co chwila. Lewą ręką trzymał za kołnierz Alison, prawą walizkę z posążkiem i odbezpieczony rewolwer. Gdy spojrział przed siebie, zeskoczyłem z pobocza na głębokie torowisko i ruszyłem za nim.

Ku memu zaskoczeniu nie wszedł do kabiny elektrowozu. Najwyraźniej zmierzał do wyjścia awaryjne-

go 18 trzysta metrów dalej! Nie mam pojęcia, na co liczył, ale diabelnie mu się śpieszyło. Nie raz, nie dwa widziałem Flaherty'ego w akcji. Prawda, sytuacja nie wyglądała najlepiej — był w pułapce, bo chyba nie sądził, że dotrze tunelem aż do Francji. Lecz zawsze do końca zachowywał zimną krew, dzięki czemu wychodził cało z opresji równie groźnych jak te, w których się obecnie znalazł. Teraz jednak zdradzał objawy paniki: nie skoordynowane gesty, gwałtowne ruchy, nerwowy chód. Gdy podszedłem do elektrowozu, usłyszałem, jak pokrzykuje na Alison, co zupełnie do niego nie pasowało. I to ciągle spoglądanie na zegarek. Zerkął nań nieustannie, jakby gnał na umówione spotkanie. Zegarek zaabsorbował go do tego stopnia, że dopiero minawszy elektrowóz, zauważył ludzi Taffy'ego Mitchella.

Wybiegli z tunelu ewakuacyjnego z bronią gotową do strzału, coś krzyczeli, lecz strzelać nie mogli, bo Flaherty zasłonił się Alison jak tarczą, przyłożył jej rewolwer do karku i krok po kroku począł się cofać w stronę lokomotywy. Stał plecami do drzwi sterówki, otworzył je nogą i wciągnął dziewczynę do środka. Zechce wyjść drugimi drzwiami? Wyjrzałem na prawe pobocze. Nie, tam go nie było. Wówczas dobiegł mnie stukot otwieranej klapy.

Flaherty, pólżąc, przygniatał Alison do stalowych blach dachu. Byli piętnaście metrów ode mnie, nad maszynownią, obok kabłakowatego wysięgnika. Walizkę z posażkiem oparł o udo nieruchomej Alison i wyciągał szyję, gapiąc się na oddział Mitchella nadciągający teraz lewym i prawym poboczem. Mamrotał sło-

wa nie wiadomo do kogo adresowane, na jego twarzy malował się ni to strach, ni szaleństwo. Niewiele myśląc, wgramoliłem się na dach. Na mój widok zrobił rzecz kompletnie absurdalną. Wycelował we mnie swego webleya. Huknął strzał, pocisk chybił i zafurkotał w powietrzu. Flaherty spojrzał na zegarek, zupełnie jakby chciał do końca życia zapamiętać godzinę, minutę i sekundę, w której mnie zabił! Potem strzelił jeszcze dwa razy, znów niecelnie, i rozpętał istne piekło.

Taffy Mitchell kazał otworzyć ogień. Jego ludzie wygarnęli z maszynowych uzi, aż dach elektrowozu zajęczał od rykoszetujących kul. Na szczęście prowadzili ostrzał z dołu, inaczej zostałyby z nas tylko krwawe strzępy.

Flaherty upadł na Alison i z pianą na ustach bił rękami o czarną walizkę. Po kilku chwilach, kiedy tamci przerwali ogień, zerwał się raptem na kolana i wrzasnął:

— A strzelajcie, sukinsyny! Strzelajcie sobie! — Pogroził im pięścią. — Zostało wam trochę czasu, to strzelajcie. Zabijcie mnie! Zastrzelcie Berta Flaherty'ego! Będę wam tylko wdzięczny! Sami zaraz zdechniecie w takich męczarniach, że będziecie mi zażdrościć! No, dalej! Lepsze to niż kula w łeb.

Roześmiał się jak człowiek, któremu odjęło rozum.

— Clive, stary byku! Opowiem ci bajeczkę, chcesz? Razu pewnego pewien stary profesor z Cambridge wygadał niechcący pilnie strzeżoną tajemnicę. Inny gość, facet, któremu marzył się żywot ciekawszy niż posada kustosza Muzeum Geologicznego, wykorzystał szczerłość profesora i szantażując go zamachem na ży-

cie ukochanej córeczki, zmusił do wydania supertajnych planów struktur geologicznych tego oto tunelu. Czy wiesz, gdzie się obecnie znajdujemy? W strefie szóstej. Nad naszymi głowami leży piekielnie cienka warstwa skały. Wystarczy mocniej trącić palcem i rozleci się w pył! Więc ten kustosz pomyślał sobie tak: czemu by nie zrobić na tym interesu? Wykupił za półdarmo paręnaście tysięcy akcji plajtujących towarzystw transportowych Sea Link i Channel Link, wciągnął do gry swego asystenta, asystent zwerbował mnie, a ja porywając Jane — ciebie. Początkowo nie wiedziałem o planach kradzieży posążka. Bert Flaherty miał zupełnie inne zadanie! Ale któregoś dnia ten asystent, człowiek nie w ciemę bity, mówi mi tak: „Słuchaj pan, Wingfield-Digby chce zostać nie tylko właścicielem floty promów, zachciało mu się też szmaragdowego skarbu wartości być może większej niż cały ten pływający szmelc! Nienasycony, co?! Dlaczego by tak nie zrealizować planów Digby’ego, ale z drobnymi zmianami? Dlaczego by nie zostawić go na wieki w tunelu, zgarniając Buddę i te paręnaście tysięcy akcji”? Bo, widzisz, Norn dostał od Digby’ego wszelkie pełnomocnictwa! Tak też uczyniliśmy, stary byku. Nie wiedziałeś, że chcemy wysadzić tunel, prawda? Nie mogłeś się dowiedzieć, bo nigdy byś na to nie poszedł. Nawet kosztem córki, zgadłem? Kradzież to co innego, zupełnie coś innego, mniejszy kaliber, do strawienia. I dlatego Norn tak się zdenerwował podczas spotkania w Gorthlech House. Bał się, czy przypadkiem nie wyczytałeś czegoś o tunelu w liście, który miał od Worstera dostać Wingfield-Digby.

— Oszalałeś, Bert! — krzyknąłem. — Powiedz, że to nieprawda!

— A my, przyjacielu — mówił dalej — my mieliśmy wrócić do Anglii tym parszywym kontenerowcem, wsiąść w samolot, sprzedać szmaragdowy posążek i spokojnie czekać, aż akcje Sea Link i Channel Link wzrosną. Wszystko byłoby cacy. Nicholas Wingfield-Digby — tak jak chciał, z nieposzlakowaną reputacją — zginąłby w katastrofie wraz ze swoim drogo-cennym eksponatem. Norn zginąłby także, o mnie mniejsza, a nasze akcje poszłyby w górę w takim tempie, że nie wiedzielibyśmy, na jakie wysypisko wyrzucać pieniądze! Tak, Clive, bez tunelu Sea Link i Channel Link wrócą do glorii, bo mimo narodowej, ba, międzynarodowej tragedii ludzie nadal będą chcieli podróżować. No co, nie mam racji?

Zaschło mi w gardle. Z trudem przełknąłem ślinę.

— Bert, jeśli to prawda, powiedz, gdzie ukryłeś ładunki?! — krzyknąłem. — Gdzie są ładunki?! Jeszcze zdążymy. Gadaj!

Znowu roześmiał się jak szaleniec i wstał. Alison wolniutko zaczęła petznąć w moją stronę.

— Ładunek, stary byku! Jeden wielki ładunek! — ryknął dziko. — Ładunek tak wielki, że rozniesie beton w drobny mak! Beton i wszystko, co nad nim! Będzie wielkie buuum!

Puścił walizkę i najwyraźniej opętał go amok. Wymachiwał rękami, wrzeszczał i cofał się ku złożonemu ramieniu wysięgnika.

— Tylko dwanaście minut, panowie żołnierze! No,

strzelajcie! Strzelajcie, wybawcie mnie od stokroć gorszej śmierci! Wal, Clive!

Odwróciwszy się do mnie w nadziei, że może to ja pociągnę za spust, zaczął kolanem o rombowały kablak, zachwiał się, wygiął do tyłu, odruchowo wyciągnął ręce, by odzyskać równowagę i chwycił przewody wysokiego napięcia. Na jego twarzy błysnął wyraz niemego zdziwienia, a potem dwadzieścia pięć tysięcy woltów zrobiło swoje.

Światło w tunelu przygasło.

Rozdział 19

Środa, 21 lipca, 12 minut do eksplozji

Panika jest jak dzuma — przenosi się z człowieka na człowieka tak szybko, że w mgnieniu oka zaraża wszystkich. Najpierw zreiterowi Tom O'Shea. Znałem go, nigdy nie był bohaterem. Cichcem wymknął się z tunelu operacyjnego i pognął do pociągu CSB. Gdy zauważył to Jim Lemmons, szybko ruszył w jego ślady. Za nim popędzili John Star, Harry Max i Gun McLaughlin. Brygada specjalna topniała w oczach.

Nie koniec na tym. Bakcyl paniki zaraził także pasażerów pociągu 48. Jego ofiarą padli ci, którzy wiedzeni nieodpartą ciekawością i żądni sensacji, dotarli aż tutaj, przebyli siedemset metrów, żeby zobaczyć, jak dzielni chłopcy z Dollands Moor rozprawiają się z bandytami. Teraz runęli ławą z powrotem. Tratowali się wzajemnie, spychali między kontenery, wszyscy jak jeden mąż biegli poboczem torowiska i żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że może warto by zajrzeć do tunelu operacyjnego B, gdzie stał elektrowóz brygady specjalnej, którego przyjazd musieli przecież słyszeć. Panika odebrała im zdolność myślenia i uciekali tam, gdzie nikt im nie był w stanie pomóc. Na widok walącego tłumu ci przy pociągu też zaczęli gnać przed

siebie, z każdym krokiem oddalając się od zbawczego wagonu CSB. Minęli wyjście ewakuacyjne 16, minęli czoło elektrowozu i runęli w czeluść dwudziestodwukilometrowego tunelu. Zanurzyli się w nią i chociaż życzyłem im jak najlepiej, wiedziałem, że do Coquelles nie dobiegną.

Dźwigałem nieprzytomną Jane i walizkę z jedenaścikilogramowym szmaragdem. Przede mną szła Alison, raz po raz dodając mi sił gestami, które mówiły, że już niedaleko, że zdążymy. Pociąg specjalny może rozwinać prędkość dwustu kilometrów, co rzecz jasna, w tunelu nie wchodziło w grę, ale sto też było na wagę złota. Jeśli elektrowóz ruszyłby natychmiast, przy Shakespeare Cliff, oddalonej od sektora szesnastego o 16 kilometrów, znaleźlibyśmy się za dziewięć minut i trzydzieści sześć sekund. A tyle właśnie czasu pozostało do eksplozji ładunku Flaherty'ego.

— Ani kroku dalej, O'Casey!

Taffy Mitchell stał na stopniach wagonu i celował we mnie ze swego uzi.

Czyżby, kretyn, niczego nie zrozumiał?! Czyżby jego także ogarnęło jakieś szaleństwo?! Chłopcy z brygady specjalnej wychylali się z okien i po ich minach widziałem, że oni również nie pojmują reakcji Mitchella.

— W drogę, Smith — zawołał w stronę elektrowozu.

Ale maszynista Smith nie włączył silników. Ze swego okienka spoglądał na Taffy'ego i nie kiwnął nawet palcem.

— Jedź, idioto! — krzyknął Mitchell. — Chcesz tu zdechnąć jak utopiony szczeniak?! Jedź, do cholery!

— Co cię napadło, Taffy? — spytał Tom O'Shea. Może jednak nie był aż takim tchórzem, za jakiego go brałem. — Niech pan wsiada, kapitanie. Szybko, chłopcy, pomóżcie dziewczynom!

— Stać! Stać, bo łby pourywam! — Mitchell już nie krzyczał, Mitchell wrzeszczał. — Podniesie który tyłek, a zabiję jak psa!

— Opanuj się, Taffy — powiedziałem cicho. — Czas ucieka. Weź moją córkę i Alison i jedźcie. Co masz przeciwko mnie? Przecież słyszałeś, co mówił ten gość z dachu, wiesz wszystko. O co ci chodzi?

W tym momencie zaświtała mi pewna teoria, która rozwiewała wątpliwości, jakie zaległy się w mojej głowie parę minut temu. Kusiło mnie, żeby ją sprawdzić, lecz ubiegł mnie Tom O'Shea.

— Wpuść ich, Mitchell — warknął. — Chłopcy trzymają cię na muszkach. Liczę do trzech. Jeżeli ich nie wpuścisz, pierwszy wpakuję ci w plecy garść ołowiu, jasne? — Gruntownie zmieniłem zdanie o Tomie O'Shea. — Raz... — Mitchell zarepetował broń. Postąpiłem w stronę wagonu. — Dwa...

Zamek uzi w rękach Toma O'Shea szcęknął metalicznie. Mitchell, zacisnąwszy usta, miotał wściekle spojrzenia to na podwładnych, to na mnie. Wspiął się szybko stopień wyżej i wówczas zauważył, że za nim, w korytarzu, też stoją nieskorzy do żartów chłopcy z brygady. Znalazł się naraz w sytuacji bez wyjścia. Dobrze wiedział, że przepadł niezależnie od tego, czy ulegnie woli podwładnych, czy nie. Zeskoczył na po-

bocze, wydał z siebie przeraźliwy krzyk i uniósł broń.

— Trzy! — krzyknął Tom O'Shea.

Upadłem z Jane i Alison na ziemię. Z okien wagonu pluwał strumień ognia. Ciało Taffy'ego Mitchella przeszyte dziesiątkami kul podskoczyło do góry jak marionetka i legło w drgawkach opodal torów.

Jane była już w środku. Alison stała na stopniach i sięgnęła po walizkę ze szmaragdowym Buddą. Nie puściłem.

— Co robisz?! — krzyknęła. — Wskakuj! Daj walizkę! Dawaj walizkę!

Biegłem równoległe do wagonu.

— Kocham cię, Alison — powiedziałem. — Ale muszę zostać. Walizka też.

Jej twarz zmieniła się nie do poznania.

— Ty świnió! — zawołała, płacząc. — Ty podła świnió! Złodzieju cholerny! Nic się nie zmieniłeś! Nic! Nadal jesteś tym, kim byłeś dziesięć lat temu! A ja głupia myślałam... — Głos jej się załamał, otarła rękawem łzy.

Elektrowóz przyspieszył. Zatrzymałem się i może mnie zawiódł słuch, może to tylko stukot kół, ale wydawało mi się, że krzyknęła: „Kocham cię, Clive”! Nie, to na pewno był tylko stukot rozpędzonych kół pociągu.

„Ładunek, stary byku, ładunek! Jeden wielki ładunek! Ładunek tak wielki, że rozniesie beton w drobny mak! Beton i wszystko co nad nim”! — wrzeszczał Bert. Jeden wielki ładunek... Boże, gdzie szukać takie-

go ładunku?! Strefa szósta. Mówił do rzeczy. Trzydziestoosmiokilometrowy odcinek tunelu pod dnem Kanału Angielskiego podzielony jest na dwadzieścia stref geologicznych nie mających nic wspólnego z numeracją sektorów. Każdą z tych stref cechuje inna budowa, inne ułożenie warstw i różna grubość. CSB w Dollands Moor nie znała szczegółów. Dysponowaliśmy jedynie przekrojami ogólnymi, ponieważ ktoś z najwyższych kręgów wojskowych uznał nie bez racji, że TML jako obiekt strategiczny należy otoczyć tajemnicą. Strefa szósta... Gdybym miał tu z sobą Worstera, sprawa byłaby prosta. On wiedziałby dokąd iść i gdzie szukać. Myśl, O'Casey! Myśl! Myśl!

„Czy wiesz, gdzie się obecnie znajdujemy? Nad naszymi głowami leży piekielnie cienka warstwa skały”... Flaherty nie mógł ukryć ładunku ani w tunelu operacyjnym A, ani w B. Gdybym to ja zakładał taki ładunek, umieściłbym go jak najbliżej skały, którą mam rozsadzić, więc na pewno gdzieś w górnych partiach sklepienia. Ładunek eksplodujący na poziomie torowiska co najwyżej nadwerżyłby strop. Sklepienia tuneli A i B nijak nie nadawały się do tego celu. Raz, że biegnie tam trakcja elektryczna utrudniająca dostęp do łukowatych elementów ze zbrojonego betonu, dwa, że widać na nich wszystko jak na dłoni, a skoro, jak twierdził Flaherty, ładunek jest wielki, każdy maszynista — pomijając już patrole CSB — natychmiast by go zauważył i dał znać, komu trzeba. Miejscem, które nadawało się do „wielkiego buuum” znacznie lepiej, był tunel serwisowy.

Zostało mi niespełna sześć minut. Gonilem resztkami sił. Bałem się, cholernie się bałem i pocieszało mnie tylko to, że kiedy fajerwerk Flaherty'ego rozbłyśnie, Jane i Alison będą daleko, bezpieczne, a ja oberwę tak szybko i skutecznie, że nie zdążę zauważyć własnej śmierci. Stojąc na szczeblach drabiny obok wyjścia ewakuacyjnego 19, spocilem się jak mysz na samą myśl, że los okaże się pusty. Dwadzieścia prawie dwukilometrowych stref geologicznych oznaczało pięć wyjść ewakuacyjnych, a w skale nad nimi pięć przewodów wentylacyjnych. Ten nad szesnastką odpadł — był czysty, czogałem się tam przed skokiem na kontenerowiec. Jeśli nie szesnastka, to siedemnastka, osiemnastka, dziewiętnastka albo dwudziestka. Dziewiętnastka była najbliższej. Pudło. Nigdy nie miałem szczęścia w loterii.

Który teraz? Dwudziesty, oddalony ode mnie o trzysta siedemdziesiąt pięć metrów, czy osiemnasty? A może przeskoczyć osiemnasty i od razu sprawdzić siedemnasty? Jechać w lewo czy w prawo? Sekundnik pędził nieubłaganie. Cztery i pół minuty do eksplozji. W lewo!

W przewodzie wentylacyjnym nad osiemnastką hulał wiatr, niosąc z sobą zapach starego kurzu. Do siedemnastki runąłem dwie minuty później, bo tyle czasu potrzebowała drezyna na pokonanie dystansu trzystu siedemdziesięciu pięciu metrów. Wiedziałem, że muszę znaleźć ładunek w tym przewodzie, bo na powrót do przejścia awaryjnego 20 już bym nie zdążył.

Wbiłem pedał hamulca aż do podłogi. Dłonie ze-

śliznęły mi się z kierownicy, dreźyna zjechała w prawo i uderzyła o ścianę. Wbiegłem do tunelu A. Drabinka. Trzymaście szczebli. Stałem na ósmym i zajrzałem w głąb metalowej rury.

Otwór zionął czarną pustką. Odetchnąłem. To dziwne, ale gdy przyszło spojrzeć w oczy Tej Która Zawsze Przychodzi, opanował mnie błogi spokój. Tyśiące myśli kłębiło mi się w głowie, lecz wszystkie jasne, wszystkie klarowne, pogodne. Przypomniał mi się Amadeusz Carr z Erskine Road, Wingfield-Digby, Norn, kierowca granatowego mercedesa, nieszczęsny astmatyk, Flaherty... Tylu ludzi straciło życie... Moje sny, moje ciepłe morze i palmy... I Jane. I Alison. Sięgnąłem po papierosa. Jeszcze trzydzieści sekund.

Zapałka płonęła równym, czystym płomieniem. Gapiłem się na ogień sekundę, może dwie, po czym zbliżyłem rękę do przewodu wentylacyjnego. Zapałka nie zgasła! Jak oszalały wczółgałem się do rury.

Ładunek tkwił wyżej, w odcinku prostopadłym do tunelu serwisowego, metr nad jego sklepieniem. Wypełniał przewód szczelnie niczym korek, dlatego płomień zapałki ani drgnął. Nie chwiał się i teraz. W jego świetle ujrzałem połyskujący, związany kablem foliowy wór. Jeden koniec kabla ginął gdzieś w środku, zapewne wetknięty w materiał wybuchowy, drugi natomiast prowadził do sporej kasetki, umieszczonej w fałdach foliowego pokrowca. Kiedy kolejna zapałka zgasła, na wierzchniej ścianie pudeleczka spostrzegłem migotliwe, fosforyzujące cyferki.

Drżącymi palcami uchwyciłem drugi koniec kabla.

Flaherty uchodził za eksperta. Jeśli zainstalował urządzenie zabezpieczające ładunek przed rozbrojeniem, najłżejsze pociągnięcie za drut uaktywni detonator. Roześmiałem się, bo czy miałem jakiś wybór? Czy naprawdę warto wybierać między pięcioma sekundami życia a natychmiastową śmiercią?

„Daily Mirror”

(czwartek, 1 sierpnia 1994 r., s. 3)

Czym skorupka za młodu...

LONDYN. Clive O'Casey, były oficer CSB z Dol-lands Moor, który uratował Anglię od straszliwej tragedii, jest nadal poszukiwany przez policję. Jak wielokrotnie pisaliśmy, tuż po wydarzeniach z 21 lipca br. O'Casey zniknął, a wraz z nim przepadł bezcenny posążek szmaragdowego Buddy. W równie nie wyjaśnionych okolicznościach zniknęła ze szpitala córka poszukiwanego, Jane O'Casey, lekko poturbowana w czasie zająć w tunelu.

Clive O'Casey był w przeszłości notorycznym przestępcą. Choć ma na swoim koncie liczne włamania i drobne malwersacje, policji nigdy nie udało się go przyłapać na gorącym uczynku. Od r. 1984 wiódł przykładne życie i zrobił karierę w CSB, gdzie dosłużył się stopnia kapitana. Ostatni raz widziano go jakoby przed budynkiem ambasady Wysp Świętego Patryka na Duncan Road w Londynie, lecz ambasador odmawia wszelkich komentarzy.

„The Times”

(sobota, 9 sierpnia 1994 r., s. 3)

Prosperita?

LONDYN. Rzecznik prasowy Ashdown House poinformował dziennikarzy o nowej sytuacji przedsiębiorstw transportowych Sea Link i Channel Link, które jeszcze dwa miesiące temu stały na krawędzi bankructwa. Wydarzenia z 21 lipca br. spowodowały natychmiastową reakcję na giełdzie londyńskiej i nowojorskiej Wall Street. Dwa miliony jednofuntowych akcji Sea Link i Channel Link, które w lipcu znajdowały się w tak zwanej „martwej strefie”, rozeszły się błyskawicznie. Ich kurs osiągnął wysokość 4,5 funta i stale rośnie. Rzecznik powiedział: „Trudno ocenić, czy jest to tylko chwilowa prosperita i czy za dwa, trzy miesiące notowania Sea Link i Channel Link będą równie wysokie. Pewne jest natomiast to, że zastrzyk finansowy, jaki otrzymały obie firmy, pozwoli im do tego stopnia zmodernizować flotyllę promów oraz tak zaprogramować nowe szlaki przewozowe, że Sea Link i Channel Link staną się niewątpliwie godnymi konkurentami TML”.

Epilog

Wtorek, 12 sierpnia, godzina 6.00

— Zgadza się? — spytałem.

Przeliczył banknoty jeszcze raz, odgarnął gestą czuprynę jasnych włosów, wetknął zwitek za pazuchę i skinał głową. Potem strzyknął śliną na chodnik, brudnymi rękami otworzył pudełko tanich papierosów i powiedział:

— Robię to tylko dla Marylebone'a. Teraz takie numery się nie oplacają. Amatorszczyzna, rozumie pan. Ja jestem zawodowcem.

Miał dziesięć, może jedenaście lat i w przytułku dali mu na imię Wigmore. Pierwszy raz uciekł w wieku lat siedmiu. Policja odnalazła go po tygodniu, ale zwiózł im w drodze na posterunek. Później ucieczki stawały się coraz częstsze. W wieku lat dziesięciu trafił do poprawczaka, skąd uciekł po miesiącu i schronił się pod opiekuńcze skrzydła Jima Marylebone'a, szefa jednego z najlepiej zorganizowanych gangów dziecięcych w Londynie. Kiedy powiedziałem Jimowi, kogo mi trzeba, bez wahania wskazał na Wigmore'a. „On pójdzie w twoje ślady, Clive. Ma ikrę, jak ty. Jest najlepszy” - wychrypiał przepitym głosem i zawołał chłopaka.

Staliśmy na rogu przecznicy za Kensington Olympia. Była szósta rano. Zaczynał się dwudziesty drugi dzień mojej ucieczki. Dwieście metrów dalej kłębił się tłum pasażerów wchodzących i wychodzących z dworca. Od ronda Shepherd's Bush ciągnął sznur samochodów. Miałem jeszcze czas. Pociąg odjeżdżał o ósmej piętnaście.

— Dasz radę? Nie nawalisz?

Popatrzył na mnie dużymi niebieskimi oczyma, które widziały tak dużo i tak niewiele.

— Jestem prawą ręką Marylebone'a — odrzekł z dumą i znów splunął na ziemię, trafiając bez pudła w zakratowany otwór ściekowy cztery kroki dalej. — Będę za dwadzieścia ósma.

Nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem, wmieszał się w strumień przechodniów płynący w kierunku Kensington High Street.

Dwadzieścia jeden dni spędziłem jak na przestępcę nader przykładowie. Masę czasu strawiłem na Duncah Road, gdzie na szczęście ruch jest mały i policji ani na lekarstwo. Kiedy ja załatwiałem niezliczone formalności, Marylebone ślezczał nad moim paszportem i kłął jak szewc, że nazwisko mam nie do przerobienia. Uporał się z nim w końcu i wędrówkę po West Endzie rozpocząłem jako Alistair Dolasay. Odwiedziłem trzy biura podróży, nim trafiłem do filii francuskiego przedstawicielstwa Air India na Whitehall Place i za stosunkowo małe pieniądze wykupiłem trzy bilety do Male. Cztery dni temu zarezerwowałem miejsce w pociągu do Paryża, spakowałem rzeczy Jane i odprowadziłem ją na dworzec. Piętnaście godzin później po-

twierdziła, że już dotarła i jest bardzo szczęśliwa. Wtedy nabyłem jeszcze jeden bilet Londyn — Paryż. Wczoraj wieczorem wykonałem najważniejszy telefon — do Alison. Umówiłem się z nią na ósmą rano na stacji Kensington Olympia, skąd kwadrans później miałem odjechać. Zbliżała się siódma trzydzieści.

Do hali głównej wszedłem o siódmej trzydzieści pięć. Udałem się wprost do baru, z którego dużych, przeszklonych okien mogłem wygodnie obserwować przelewający się tłum. Wypiłem koniak, zapaliłem chesterfielda. Wigmore stawił się punktualnie o siódmej czterdzieści.

— Jest? — zapytał cicho, siadając obok mnie.

Zjawiała się o siódmej czterdzieści pięć, piętnaście minut przed czasem. Bynajmniej nie sama. Była w doborowym towarzystwie trzech prawie identycznie ubranych facetów! Słusznego wzrostu, barczyści, z rękami w kieszeniach, rozglądali się dyskretnie na boki i szli za nią krok w krok.

Mały Wigmore nie na darmo terminował u Marylebone'a. Wyłowił ją wzrokiem spośród dziesiątek innych kobiet i rzekł:

— Niezła...

Zsunął się z wysokiego stolka i śmignął do drzwi.

— Wigmore! — zawołałem. Odwrócił się. — Nie zobaczymy się już. Dziękuję.

Uśmiechnął się lekko i w uśmiechu tym zobaczyłem siebie sprzed lat trzydziestu. Uniosłem kciuk, odpowiedział tym samym gestem i wyszedł.

Alison rozmawiała z panienką w informacji. Tylko chwilę. Potem wróciła do swego towarzystwa i coś fa-

cetom tłumaczyła. Krótko. Mężczyźni odsunęli się od niej, stanęli nieco dalej i próbowali nie rzucać się w oczy. Tłum pasażerów gęstniał z minuty na minutę. Megafony podały, że pociąg Londyn — Paryż wjeżdża na peron szesnasty.

Wigmore zaatakował błyskawicznie. Jak spod ziemi wyrósł nagle tuż przy Alison, wyrwał jej z rąk torebkę i nim zdążyła otworzyć usta, czmychnął w stronę ruchomych schodów. Obstawą Alison pobiegła za nim w komplecie.

— To ty?! — Zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy chwyciłem ją za ramię. — To ty?!

Szła, nie opierając się. Wepchnąłem ją do męskiej toalety, zatrzasnąłem drzwi kabiny i powiedziałem:

— Dobra, ty wyrafinowana policjantko w spódnicy! A teraz nadstaw tyłek, żebym mógł ci sprawić lanie, jakiego w życiu nie dostałaś! — Była tak zaskoczona, że nie potrafiła wydusić słowa. — Co się stało z prawdziwą Alison Worster? — spytałem. — Kiedy ją zamordowali? Bo zamordowali ją ludzie Norna, tak? Jako ostrzeżenie dla Worstera. — Milczała. — No, mów coś, do diabła, bo cię zleję!

Wolno, wolniutko wracała do równowagi. Unikając mojego wzroku, skinęła głową.

— Tak — szepnęła.

— Co tak?

— Zamordowali ją — odrzekła. — Początkowo sądziliśmy, że to mord na tle rabunkowym. Worster zeznał, że Alison miała przy sobie dużą sumę pieniędzy. Jeszcze się wtedy bał, ale gdy skojarzyliśmy to z listem...

— Z jakim listem?

Westchnęła i spojrzała na mnie tymi swoimi oczyma; serce zabiło mi mocniej.

— Profesor Worster napisał trzy listy, Clive. Do ciebie, do Wingfielda-Digby'ego i na policję. Wspominał w nim o tunelu, więc przekazaliśmy pismo do CSB, do Dollands Moor. Ale ty zachowywałeś się tak, jak gdybyś o niczym nie wiedział...

— Taffy Mitchell — mruknąłem. — Znów Taffy Mitchell...

— Co?

— Mów, mów, potem ci wyjaśnię.

— Przesłuchaliśmy Worstera, ale twierdził, że się pomylił, że nie powinien był do nas pisać, że sprawa jest błaha i nie warta zachodu. Przeprosił za zamieszanie i pojechał do siebie. Na wszelki wypadek przestaliśmy list do Dollands Moor. Zaraz potem zginęła Alison. I znów Worster upierał się, że to czysty przypadek, że ktoś ją zabił dla pieniędzy. Ale wtedy skojarzyliśmy fakty i wymusiliśmy na profesorze zgodę na bezpośrednią obserwację.

— A ponieważ prawdziwa córka Worstera pracowała u niego jako sekretarka, ty zostałeś Alison Worster, tak?

— Bez przerwy miałam go na oku, nocowałam czasami w jego domu, wszędzie z nim jeździłam i dopiero przed tym nieszczęsnym seminarium dla Nigeryjczyków mi się wymknął.

— Tak, dopadli go ludzie Norna, którzy później chcieli dopaść ciebie, żeby przekonać się, kim jesteś — powiedziałem. — Podawałaś się za Alison Worster, a oni dobrze wiedzieli, że Alison Worster nie żyje. W Bridge Farm, w Cambridge, u ciebie w domu, pamię-

tasz? Potem, w Szkocji, twoja tożsamość przestała być dla nich ważna, bo i tak miałaś zginąć. Albo w tunelu, albo w pociągu razem z Jane, już po zakończeniu akcji. Mieli cię cały czas na oku... Słuchaj, dlaczego przyszłaś, kiedy pierwszy raz prosiłem cię o spotkanie? Twój szef dał taki rozkaz?

Spuściła wzrok.

— Postanowiliśmy rozgryźć sprawę od środka — odparła. — Śmierć Alison, potem śmierć Worstera, ty wplątany w to wszystko po uszy...

— Agentka, Boże, co za agentka... — westchnąłem. — Czy wiecie już, z czym wychylił się Worster?

— Norn pod kierownictwem Digby'ego prowadził badania struktur geologicznych południowego Kentu i północnego okręgu Calais, terenów, przez które biegnie tunel. Od tego wszystko się zaczęło. Worster musiał nieopatrznie zdradzić im jakiś szczegół. Potrzebowali dokładniejszych danych, szantażowali go, grozili, że zamordują Alison i uległ. Potem napisał do nas list. Zabili mu za to córkę. Dopiero po jakimś czasie zawiadomił ciebie. Ale pomylił kopery. A co z Taffym Mitchellem?

— Taffy... Taffy był na usługach i Norna, i Flaherty'ego — odrzekłem. — Musiało tak być, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w CSB nie dostałem listu, o którym wspomniałaś? Mitchell go przechwycił za odpowiednią dolę od Norna. Druga sprawa: materiał wybuchowy w tunelu. Wiesz, co to było? Ładunki wydłużone, o piekielnej sile rażenia, używane do niszczenia zapór minowych. Flaherty wpakował ich w kanał wentylacyjny tyle, że bez współnika nigdy by nie dał sobie rady. Mitchell go krył i pomógł mu to prze-

wieźć na miejsce. Bał się, że odkryję prawdę i dlatego chciał mnie zostawić w tunelu. Jako trup nie byłbym groźny, prawda?

— Jeśli o tym wiedziałeś, jeśli wiedziałeś, że jestem policjantką, dlaczego, do diabła, godziłeś się na moją obecność?

— Nie, Alison, nie wiedziałem, że jesteś z policji, nie od początku. Zacząłem coś podejrzewać, kiedy zobaczyłem cię w akcji, kiedy zobaczyłem, jak gołymi rękami załatwiłaś tego osiłka pod barem w Cambridge. Potem dzwoniłaś gdzieś nocą, robiąc wszystko, że-
bym nic z tej rozmowy nie usłyszał. Ale pewnie nadinspektor jakiś tam domagał się raportów, co? Później wyprawa do Szkocji ze mną, z facetem, którego w ogóle nie znałaś. Szczegół do szczegółu i podejrzenia przerodziły się w pewność, tylko że gdy przerodziły się ostatecznie, byłem w tobie po uszy zakochany, ot co!

Megafony podały, że do odjazdu pociągu Londyn — Paryż zostało jeszcze siedem minut. Alison milczała.

— I myślałem, głupi i naiwny, że po tym, co razem przeszliśmy, ty też coś do mnie czujesz, że nie jest to tylko kolejna akcja dzielnego sierżanta... No, proszę, nie znam nawet twojego prawdziwego imienia...

— Jane — szepnęła. — Mam na imię Jane, jak twoja córka.

— Więc sądziłem, że coś z tego będzie, rozumiesz? Bo jak ja kocham, to na całego i nie sprzedaję ukochanej za marne grosze jak ty.

— Jestem policjantką, Clive, a ty jesteś złodziejem — odparowała.

— Nie jestem złodziejem...

— Jesteś. Ukradłeś posążek Buddy...

— Nie jestem złodziejem, Jane — powtórzyłem. — Byłem złodziejem dziesięć lat temu i skończyłem z tym raz na zawsze. Posążka Buddy nie ukradłem. Zwróciłem go tylko prawowitemu właścicielowi.

Zamurowało ją. Jej oczy przybrały barwę granatu, rozszerzyły się, pojawiły się w nich złociste ogniki.

— Co zrobisz?

— Zwróciłem go ludziom, do których należy, mieszkańcom Wysp Świętego Patryka. Kiedy Anglicy władali Indiami, ich wpływy sięgały również tam. Przeczuli, że prędzej czy później imperium upadnie, więc rabowali i wywozili do Anglii, co się dało. Posążek Buddy także. Wyspy Świętego Patryka odzyskały niepodległość dwa lata później niż Indie i natychmiast rozpoczęły starania o odzyskanie skarbu. Ten szmaragd nie ma dla nich wartości materialnej, Jane, jest uosobieniem kultu, religii, ich państwowości. Czy wiesz, że ta figurka jest godłem narodowym Wysp Świętego Patryka? Zwróciłem ją przez ambasadę. Ufundowali mi w zamian dom nad brzegiem morza, piękny, biały dom wśród palm. I łódź motorową. Moja córka już tam jest. Oni na mnie czekają, Jane.

— Anglia zażąda ekstradycji...

Uśmiechnąłem się.

— Nie, nie zażąda. Anglia i Wyspy Świętego Patryka nie podpisały układu o ekstradycji.

— Dobrze. I na co liczysz? Że cię nie aresztuję, do cholery?! — Podniosła głos. — Że wyjedziesz stąd ot

tak i znikniesz w sinej dali?! Że pozwolę ci odejść?! Nie, jestem na służbie i zrobię, co do mnie należy.

— Nie wiem, co ty zrobisz, Jane — powiedziałem cicho. — Powiem ci jednak, co zrobię ja. Otóż ja zaraz stąd wyjdę i wsiądę do pociągu. Jeżeli nikt mnie po drodze nie zatrzyma, za trzy i pół godziny złapię w Paryżu samolot do Male, stolicy Malediwów, skąd mam bezpośredni lot na Wyspy Świętego Patryka. Za piętnaście godzin będę wreszcie u siebie, w domu, o którym tak długo marzyłem. Idę, Jane. Aha, jeszcze jedno... — Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki. — Tu masz otwarty bilet na tę samą trasę. Wystarczy tylko zarezerwować miejsce. Ty też masz tam dom, Jane, tam też ktoś na ciebie będzie czekał...

W holu nie zatrzymał mnie nikt, nikt nie zatrzymał mnie na peronie. Usadowiłem się przy oknie i kiedy pociąg ruszył, wśród odprowadzających spostrzegłem małego Wigmore'a. Stał wciśnięty między granitowe kolumny i w skupieniu liczył banknoty. Na ziemi leżała otwarta torebka Jane.

W Dollands Moor zanurzyliśmy się w tunel. Nie chciałem go oglądać. Zacisnąłem powieki i... zasnąłem. Śniła mi się Jane, co dziwne, bo przecież ona rzadko kiedy mi się śni. A gdy we śnie zjawiała się również ta druga Jane, nareszcie sobie uświadomiłem, skąd znam kolor jej oczu. Jej lazururowe oczy miały barwę tropikalnego morza, w którym igrają promienie wysokiego słońca.